- Czarna wdowa • 304 contra piraci Atlantyku
- Krosna • Jeszcze o Rudolfie Hessie
- Hongkong: miejsce, gdzie wszystko można sprzedać

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 39 (1330) ROK XXVI 24 WRZEŚNIA 1983 ROKU CENA 15 ZŁ

W kameralnych szrankach

JERZY KWIECIŃSKI

Znana dobrze łodzianom z wielu okolicznościowych imprez sala teatralno-koncertowa Muzeum Historycznego zaczęła obecnie funkcjonować także jako scena kameralna Teatru Wielkiego, od obecnego bowiem sezonu teatr rozpoczyna czy też wznawia działalność i w tej dziedzinie operowej twórczości. Z jaką regularnością, będzie to zależało w niemałym stopniu, jak zapewnia dyrektor Sławomir Pietras, od społecznej akceptacji dla operowej kameralistyki.

Jeśli się nie mylę, ostatnim kameralnym przedstawieniem Teatru Wielkiego, wykonywanym bodaj kilkakrotnie, był przed kilku laty „Zamek na Czorsztynie", grany wprawdzie w siedzibie, ale ani nie na wielkiej scenie, ani na małej, bo takiej teatr po prostu nie ma, lecz na korytarzu doraźnie do tego celu przysposobionym.

Prawdę mówiąc, i to nowe miejsce, mimo sympatycznej i nastrojowej oprawy, jaką stwarza wystrój sali, nie jest do celów teatralnych dostosowane, nie ma żadnego wyposażenia technicznego, ale mimo wszystko może się ono okazać dla nowych poczynań miejscem szczęśliwym. Nasz zespół stanął w kameralne szranki z utworem może nie tyle kameralnym, ile nadającym się do wystawienia w stylowych, pałacowych wnętrzach, już choćby ze względu na szacowną tradycję dworską przedstawienia „Odprawy posłów greckich" Kochanowskiego, która posłużyła Witoldowi Rudzińskiemu za kanwę jego opery, przeznaczonej pierwotnie (1966 rok) dla radia, nagrodzonej też na międzynarodowym konkursie oper radiowych w Monte Carlo.

Jest to uwtór poniekąd epicki w sensie literackim, a także oratoryjny w charakterze muzycznym, wymagający ponadto znacznego aparatu wykonawczego, co nie jest przecież najbardziej typowe dla kameralistyki. Ponadto, choć w założeniach jest to utwór raczej statyczny, gdyż (podobnie jak w pierwowzorze literackim) wszystko rozgrywa się w jednym miejscu i w znacznej mierze przez narrację o wydarzeniach, to przecież łatwo sobie wyobrazić zespół wykonawczy usytuowany w znacznie szerszym tle, niż to oglądaliśmy. Trzeba dodać, że „Odprawa" podobno jak najlepiej sprawdziła się w pałacowych wnętrzach Łańcuta, gdzie pokazaliśmy ją po raz pierwszy w tym samym zestawieniu z „Il maestro di capella", akurat w czasie, gdy tu, w siedzibie odbywały się Łódzkie Spotkania Baletowe, co każe nam ze względów formalnych zapisać tę premierę na konto poprzedniego sezonu.

Czy to zestawienie jest najfortunniejsze, tego nie byłbym pewny ze względu na bardzo już odmienny styl i charakter obu utworów, niejednakowy ich „ciężar gatunkowy" (pomijając stopień trudności w odbiorze). Ale zacznijmy od Rudzińskiego, wielce zasłużonego przedstawiciela starszej generacji polskich kompozytorów, a jednocześnie teoretyka, pedagoga i publicysty, człowieka o szerokim wykształceniu i rozległych zainteresowaniach humanistycznych. Za najwybitniejszą kompozycję Rudzińskiego w całym jego niemałym dorobku, uchodzi — według zgodnej opinii znawców — właśnie „Odprawa", ale czy także według publiczności. W każdym razie nie jest to utwór o największym powodzeniu wśród polskich dzieł współczesnych i sądzę, że nie tylko z powodu zdecydowanej nowoczesności języka muzycznego i znacznego skomplikowania muzycznej faktury.

Ta trudna przystępność bierze się chyba stąd, że dramatyczne walory tej operowej adaptacji mogą, że tak

8

MONIKA WARNEŃSKA

Groźne myszy i kot opiekun

Ta noc była jedną z najbardziej koszmarnych, jakie przeżyłam w Wietnamie — pomijając oczywiście noce bombardowań w dżunglach Południa, lub w tak zwanej „czwartej strefie" blisko siedemnastego równoleżnika. Tym razem jednak nie bomby i rakiety uniemożliwiły mi zmrużenie oka, lecz myszy i szczury. Nieraz już miałam z nimi do czynienia w tym kraju, ale nigdy nie dały mi się we znaki tak, jak w wyzwolonej prowincji Quang Tri, na rok przed końcem wietnamskiej „trzydziestoletniej wojny".

Zimno było, jak w psiarni, mimo połowy marca i dawno już minionej daty, na którą przypadał początek wiosny, oczywiście według tradycyjnego księżycowego kalendarza. Wiatr hulał swobodnie w chacie, spełniającej rolę hotelu lub miejsca noclegowego. Bambusowe wiązania dachu trzeszczały tak, jak gdyby lada chwila miały rozsypać się wraz z całą strzechą. Z trudem usiłowałam wcisnąć pod matę rąbek moskitiery, która falowała jak żagiel za każdym podmuchem. Nie wiedziałam, ile jest stopni na zewnątrz, najwyżej mogło być jednak dwanaście lub około czternastu. Przy takiej temperaturze mowy nie było o rozebraniu się, nawet jeśli dano mi dodatkowy koc. Przeciwnie, ubrałam się do snu, zrzuciwszy tylko z nóg sandały. Na sweter włożyłam wiatrówkę, głowę osłoniłam chustką — i z determinacją sięgnęłam po tabletkę nasenną, w nadziei, że po jej zażyciu przestanę słyszeć wycie wiatru i nie będę rozmyślać, że wokół ciemno, zimno, do domu daleko — i że bies chyba mnie podkusił do kolejnej podróży.

Nadzieja szybkiego zaśnięcia okazała się jednak zawodna. Owszem, parokrotnie zapadałam w drzemkę, jak w głęboki dół. Budziłam się jednak z niemiłym wzdrygnięciem na odgłos żałosnego zawodzenia wiatru, który co chwila wstrząsał chatą. — Do licha! Może lepiej byłoby przed snem wypić kieliszek alkoholu. Przynajmniej byłoby mi wtedy cieplej.

W Hanoi pozostały dwie butelki — winiak i wódka — których nie zdążyliśmy opróżnić wraz z miejscowymi przyjaciółmi. Zamknęłam je w szafie, żywiąc uzasadnione skądinąd przekonanie, że czterysta kilometrów bardziej na południe, zwłaszcza o tej porze roku panować będzie przecież, jeśli nie upał, to przynajmniej miłe ciepło. A tymczasem dygotałam w swetrze, w wiatrówce i pod dwoma kocami! Ponadto na przypomnienie ludzi z Quang Tri, widzianych po drodze, robiło mi się jeszcze zimniej. Nie mieli oni swetrów, ani szalików, ani innej ciepłej odzieży. Dzieci o sinych z zimna nogach, biegnące boso do szkoły... Chłopi, którzy grzęzną po kolana w szlamie ryżowisk... Jakież złośliwe siły sprzysięgły się znowu przeciw tutejszej nieszczęsnej ziemi, gnębiąc jej mieszkańców pogodą przypominającą raczej europejski luty lub deszczowy marzec, niż tropikalną wiosnę!

Coś zaszeleściło pod strzechą chaty. Początkowo nie zwróciłam uwagi na ów szmer, obliczając, jak długo przyjdzie nam zostać w Quang Tri, i jak prędko zostanie zrealizowany plan spotkań w tej prowincji, co pozwoliłoby szybciej wrócić do Hanoi. Tam również zimno dokucza, ale zawsze mniej, niż na tym przeklętym wydmuchu. Stary, poczciwy hotel „Thong Nhat", przez cudzoziemców nazywany po dawnemu „Metropol", mimo, że rozsypuje się jak wszyscy twierdzą, jest jednak solidniej zbudowany i bardziej skutecznie opiera się wiatrom, niż ta chałupa, która trzeszczy w posadach, jak gdyby lada chwila wiatr miał ją ponieść.

Kolejny szelest, tym razem wyraźniejszy dobiegł spod dachu. Coś przebiegło ubitą polepą, zastępującą podłogę. Wyraźniejszy szelest, tym razem ze środka. I równie wyraźne piśnięcie.

9

Koniec sezonu

JULIAN CIESONIK

Od połowy sierpnia tłok w pociągach do Augustowa i Suwałk powoli się zmniejsza, można jednak i wtedy postać do Białegostoku na jednej nodze wysłuchując mało życzliwych uwag współtowarzyszy podróży i niedoli. Uprzywilejowany łodzianin przychodzi wszelako na dworzec, gdzie „skład się podstawia", podczas gdy stolica jest bez szans, nawet w stosunku do Koluszek czy Skierniewic. Można też trafić w połowie sierpnia na wracającą pielgrzymkę, a choć ścisk jest wtedy jak w najlepszym okresie lipcowego szczytu, to warto się jednak trochę pomęczyć, by na własne oczy zobaczyć, jak młody dryblas nie zdobywa łokciami przestrzeni życiowej, tylko ustawia się tak, żeby i inni mogli stanąć na dwóch nogach.

NA DWORCU W AUGUSTOWIE...

...wysiada zaledwie parę osób reflektujących na taksówkę — ci, którzy na wypoczynek w ośrodkach wczasowych chcą zajechać z szykiem „a nie, panie, autobusem, jak jakiś dziad" oraz ci, koło których piętrzą się góry bagażu — na przykład składany kajak. Największą radość rodaków i rodaczek z Łodzi-miasta wywołują na razie miejscowe taksówki, ledwo taka stanie, a już się jej bagażnik sam z tyłu otwiera.

Na wschodnim brzegu Necka, gdzie wypożyczalnia wszystkiego co? Jezioro i las są na miejscu, a w Augustowie Tartak-disco, stwo jeszcze mieszane. Amatorzy spływów i ci z hotelu na górce, którzy będą tu już siedzieć i nigdzie dalej się nie ruszą, bo i po co? Jezioro i las są na miejscu a w Augustowie Tartak-disco, kino „Iskra", restauracje, bary, kawiarnie. Full kultura.

Wieczorem zaczynają się śpiewy i słychać partyzancką piosenkę starszych wodniaków, którzy samochód na przystani zaparkowali, a jutro popłyną zdobywając kilometry mozolnym wiosłowaniem, skądś dochodzi melodia wiecznie modnej w tych stronach „Beaty" „Siedem dziewczyn z „Albatrosa", tyś jedyna ahaaaa..." zaczyna zawodzić tęsknie jeden z tych, co dalej nie popłyną, bo i po co...

JEZIORO BIAŁE...

... tętni letnim życiem. Tłumy na plażach, na wodzie kajaki, żaglówki, motorówki, statek Białej Floty raczy wszystkich w promieniu kilkudziesięciu metrów darmowym koncertem rocka. Dalej jednak, gdy drzewa zaczynają już przesłaniać Augustów na jeziorze robi się pustawo, na biwakach coraz mniej samochodów i namiotów — widać, że sezon powoli się kończy. Jeszcze tylko tylna straż augustowskiego zgielku — motorówka, na której jakiś facet z zawiązaną na szyi chustką i dwiema dziewczynami na pokładzie

7

ZAMIAST PRZEGLĄDU PRASY

Przełamywanie schematów

Pod koniec ubiegłego tygodnia odbyło się w Bydgoszczy spotkanie naczelnych redaktorów pism społeczno-kulturalnych. Wprawdzie naczelni redaktorzy tych pism mieli okazję spotykać się w różnych gronach, ale we własnym nie mieli takiej okazji od... 14 lat. Po prostu nie uważano, że dla wypracowywania i realizacji polityki kulturalnej partii, a także jej upowszechnienia potrzebna jest pomoc tego rodzaju pism. Miały one raczej wykonywać polecenia i wskazania, a nie samodzielnie poszukiwać sposobów pozyskiwania czytelników dla tej polityki. Teraz ma być inaczej, teraz powróci się do spotkań w takim gronie, bo wymiana poglądów, doświadczeń, kłopotów i zamierzeń jest korzystna dla dalszego rozwoju czasopiśmiennictwa, a i dla polityki kulturalnej także.

Jest to wszakże grono dość liczne i bardzo zróżnicowane. Zaliczają się tu i miesięczniki, i tygodniki, zarówno pisma „centralne", bo ukazujące się w Warszawie, jak i regionalne, bo ukazujące się w różnych rejonach kraju, od Gdańska po Rzeszów. Zaliczają się więc tu pisma od „Twórczości", „Dialogu", „Odry" poprzez „Tu i Teraz", „Przegląd Tygodniowy", „Literaturę na Świecie" do „Spraw i Ludzi", „Odgłosów", „Opola", „Faktów", „Nadodrza" i „Twórczości Robotników". Nie wyliczyłem tu wszystkich pism, ale i tak widać jak wielkie jest ich zróżnicowanie, a co za tym idzie, jak wielkie jest tu też zróżnicowanie problematyki, tematów, sfer oddziaływania, zamierzeń i kłopotów. Ale też i coś te pisma łączy — przede wszystkim potrzeba działania na rzecz rozwoju socjalistycznej kultury w Polsce.

Nim przejdę do spraw zasadniczych poruszanych na dwudniowej naradzie w Bydgoszczy, chciałbym wyjaśnić dlaczego właśnie odbyła się ona w tym mieście. Powód jest prosty i dobry jak każdy inny. Przede wszystkim istniała potrzeba odbycia tego spotkania. Po wtóre potrzebę tę dostrzegł pierwszy i wpadł na taki pomysł redaktor naczelny bydgoskich „FAKTÓW" — Jan Górec-Rosiński i postanowił pomysłem tym zainteresować nie tylko władze w Bydgoszczy, ale i w Warszawie. Pomysł chwycił i narada, o której piszę uświetniła też jubileusz

25 LAT „FAKTÓW"

jaki w tym czasie miał miejsce w Bydgoszczy. Wszyscy wprawdzie składaliśmy jubilatom życzenia, ale niech tradycji stanie się zadość i złożymy je ponownie, już w imieniu Zespołu „Odgłosów" i naszych Czytelników: pomyślności, dobrych artykułów, reportaży, coraz więcej czytelników!!!

W jubileuszowym, 37 numerze „FAKTÓW" (z 17 września 1983 r.) stały felietonista tego pisma JOTGEER przeprowadził wywiad z naczelnym redaktorem — Janem Górec-Rosińskim. Niczego nie chcę sugerować, ale pseudonim felietonisty wystarczy porównać z inicjałami naczelnego, aby dojść do wniosku, że są jakby spokrewnieni: JotGeeR i JGR. Mniejsza zresztą o przypuszczenia. JGR przypomina w rozmowie z Jotgeerem, że pismo powstało 1 września 1958 roku, że początkowo były to „Fakty i Myśli", że było związane z ruchem ateistycznym i kulturą świecką, że na jego łamach ukazywały się literackie „Wiatraki" i że w 1972 roku nastąpiła fuzja z regionalnym „Pomorzem" i tak powstały „Fakty".

A jaki jest „Faktów" dzień dzisiejszy?

— *„Kryzys uderzył w kulturę* — mówi J. Górec-Rosiński — *a przez to i w tygodniki, głównie terenowe. Może kończy się dla wszystkich życie ułatwione? Rok 1983 rozpoczęliśmy z 33 tysiącami egzemplarzy. Aktualnie startujemy w nakładzie 46 tysięcy... Szukamy nowych form uatrakcyjnienia pisma. Szczególnie liczymy na reportaż — chyba najbardziej żywą część pisma i korepetycje, swoistą edukację historyczno-literacką maturzystów. To przecież przyszli czytelnicy „Faktów", bo czyta nas głównie inteligencja..."*

40 tysięcy nakładu, to sporo. Nie zmienia to wszakże faktu, że tygodniki społeczno-kulturalne borykają się z rozlicznymi trudnościami. Przemawiając już na naradzie Jan Górec-Rosiński mówił między innymi o potrzebie wyposażenia tych tygodników w takie same środki, aby nie miejsce wydawania decydowało o tym, czym pismo dysponuje, ale jego poziom, jego znaczenie i rola w procesie tworzenia i upowszechniania socjalistycznej kultury. Często rola ta na „prowincji" bywa wielekroć trudniejsza niż w stolicy i bardziej skomplikowana. Jednakowe wyposażenie w środki pism społeczno-kulturalnych — co nadal pozostaje przecież tylko postulatem — nie wyklucza rywalizacji, zapobiegliwości o nakład, a więc czytelnika, o skuteczność oddziaływania na niego. Kazimierz Zarzycki — redaktor naczelny katowickiego „Tak i Nie" wystąpił z postulatem premiowania tych, którzy znaleźli właściwy

SPOSÓB TRAFIANIA DO CZYTELNIKA

— *„Błąd jeśli istnieje* — mówił dalej w wywiadzie opublikowanym na łamach „Faktów" Jan Górec-Rosiński — *nie tkwi w formie ideologicznej czy teoretycznej, lecz w sposobie przekazywania swych przemyśleń. Może właśnie dlatego, że zmęczeni jesteśmy nadmiarem mitów, pseudoteorii, odwróconych lub zafałszowanych prawd, trzeba tworzyć intelektualne sito dla myślenia potocznego. Sitem tym winien być m.in. i tygodnik społeczno-kulturalny. Rzecz więc nie w glajszachtowaniu teorii, a w umiejętności komunikowania się z ludźmi. Być może za mało jest jeszcze wydobywania newralgicznych spraw. Nasza współczesność wymaga śmielszego języka, odkrywczych koncepcji, jasnych wizji, prostych, ale nie uproszczonych sądów, większej wrażliwości duchowej i moralnej. Tak rozumiem otwartą, humanistyczną formułę. To jest droga do powiększenia nakładu. Trudniejsza, ale jakże satysfakcjonująca!"*

Sposobów trafiania do czytelnika jest wiele i są różne. Różne redakcje w różny sposób je stosują — my też takowych poszukujemy — ale wszyscy — co z dużą mocą podkreślił kierownik Wydziału Prasy, Radia i Telewizji KC PZPR — Bogdan Jachacz — muszą nieustannie je weryfikować z praktyką, czyli badać, jak one wpływają na poczytność pisma, czy jest to właśnie to, czego od pisma oczekuje czytelnik. Jest to podstawowy warunek powodzenia pisma.

„Fakty" — zanim doszło do spotkania w Bydgoszczy — przez wiele tygodni publikowały rozmowy z naczelnymi redaktorami pism społeczno-kulturalnych. Rozmowy te pokazują różny sposób podejścia do problemu poczytności pisma, jego polityki i programu. Oto, co na przykład w tej sprawie mówi naczelny redaktor „Tu i Teraz" — Kazimierz Koźniewski:

— *„...chciałbym, aby „Tu i Teraz" kupowało sto tysięcy rozjuszonych na mnie lub uwielbiających mnie czytelników, ale zdaję sobie sprawę ile czynników działa nam na przekór. Po pierwsze: moment i okoliczności powstania pisma. Moja niechęć do aktualności i sensacji jako sposobu redagowania pisma. Fakt, iż jako redaktor nieustannie podkreślam swoje, zawsze wyraźne, stanowisko w sprawach najbardziej istotnych, które jak na razie, nie jest bardzo popularne...*

Pismo spełniło moje marzenia, jest pismem szeroko otwartym na dyskusje i polemiki, pismem prowokującym polemiczne reakcje. Pismo otwarte — ale nie dla wszystkich! Każda otwartość musi mieć — jak zawsze i wszędzie — swoje zamknięcia. Nie każdego chcemy mieć w naszym piśmie. Napisałem to przed rokiem i jakoś tego przestrzegam. Kuriemu zdumieniu tego rodzaju jasna konstatacja obudziła największe furie..."

Zupełnie inaczej sprawy te widzi Tadeusz Koniusz — redaktor naczelny dwutygodnika wychodzącego w Zielonej Górze „Nadodrze":

— *„Zacznijmy od nakładu, który wynosi 12 tysięcy egzemplarzy. Jak na tego typu pismo, poziom, zainteresowanie, tematykę, to nie jest mało. Proszę wziąć pod uwagę, że pisma ogólnopolskie, kolportowane w całym kraju, we wszystkich kioskach nie przekraczają często 100 tysięcy. Oczywiście nakład mógłby być większy, ale trzeba by było tego dokonać kosztem poziomu pisma. To jest właśnie ten problem, co tu się bardziej opłaci? Obowiązuje nas formuła sprzed ćwierć wieku, która się przez te wszystkie lata jakoś sprawdziła, „...nie jesteśmy tylko czytani w naszym regionie. A to też się liczy, jeśli nie chcemy być pismem nie tyle regionalnym co prowincjonalnym."*

Jeszcze inne spojrzenie. Tym razem wypowiada się naczelny redaktor dwutygodnika, a od 1 stycznia 1984 r. tygodnika, „Kameny" — Marek Adam Jaworski:

— *„...pismo — chcę tego, czy nie chcę — musi być sprzedawane. Gotów więc jestem trzy czwarte numeru redagować poważnie, a jedną czwartą z przymrużeniem oka. Ci, którzy kupią „Kamenę" dla tej jednej czwartej, może przeczytają pozostałe trzy czwarte. I może przy okazji czegoś się dowiedzą."*

Co ma się składać na tę jedną czwartą? M. A. Jaworski tak to wyjaśnia:

— *„Wspomnienia Jana Tomaszewskiego, rozmowy z piosenkarzami, opisy życia i działalności Bruce Lee, krzyżówka... Co ja będę zresztą wyliczał. Inteligentny czytelnik, przeglądając „Kamenę", sam zauważy, jak to jest w istocie."*

Można by tak było dalej cytować. Każde pismo w inny sposób poszukuje kontaktów z czytelnikiem, stara się poszerzać ich krąg.

ZALEŻY TO OD WIELU CZYNNIKÓW

Przede wszystkim od zespołu i jego umiejętności, zdolności podejmowania istotnych problemów, nawiązywania kontaktu z czytelnikiem. Bogdan Jachacz zarzucił nawet, że w wielu tygodnikach kontakt z czytelnikiem jest mało widoczny na łamach pisma, że nie odczuwa się tego związku. To też zależy od zespołu, od stopnia jego zaangażowania w dokonujące się zmiany, od stopnia zaangażowania w toczące się życie.

Co jest zatem niezbędne, aby dobrze móc redagować pismo?

Po pierwsze — dobra orientacja w tym wszystkim, co dokonuje się współcześnie w świecie i kraju. Właściwy dopływ informacji i umiejętność ich wykorzystywania. Z tego to powodu wicepremier Mieczysław F. Rakowski i kierownik Wydziału Kultury KC PZPR — Witold Nawrocki obszernie omówili aktualną sytuację społeczno-polityczną w kraju oraz przedstawili różne problemy, którymi żyją środowiska twórcze, a Witold Nawrocki zarysował główne kierunki polityki kulturalnej partii. Powiedział on m.in.

„Linia IX Nadzwyczajnego Zjazdu jest linią walki i porozumienia. W cierpliwej pracy wyjaśniającej i organizacyjnej partia stymuluje w środowiskach twórczych procesy stabilizacyjne, buduje fronty porozumienia na gruncie aprobaty fundamentalnych celów socjalizmu i pryncypiów ustrojowo-prawnych naszego państwa. Zyskuje coraz więcej sojuszników i zwolenników dla programu pozytywnej pracy nad wzbogacaniem i lepszym funkcjonowaniem środowisk twórczych oraz kultury polskiej w globalnym sensie. Dąży również do wywołania niezbędnego frontu dyskusji i polemiki wobec grup i sił, które opowiadają się za utrzymaniem atmosfery konfrontacji politycznej."

Po drugie — konieczność utrzymywania wszechstronnego kontaktu z czytelnikami. Składa się na to nie tylko kontakt wyrażający się w listach do redakcji, ale również badanie gustów i potrzeb czytelników, próba odpowiadania na te potrzeby. Składa się na to również szybka analiza rynku czytelniczego. Tego jeszcze robić nie potrafimy. Mimo naszych próśb i obietnic wydawcy kolporter nie potrafi dostarczyć szybkiej i wyczerpującej informacji o tym, co dokonuje się na rynku, aby redakcje mogły na te informacje reagować redagując kolejne numery pisma. Osobną sprawą — jak się okazało — są kłopoty wydawnicze i kolporterskie, z jakimi borykają się miesięczniki. Wydawca obiecał zająć się tymi sprawami na osobnym, bardziej już roboczym spotkaniu.

Po trzecie — niezbędność ciągłego rozszerzania zespołu piszącego o nowych współpracowników, skupiania coraz większego grona ludzi wokół pisma. Rezultatem wymiany myśli, poglądów, propozycji w tym gronie ludzi powinien być taki obieg informacji między różnymi kręgami czytelników i sympatyków pisma a redakcją, który pozwalałby szybko i trafnie reagować na to wszystko, co dzieje się wokół nas, jak też spełniać oczekiwania czytelników.

Wiele jeszcze różnych innych czynników ma wpływ na redagowanie pisma, jak też o wielu jeszcze innych sprawach mówiono na bydgoskim spotkaniu. Jak choćby o problemie regionalizmu i prowincjonalizmu w naszym życiu kulturalnym. Ale sądzę, że będzie okazja napisać o tym osobno w najbliższej przyszłości. Oto na przykład niebawem swoje 50-lecie będzie obchodzić lubelska „Kamena".

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

W najbliższych numerach:

- DYPLOMACJA WŁOSKA WE WRZEŚNIU 1939 R.
- O MIECZYSŁAWIE NIEDZIAŁKOWSKIM
- ROZMOWA Z JERZYM MAKSYMIUKIEM
- OSTATNI ŁÓDZKI KOWAL
- MARAZM W BIAŁOGARDZIE
- IRENA JAROCKA W USA
- O USTAWIE O MŁODZIEŻY — KRYTYCZNIE
- O SYTUACJI PLASTYKÓW

Minął tydzień

ORDER DLA WIELUNIA

Bogaty był program obchodów 700-lecia Wielunia. Odbyła się między innymi sesja Rady Narodowej Miasta i Gminy, a także sesja naukowa poświęcona dziejom miasta. W trakcie uroczystości miasto otrzymało nadany przez Radę Państwa Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski. W uroczystościach wieluńskich obok przedstawicieli władz centralnych i wojewódzkich był żołnierz Armii Radzieckiej, który brał udział w wyzwalaniu Wielunia — Iwan Nazim.

700-letniemu Wieluniowi życzymy dalszych tysiąca i jeszcze więcej lat świetności i powodzenia!

CYTATY

Kazimierz Barcikowski:

— *„Ale już w sierpniu 1980 roku istniała realna możliwość, obserwowaliśmy jej symptomy — aby kraj skierować na drogę negacji ustroju, wbrew socjalizmowi, czyli stworzenie sytuacji, w której środki nadzwyczajne byłyby nieuniknione.*

W sierpniu istniała nadzieja, że wszystko pójdzie lepiej, że realizacja procesów odnowy będzie przebiegała bez zakłóceń. Jednak niedaleka przyszłość wykazała, że głosy tych, którzy twierdzili, iż zadziałają siły chcące kraj zepchnąć z drogi odnowy, nie były pozbawione racji..."

„Trybuna Ludu", 10—11 września 1983 r.

Witold Nawrocki:

— *„Rozwiązanie związku jest klęską części, a nie całości organizacji pisarskiej. Organizacja literatów odradza się, licząc na poparcie wszystkich, którym drogie jest dobro literatury. Do współdziałania zaproszono wszystkich, którzy działać pragną na rzecz i dla dobra środowiska, dla przywrócenia i umocnienia wszystkiego, co służy dobrze pisarzom i literaturze."*

„Trybuna Ludu", 12 września 1983 r.

Roman Bratny:

— *„Deklaracja grupy pisarzy wzywających do utworzenia nowego zrzeszenia środowiskowego wymienia wśród celów takiego stowarzyszenia walkę o jak największy zakres swobód twórczych. Są ludzie dobrej woli z obu stron, a to przecież przesłanka nadziei. Chciałbym powiedzieć w tym miejscu, że o ile w pełni popieram wszystko, co pozwala uniknąć perspektywy konfrontacji politycznej, to sądzę, że nasza dziedzina, dziedzina życia intelektualnego, wymaga stałej, a nawet ostrej konfrontacji. Konfrontacja poglądów potrzebna jest jak powietrze."*

„Życie Warszawy", 10—11 września 1983 r.

25 LAT „WESOŁEGO AUTOBUSU"

W niedzielę, 11 września 1983 r. o godzinie 16 Polskie Radio w programie I nadało 300 audycję „Wesołego Autobusu". 300 audycji i 25 lat zbiegły się ze sobą. Przypomniano teksty i piosenki autorów od dawna związanych z „Wesołym Autobusem": Tadeusza Dobrzyńskiego, Józefa Mozgi, Wojciecha Drygasa, Wiesława Machejki, Włodzimierza Krzemińskiego.

Przez te 25 lat w „Wesołym Autobusie" występowało wielu artystów scen łódzkich i warszawskich. Jak napisali w 1974 roku autorzy „Alfabetu polskiej rozrywki" jest to *„jedyna audycja rozrywkowa, powstająca z myślą o mieszkańcach wsi"*.

Dawnym i nowym autorom, wykonawcom i realizatorom dalszych, pomyślnych 100 lat!

PRACUJĄC LEPIEJ SZKODZI SOBIE

choć pomaga innym. Do takiego paradoksu doszło w Lekarskiej Spółdzielni Pracy w Warszawie. Pobierane dotychczas opłaty nie pozwalały na samofinansowanie się spółdzielni. Postanowiono je podnieść, co było konieczne, aby zlikwidować deficyt, a przeciw czemu zaprotestowali... lekarze, wychodząc z założenia, że jest to działanie skierowane przeciw pacjentom. Na przykład opłata za wizytę u lekarza z I stopniem specjalizacji wzrosła ze 100 do 150 zł, a z II stopniem specjalizacji ze 150 do 210 zł. Zrobienie zastrzyku kosztowało jeszcze w czerwcu 1983 r. 40 zł, a teraz kosztuje 60 zł.

Protest lekarzy wziął się z tego, że pacjenci przypuszczają, iż większe opłaty za porady idą do lekarskich kieszeni, a tymczasem jest przeciwnie. Większy dochód z opłat idzie w całości na pokrycie kosztów funkcjonowania spółdzielni, a prowizję dla lekarzy zmniejszono do 30 procent. Jeśli opłaty za porady nie wzrosną, to Lekarska Spółdzielnia Pracy w Warszawie, dysponująca 29 placówkami, część z nich będzie musiała... zamknąć.

Warszawscy lekarze utrzymują, że jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy jest traktowanie lekarskiej spółdzielni jak każdej innej zajmującej się produkcją, a przecież ma ona do spełnienia zupełnie inne zadania, więc i inne powinny obowiązywać ją przepisy.

Służba zdrowia w kraju boryka się z wieloma trudnościami. Byłoby źle, gdyby zaczęto likwidować spółdzielnie lekarskie, gdyż wspomagają one państwowe lecznictwo i są ludziom bardzo potrzebne. Powinniśmy raczej robić wszystko, aby spółdzielczość lekarska rozwijała się, a nie ginęła.

PIECHOTĄ BYŁOBY SZYBCIEJ

Łódzka telefonia ukończy w październiku 1983 roku sto lat. Jak zwykle z takiej okazji zwołuje się konferencję prasową, aby powiadomić opinię publiczną o tak radosnym fakcie. Tak też i zrobiono tym razem, co było jeszcze i tym uzasadnione, że łódzka telefonia przechodzi w listopadzie 1983 r. na system sześciocyfrowych numerów oraz uruchamia centralę międzynarodową. Jest się z czego cieszyć, choć znając nasze zamiłowanie do porządku można spodziewać się nielichego bałaganu. Ale to dopiero będzie.

Również i naszą redakcję zaproszono na konferencję prasową, która odbyła się w poniedziałek, 12 września 1983 roku o godzinie 12 w siedzibie Dyrekcji Okręgu Poczty i Telekomunikacji. Zaproszenie w tej sprawie wysłano 8 września 1983 roku o godzinie 15.00, co jest uwidocznione na stemplu pocztowym. Tak się składa, że nasza redakcja mieści się o dwa przystanki autobusem pośpiesznym „K" od siedziby Dyrekcji Okręgu Poczty i Telekomunikacji, albo 3 przystanki tramwajowe na Al. Tadeusza Kościuszki. Goniec trasę tę — nawet pieszo — pokonałby w ciągu 20 minut. Ile szło pismo?

Dotarło do naszej redakcji w poniedziałek w południe.

O przebiegu konferencji przeczytaliśmy w prasie codziennej. Jeśli tak samo będzie ze zmianą systemu numerów — to niech nas dobry Bóg chroni!

TYTUŁ W „GŁOSIE ROBOTNICZYM"

„I na Gierka też można liczyć".

Proszę się nie niepokoić. Chodzi o Jacka Gierka — piłkarza RTS Widzew, któremu w meczu z Górnikiem Zabrze powierzono rolę — jak donosi Bogusław Kukuć — reżysera gry i z roli tej dobrze się wywiązał. Byłoby wprawdzie lepiej, gdyby Widzew wygrał, a nie tylko zremisował.

A. B. SEKATOR

Rozwiązania przejściowe a reforma

WITOLD KASPERKIEWICZ

Obserwacja losów reformy gospodarczej w 1983 r. uzasadnia postawienie pytania: czy możemy oczekiwać konsekwentnej kontynuacji i dalszego postępu reformy zgodnego z kierunkami określonymi przez założenia programowe IX Zjazdu PZPR i uchwały Sejmu PRL. Odpowiedź negatywna byłaby niesprawiedliwością wobec dokonań pierwszego, trudnego etapu urzeczywistniania reformy. Ocena procesu wdrażania i skutków reformy w 1982 r. dowodzi, iż mimo licznych ograniczeń obiektywnych i subiektywnych hamujących wprowadzanie w życie nowych zasad ekonomicznych, zainicjowana została postępowa przebudowa systemu funkcjonowania gospodarki narodowej i wystąpiły w niektórych dziedzinach przejawy poprawy stanu gospodarki. Jednakże stanowisko przeciwne, tzn. intelektualne samozadowolenie, z którego wypływałaby teza, że perspektywy reformy rysują się w różowych kolorach, a obecne rozwiązania są najlepszym wcieleniem reformy, byłoby jeszcze gorsze. Na drodze prowadzącej do osiągnięcia systemu docelowego naszkicowanego w „Kierunkach reformy gospodarczej" znajduje się etap rozwiązań przejściowych, które są podyktowane kryzysowymi warunkami, w jakich wdrażana jest reforma. Obszar stosowanych dotychczas regulacji przejściowych (np. reglamentacja surowców, silna progresja podatkowa itp.) powiększony został o kolejne zalegalizowane na mocy ustawy Sejmu z 21 lipca 1983 r. o szczególnej regulacji prawnej w okresie przezwyciężania kryzysu społeczno-ekonomicznego. Ustawa ta jest dobitnym świadectwem, że reforma kroczy z niemałymi oporami, po drodze wyboistej i stromej.

Intencją ustawy o szczególnej regulacji jest usunięcie lub złagodzenie twardego prawodawstwa okresu stanu wojennego. Z zapewnień przedstawicieli rządu wynika, że niezmiennym dążeniem władz jest realizacja reformy według koncepcji przyjętej przez IX Zjazd PZPR. Jednak realia kryzysu są nieubłagane i wymuszają stosowanie w tzw. okresie przejściowym nadzwyczajnych regulacji wywodzących się z arsenału narzędzi nakazowo-rozdzielczych. Taka jest w telegraficznym skrócie rządowa interpretacja konieczności wprowadzenia regulacji przejściowych. Dura lex, sed lex. Przyjęcie tej maksymy nie wyklucza jednak potrzeby krytycznego osądu owych regulacji, tym bardziej, że mamy ciągle w pamięci liczne przykłady potwierdzające prawdę, że rozwiązania tymczasowe w naszej gospodarce wykazują magiczną moc samoutrwalania się.

Nowa ustawa wprowadza przepisy przejściowe w pięciu kwestiach mających bezpośredni lub pośredni związek z zasadami reformy, a mianowicie w sferze zatrudnienia, warunków funkcjonowania samorządu pracowniczego, ustalania cen, gospodarowania majątkiem trwałym w przedsiębiorstwach i zamówień rządowych. Jedyną zmianą o charakterze trwałym jest wprowadzenie do ustawy o przedsiębiorstwach państwowych nie istniejącego dotąd przepisu o wykonywaniu przez organ założycielski czynności w zakresie stosunku pracy dyrektora (np. określa jego wynagrodzenie).

1. Przepisy nowej ustawy liberalizują dotychczasowe, obowiązujące w okresie stanu wojennego, ograniczenia w zakresie możliwości rozwiązywania przez pracowników stosunku pracy. Nie jest to jednak zapowiedzią laissez-fairyzmu na rynku pracy, gdyż ustawa przewiduje przedłużenie okresu wypowiedzenia do 6 miesięcy w odniesieniu do zakładów pracy o podstawowym znaczeniu dla gospodarki narodowej. Przepis ten nastawiony jest na stworzenie bariery zapobiegającej odpływowi pracowników z dziedzin, gdzie deficyt siły roboczej jest szczególnie dotkliwy. Wydaje się, iż skuteczność tej regulacji nie będzie wysoka; spowoduje najwyżej krótkookresowe zamrożenie niepokojącego w skali społecznej procesu odciągania pracowników z ważnych gałęzi przemysłu. Uporządkowanie trudnych spraw rynku pracy zależy przede wszystkim od reformy systemu płac, która, mimo pierwszych osiągnięć, nie zlikwidowała jeszcze absurdów w proporcjach płacowych. Przepływ licznych rzesz pracowników do sektora prywatnego, drobnej wytwórczości spowodowany jest nieatrakcyjnymi w sensie wysokości zarobków systemami płacowymi w licznych gałęziach przemysłu. Wykorzystanie przez przedsiębiorstwa prawa tworzenia własnych systemów wynagradzania powinno przyczynić się do wzmocnienia motywacyjnej funkcji płacy i tym samym przepis o wydłużeniu okresu wypowiedzenia przestanie czemukolwiek służyć.

Inną sprawą w dziedzinie zatrudnienia jest wprowadzenie, na mocy omawianej ustawy, możliwości selektywnego zastosowania obowiązkowego pośrednictwa pracy przez wydziały zatrudnienia. Przyjęta w ustawie regulacja stanowi przejaw powrotu do nakazowych metod racjonalizacji zatrudnienia. Wprawdzie ustawodawcy przyświeca dobra intencja, aby skromne zastępy fachowców trafiały do szczególnie ważnych w okresie kryzysu dziedzin produkcji, to jednak wysoce wątpliwa jest skuteczność tego posunięcia. Doświadczenie naszej gospodarki poucza, że stosowane w przeszłości administracyjne metody oddziaływania na strukturę zatrudnienia nie zdały egzaminu, przynosząc często skutki odwrotne od zamierzonych (np. „chomikowanie" pracowników). Analizując zasadność tej regulacji przejściowej trudno oprzeć się konkluzji, że stanowi ona próbę złagodzenia pewnych błędów popełnionych w polityce ekonomicznej i centralnej regulacji w latach 1981 — 1982, które zrodziły anormalną sytuację na rynku pracy. Rzecz dotyczy przede wszystkim decyzji o wcześniejszych emeryturach, wadliwego systemu odpisów na Fundusz Aktywizacji Zawodowej, obowiązującego w 1982 r. oraz tzw. „miękkiego" systemu finansowego, nie wymuszającego na przedsiębiorstwach należytej efektywności gospodarowania jako podstawowej metody zwiększania zysku.

2. Funkcjonowanie samorządu pracowniczego w reformowanej gospodarce jest dowodem na to, jak kręte są ścieżki obecnej reformy. W okresie stanu wojennego ustanowiono prawo organów założycielskich do zawieszania działalności organów samorządu pracowniczego. Ustawa o szczególnej regulacji prawnej utrzymuje ten przepis na 2 lata, ale przyznaje organom samorządu prawo odwołania się od decyzji organu założycielskiego do Komisji d.s. Samorządu Pracowniczego powołanej przy Radzie Państwa. Dodać należy, że zrezygnowano w ustawie z uprzednio istniejącego warunku wznowienia działalności rady pracowniczej, jakim było dokonanie nowych wyborów i stworzono możliwość jej rozwiązania w krańcowych wypadkach, ale decyzja w tej kwestii nie należy do organu założycielskiego, lecz jedynie do Komisji d.s. Samorządu Pracowniczego.

Nowa ustawa nie zawiera zmian zaostrzających poprzednie przepisy ani uszczuplających uprawnienia samorządów. Nie podważając przydatności klauzuli o możliwości zawieszania organów samorządu przez organ założycielski, należy jednak zwrócić uwagę na potencjalną groźbę nadużywania przez administrację gospodarczą kategorii interesu społecznego, którego naruszenie przez samorząd stanowi podstawę do jego zawieszenia. Z obserwacji funkcjonowania naszej gospodarki wynika wniosek, iż administracja gospodarcza niekiedy w sposób osobliwy interpretuje pojęcie interesu społecznego. Dalszy rozwój instytucji samorządu pracowniczego zależy więc w znacznej mierze od uznania go przez centralną administrację za ważny, nieodłączny element reformowanego systemu gospodarczego.

3. Regulacje w zakresie kształowania cen sprowadzają się do przejściowego ograniczenia swobody ustalania cen przez przedsiębiorstwa. W wypadkach uzasadnionych względami społecznymi rząd może wprowadzić zakazy podwyższania cen, z wyjątkiem wypadków niezależnych od przedsiębiorstwa ustalającego te ceny i określić dopuszczalne wskaźniki wzrostu cen wybranych grup towarów i usług. Warto zaznaczyć, iż uprawnienie organów państwowych do zamrażania cen zapisane zostało już w ustawie o cenach. Ustawa o szczególnej regulacji prawnej uelastycznia owo uprawnienie, wprowadzając możliwość częściowego zamrożenia cen, z wyłączeniem wszystkich wypadków, w których wzrost cen produktu wynika ze wzrostu cen surowców, energii, paliw itp.

Jakie względy wpłynęły na wprowadzenie elementów administracyjnej blokady cen? Wydaje się, iż złożyły się na to dwie podstawowe przyczyny. Po pierwsze, negatywny stosunek szerokich kręgów społeczeństwa wobec praktyk cenowych niektórych przedsiębiorstw wykorzystujących swoją pozycję monopolisty. Trudno w tym momencie pominąć fakt demagogii uprawianej w środkach masowego przekazu w odniesieniu do spraw kształtowania cen. Często akcje interwencyjne podejmowane w telewizji, czy prasie graniczą z histerią cenową. Po wtóre, wiara centralnej administracji, że odgórna ingerencja cenowa pozwoli na złagodzenie napięć inflacyjnych, zahamowanie rozwoju spirali wzrostu cen i płac.

Dostrzegając pewne zalety tego rozwiązania przejawiające się w ukróceniu jawnego rozboju cenowego uprawianego przez niektórych producentów (notabene nie są to przypadki tak liczne, jak się potocznie wydaje), należy pamiętać, że administracyjna kontrola cen obarczona jest wieloma mankamentami. Oto niektóre z nich petryfikacja wyjściowej struktury cen, kształtowanie cen poniżej poziomu równowagi, co powoduje utrwalanie się sytuacji rynku producenta i rodzi potrzebę rozdzielnictwa, likwidacja bodźców do zwiększania produkcji wyrobów najbardziej deficytowych, zwiększania deficytu budżetu państwa z powodu ograniczenia wpływów podatkowych i konieczności dotowania wyrobów o sztywnych cenach itp. Ponadto usztywnienie polityki cenowej prowadzi nieuchronnie do stosowania zindywidualizowanych ulg podatkowych, branżowych rachunków wyrównawczych cen, a w ostateczności dyrektyw produkcyjnych i rozdzielnictwa. System ekonomiczny staje się więc coraz bardziej zagmatwany i wykazuje tendencję do powrotu na stare łożysko systemu nakazowo-rozdzielczego.

4. Ustawa z 21 lipca 1983 r. reguluje również sprawę niepełnego wykorzystania majątku produkcyjnego przedsiębiorstw. Zjawisko to przybrało dość rozległy zasięg, zarówno z przyczyn obiektywnych (np. ograniczenia importowe, deficyt pracowników), jak i subiektywnych (np. indolencja organizacyjna kadry kierowniczej, pokutowanie starych nawyków „chomikowania" maszyn). Rozwiązania reformy zmierzają do skonstruowania takiego systemu, w którym przedsiębiorstwa powinny same pozbywać się nie wykorzystanego majątku produkcyjnego lub dążyć do jego intensywnego zagospodarowania. Wyzwalaniu tej tendencji służyć powinno skoordynowane działanie systemu cen, kredytów, podatków i dotacji. System ten już działa, lecz z niewielkim skutkiem. Wobec tego nowa ustawa proponuje określony tryb postępowania w wypadku niedostatecznego wykorzystywania majątku trwałego przedsiębiorstwa. Tryb ów składa się z trzech etapów:

— wyznaczenie przedsiębiorstwu przez organ założycielski terminu zagospodarowania nieczynnego aparatu wytwórczego.

— ogłoszenie przetargu na nie wykorzystane składniki aparatu,

— odpłatne przekazanie, na mocy decyzji organu założycielskiego, nie zagospodarowanych elementów majątku innej jednostce organizacyjnej.

Komentarz do tej regulacji przejściowej jest podobny do poprzednich. Mamy tu do czynienia, z jednej strony ze słusznym dążeniem do właściwego wykorzystania majątku będącego własnością ogólnospołeczną, z drugiej zaś z niebezpieczeństwem rozszerzenia władczych uprawnień ministrów gałęziowych wobec przedsiębiorstw i w efekcie z plagą przetargów, uznaniowości rozbijających logikę nowego systemu ekonomicznego.

5. Ostatnią z omawianych kwestii stanowi obligatoryjność zamówień rządowych, której celem jest stworzenie możliwości przeciwdziałania wykorzystywaniu przez niektóre przedsiębiorstwa sytuacji monopolistycznej. W warunkach ustabilizowanego rynku przedsiębiorstwa powinny być zainteresowane zamówieniami rządowymi, z którymi wiążą się gwarancje zaopatrzenia materiałowego, ulgi podatkowe, korzystne kredyty itp. Obecne skomplikowane warunki gospodarcze sprzyjają stawianiu przez producentów-monopolistów żądań wykraczających poza rzeczywiste potrzeby zaopatrzeniowe, czy określony przepisami zakres ulg podatkowych. Intencją ustawy jest stosowanie elementu obligatoryjności zamówień rządowych w sytuacjach wyjątkowych. Nadużywanie przez centralną administrację tego narzędzia może mieć bardzo niekorzystny wpływ na zasady reformy. Nakazowy charakter zamówień rządowych może stanowić bowiem parawan do restytucji starych metod zarządzania gospodarką. Dlatego też z dużą ostrożnością i w sposób selektywny należy korzystać z tego instrumentu, który może łatwo przerodzić się w brzytwę podcinającą reformę. Jest to bardzo realne niebezpieczeństwo zważywszy zamiłowanie części naszej centralnej biurokracji gospodarczej do komenderowania przedsiębiorstwami w trosce o swoiście częstokroć pojmowany interes społeczny.

ROKOWANIA ROZBROJENIOWE

Jak uniknąć tragedii Hiroszimy i Nagasaki

KRZYSZTOF SZLICHCIŃSKI

Początek lat osiemdziesiątych, to okres wzmożonego wysiłku negocjatorów za stołami obrad rozbrojeniowych. Jednak nasilające się tempo wyścigu zbrojeń sprawia, iż pakiet spraw do rozwiązania staje się coraz większy.

Nastąpiło poważne ilościowe rozbudowanie potencjału militarnego. Towarzyszyło mu jakościowe doskonalenie uzbrojenia tzw. konwencjonalnego oraz poszczególnych rodzajów broni masowego rażenia. Broń termo-nuklearna już od momentu zakończenia II wojny światowej zaczęła stanowić przysłowiowy języczek u wagi. Można powiedzieć, iż eskalacja zbrojeń szczególnie wyraziście uwidacznia się w dziedzinie broni atomowej.

Porozumienia podpisywane w sprawie nierozprzestrzeniania tej broni miały uchronić ludzkość przed zaistnieniem groźby doświadczenia tragedii Hiroszimy i Nagasaki. Mimo podpisania wielu międzynarodowych porozumień, o których wspomnimy nieco później, proliferacja broni atomowej jest realnym, ciągle postępującym procesem. Możemy mówić o dwóch rodzajach proliferacji: poziomej i pionowej. Proliferacja pozioma — to innymi słowy — totalny wyścig o wejście w posiadanie bomby atomowej przez coraz to nowe państwa. Proliferacja pionowa polega na permanentym doskonaleniu broni termo-nuklearnej przez supermocarstwa znajdujące się w jej posiadaniu, np.: doskonalenie precyzji rażenia, zwiększanie mocy ładunków i zasięgu oraz niezawodności środków przenoszenia.

1. NIEBEZPIECZNY WYŚCIG

USA, ZSRR, Francja, Wielka Brytania, Chiny oraz Indie znajdują się w posiadaniu pokaźnych arsenałów broni atomowej. Rozmieszczanie nowych wyrzutni, wyposażanie okrętów podwodnych w tę broń potęgują zagrożenie atomowe. Oblicza się, że na każdego mieszkańca Europy przypada ładunek równy sile rażenia 60 ton trotylu, a na mieszkańca globu ziemskiego przypada przeciętnie ładunek 15 ton. Wiadomo, iż eksplozja 15-gramowego ładunku powoduje śmierć człowieka.

Przedstawiciele III Świata zarzucają supermocarstwom nuklearnym, że czynią zbyt mało wysiłków w celu ograniczania własnych programów rozwoju potencjału atomowego. Negocjacje rozbrojeniowe prowadzone między ZSRR i USA znajdują się ciągle w fazie nie uzgodnionych stanowisk i nie zanosi się na to, by postanowienia SALT II miały być w pełni przestrzegane. Zbrojenia w ramach proliferacji pionowej zwiększają zagrożenie pokojowej egzystencji ludzkości. Dzięki ciągle doskonalonej technice zacierają się różnice między skutkami proliferacji pionowej i poziomej.

Duży postęp w dziedzinie produkcji broni nuklearnej sprzyja jej proliferacji wśród krajów rozwijających się. Kraje te prowadzą częstokroć tajne badania nad bronią atomową. Skoro na przykład Indie znajdują się w posiadaniu broni atomowej, to można przypuszczać, że Pakistan wkrótce dołączy do coraz mniej ekskluzywnego grona „klubu atomowego". Właśnie wyścig zbrojeń wśród państw III Świata potęgowany jest przez dążenia do uzyskania przewagi militarnej nad bezpośrednimi sąsiadami. Charakterystyczne stwierdzenie przywódcy Pakistanu: „Moi ludzie mogą jeść trawę, lecz kraj musi mieć w ciągu pięciu lat bombę atomową" — oddaje sposób rozumienia problemu nieproliferacji przez znaczną część krajów rozwijających się. W krajach tych wydatki zbrojeniowe wykazują wyższą dynamikę od tempa wzrostu gospodarczego. Powoduje to znaczne utrudnienia w realizacji strategii wyeliminowania zacofania gospodarczego. Problemy te ze względu na swą złożoność wymagają oddzielnego opracowania.

2. ROKOWANIA I ROZMOWY ROZBROJENIOWE

Proces wielopłaszczyznowych negocjacji trwa nieprzerwanie od 1959 roku. W wyniku tych rozmów i negocjacji zawarto wiele bilateralnych oraz multilateralnych porozumień. Znaczenie porozumień, umownie nazywanych rozbrojeniowymi, a w zasadzie stanowiących dopiero wstęp do właściwego rozbrojenia, polega na stworzeniu zrębów współczesnego międzynarodowego systemu prawnego limitowania wyścigu zbrojeń. Zalicza się do nich na ogół porozumienia dotyczące ograniczeń i eliminowania materialnych środków prowadzenia wojen. Za pierwsze porozumienie tego typu w okresie powojennym uważa się układ z 1959 roku o demilitaryzacji Antarktyki.

Rola tych porozumień może być oceniana w wielu kategoriach: politycznych, wojskowo-technicznych, ekonomiczno-społecznych, a także bezpośredniej funkcjonalnej użyteczności poszczególnych porozumień dla ogólnego stanu stosunków międzynarodowych. Chcąc dokonać wnikliwej analizy i oceny zawartych po drugiej wojnie porozumień rozbrojeniowych, należałoby zbadać około 30 układów wielostronnych, a także porozumień dwustronnych (głównie radziecko-amerykańskich).

W 1957 roku powołano do życia Międzynarodową Agencję Energii Atomowej (IAEA) w Wiedniu. Jej podstawowym zadaniem stało się sprzyjanie rozwojowi międzynarodowej współpracy w dziedzinie pokojowego wykorzystania energii jądrowej. Choć porozumienie dotyczące powołania do życia IAEA nie było bezpośrednio związane z problematyką rozbrojeniową, to stanowiło jednak moment przełomowy w stosunkach Wschód-Zachód. Ta wyspecjalizowana agenda ONZ miała również przyczynić się do realizacji jednego z najbardziej istotnych zadań w dziedzinie rozbrojenia jądrowego, a przynajmniej do nieproliferacji tej broni. Proces odprężenia nie zachodził samoistnie, lecz wymagał ogromnego wysiłku ze strony wszystkich jego uczestników. Podpisywanie umów czy układów o charakterze rozbrojeniowym wymagało czasu, wzajemnego zaufania i w miarę ustabilizowanej ogólnej sytuacji politycznej na świecie.

Kolejnym znaczącym faktem w dziedzinie odprężenia międzynarodowego było podpisanie 5 sierpnia 1963 r. przez ZSRR, USA i Wielką Brytanię układu w sprawie zakazu prób z bronią jądrową w atmosferze, przestrzeni kosmicznej i pod wodą. Układ ten podpisało później ponad 110 państw. Bezpośrednim skutkiem zawarcia tego układu było znaczne obniżenie stopnia radioaktywnego skażenia atmosfery ziemskiej. Nadal kontynuowano podziemne próby broni nuklearnej, a podpisanie tego układu nie zapobiegło wzbogaceniu arsenałów mocarstw atomowych o nowe generacje głowic jądrowych.

Po 1963 roku nastąpiła intensyfikacja rokowań rozbrojeniowych, zwłaszcza prac w genewskim Komitecie Rozbrojeniowym i na sesjach Zgromadzenia Ogólnego ONZ. 27 stycznia 1967 r. podpisano układ zakazujący umieszczania broni masowej zagłady na orbicie okołoziemskiej. Układ ten postanawiał, iż ciała niebieskie mogą być wykorzystywane jedynie do celów pokojowych. Jednakże przestrzeń okołoziemska pozostała nadal otwarta dla balistycznych pocisków jądrowych, a w przestrzeni kosmicznej można umieszczać coraz bardziej doskonałą broń konwencjonalną.

Układ o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej (The Non-Proliferation Treaty) z 1 lipca 1968 roku należy do głównych instrumentów politycznych i prawnych w dziedzinie ograniczenia zbrojeń. Układ ten funkcjonuje razem z systemem kontroli międzynarodowej sprawowanym przez IAEA i rozgałęzionym systemem przepisów regulujących międzynarodowy obrót materiałami rozszczepialnymi i techniką reaktorową.

Duże znaczenie dla zachowania pokoju i bezpiecznego rozwoju państw znajdujących się na kontynencie europejskim mają rokowania wiedeńskie, toczące się od 1973 roku w sposób ciągły. Do tej pory ustalono zakres terytorialny przyszłych ewentualnych redukcji arsenałów militarnych, który obejmuje terytoria: RFN, krajów Beneluksu, Polski, NRD oraz Czechosłowacji. Przedmiotem rokowań prowadzonych w Wiedniu są redukcje wojsk lądowych, a w tym — części potencjału nuklearnego.

Charakterystyczne jest to, że z jednej strony mamy do czynienia z ciągłym rozwijaniem wielopłaszczyznowych negocjacji dotyczących problematyki redukcji sił zbrojnych i zbrojeń, a z drugiej strony występuje proces eskalacji zbrojeń. Ze względu na rosnącą falę zbrojeń i włączanie się w nią coraz to nowych państw, sytem negocjacji powiększa się o nowe tematy rozbrojeniowe i o nowych negocjatorów. Sprawia to, że temat rozbrojenia w różnych aspektach nie schodzi z porządku obrad w rokowaniach międzynarodowych o różnych przekrojach między różnymi krajami.

Bojowiec, artysta, harcerz, wychowawca

„I jeżeli można mówić o człowieku, że życiem swoim zostawia jakiś — wyraźny lub mniej wyraźny, większy lub mniejszy — ślad na drodze, to ślad, który po sobie zostawił Profesor Aleksander Kamiński, jest ustokrotniony przez tych wszystkich jego wychowanków którzy jak On nie uznają odwracania się do życia bokiem lub plecami, jak On stają zawsze twarzą w twarz". (M. Starzyńska)

Urodził się 28 stycznia 1903 roku w Warszawie. Jego ojciec był farmaceutą, a matka chłopką spod Łęczycy. Kiedy Olek ma trzy lata, ojciec umiera na gruźlicę. Olek razem z matką wyjeżdża do Kijowa, do jej brata. Zaczęły się ciężkie lata. Ukończył tylko 4 klasy rosyjskiej szkoły elementarnej. Mając 12 lat został zmuszony ze względu na ciężką sytuację materialną do podjęcia pracy zarobkowej jako chłopiec na posyłki. Jego pierwszym osiągnięciem było nauczenie się pisania na maszynie. *„Oczeń umnyj i spasobnyj malczyk"* — pewnego dnia usłyszał od dyrektora banku i otrzymał awans na pisarza.

Potem z matką przeniósł się do Humania, gdzie zaczął uczęszczać do polskiej szkoły. Na początku miał kłopoty z nauką, ponieważ nie mógł sobie poradzić z alfabetem polskim. Szczególnie denerwował nauczycielkę matematyki tym, że nie znał polskich liczb. Ale on tym wcale się nie załamał. Po prostu zaczął liczyć po cichu, żeby nikt go nie słyszał. I tak już do końca życia liczył w języku rosyjskim, jeśli korzystał z tabliczki mnożenia. W tym okresie znajduje pomoc w harcerstwie i gimnazjalnym kole samokształcenia młodzieży polskiej. To właśnie w Humaniu spotkał na swojej drodze panią Alinę Federowicz-Śliwińską, kierowniczkę Biblioteki Polskiej, która odkryła dla niego świat polszczyzny i historii ojczystej i z którą utrzymywał kontakty listowne, wspomagając ją finansowo aż do jej śmierci.

Już wtedy „Kamyk" miał wspaniały dar zjednywania sobie przyjaciół. Byli tacy, co twierdzili, że był przystojny, ale *„to cechy jego charakteru robiły go pięknym. Jego mądrość, dobroć, bezinteresowność, uczynność, urok osobisty, humor, pracowitość, życzliwość dla wszystkich, rzetelność, skromność — powodowały, że miał wokół siebie mnóstwo przyjaciół"*, którym był wierny do końca życia.

Do kraju wrócił Aleksander Kamiński w 1921 roku i kontynuował naukę w Gimnazjum im. Kulwiecia. Po uzyskaniu matury wstąpił na Uniwersytet Warszawski, gdzie studiował historię i poznał swoją przyszłą żonę Janinę. W 1928 roku uzyskał dyplom magistra filozofii. Przez wszystkie te lata pracował w Radzie Głównej Opiekuńczej miasta Pruszkowa jako wychowawca w Bursie im. 3 Maja. Potem jako kierownik. Całym sercem oddany był swoim podopiecznym. Przeprowadzał eksperymenty wychowawcze. Wprowadził do bursy system wychowania harcerskiego. Wspaniale opowiadał. Jego gawędy sprawiały, że największe rozrabiaki traciły swój wigor i zamieniały się w słuch. Ale „Kamyk" nie był zadowolony ze swoich sukcesów na terenie bursy. Pragnął swoje oddziaływanie rozszerzyć na większe grupy młodzieży. Zaczął pisać artykuły i opowiadania do „Płomyczka" i „Iskier", podpisując się pseudonimem „Bombaju". I tak narodziła się idea zuchowa. „Kamyk" często obserwował dzieci z podwórek, które organizowały się wokół chłopca, mającego zdolności przywódcze. *„Jak tym nieformalnym związkom nadać kształt zorganizowany? Jak ich nazwać? Smyki? — niepoważnie; śmiałki? — niezręcznie; cwaniaki? — o to już bliżej trafienia w dziesiątkę; Zuchy? — Oczywiście, że zuchy! Przecież to słowo czekało na „Kamyka", aby je odkrył".* Zaczął pisać zbeletryzowany instruktaż w książce „Antek Cwaniak", która stała się bestsellerem dla dzieci i młodzieży.

W 1929 roku, kiedy był nauczycielem historii w Gimnazjum im. Stanisława Kostki w Warszawie, został powołany do wojska. Skierowano go do Grudziądza, gdzie po ćwiczeniach w marcowym błocie dostał zapalenia płuc. Komisja lekarska orzekła gruźlicę płuc i zwolniła z wojska. Chory Kamiński wrócił do Warszawy. Ze względu na swój stan zdrowia nie mógł być nauczycielem, ani brać udziału w życiu harcerskim. Został więc kierownikiem bursy młodzieży szkół zawodowych przy Młocińskiej. W tym samym czasie bierze ślub z ukochaną Janiną. Ale życie nie szczędzi mu ciosów. Chłopcy z bursy byli trudni. Nie pomogły niewątpliwe talenty pedagogiczne Kamińskiego. Mnożyły się kradzieże. Nie przyjęła się metoda harcerska i samorząd. Posypały się pretensje i podejrzenia na kierownika. To wszystko było przyczyną pogorszenia się stanu zdrowia „Kamyka". Został skierowany do Zakopanego, a potem do Krakowa, gdzie leżał w łóżku z drugim chorym gruźlikiem. Dopiero po interwencji kierownictwa Związku Osadników i teścia został przewieziony do Szpitala Elżbietanek w Warszawie. Diagnoza brzmiała groźnie: gruźlica płuc i nerek. Nastąpił szereg operacji Usunięto jedną nerkę i unieruchomiono jedno z płuc.

W maju 1932 roku urodziła się córeczka Ewa, która wniosła dużo radości i nadziei. „Kamyk" z rodziną wyjechał do Zakopanego, ale nie próżnował. Pisał artykuły, przygotowywał materiały do pierwszego wydania „Antka". Napisał monografię o pułkowniku Lisie-Kuli.

Rok później wyjechał do Nierodzimia na Śląsk Cieszyński, gdzie pełnił funkcję kierownika Szkoły Instruktorów Zuchowych. Przy pomocy Emila Jędrzejczyka, Stefana Grobelnego i Donata Datonia organizował kolonie dla dzieci bezrobotnych, wypróbowując metody zuchowe. *„On swoje zuchy rozumiał, on je kochał, chronił i starał się, aby ich łódeczka życia popłynęła we właściwym kierunku. Były to dzieci z rocznika 1920. Późniejsi nasi Kolumbowie i nieugięci bohaterowie".* (A. Korsak)

Przychodzi rok 1935 i Aleksander Kamiński objął kierownictwo Centralnej Szkoły Instruktorów w Górkach Wielkich. Przez jego szkołę przeszło parę tysięcy instruktorów. Był wszystkim znany ze swoich postępowych i humanitarnych poglądów. Uważał, że wszystkie dzieci są sobie braćmi. Zwalczał wszelkie nacjonalistyczne tendencje w stosunku do mniejszości narodowych. Sam stanął na czele Komitetu Centralnego Związku Żydowskich Drużyn Harcerskich i Gromad Zuchowych. Nie chciał dopuścić do tego, by harcerstwo szło po drogach zbyt łatwych, bo przecież w życiu jakże często te ścieżki bywają trudne i bolesne. I tylko krocząc nimi można było uczyć życia w prawdzie. Tylko taki harcerz naprawdę za brata uważał każdego innego harcerza. *Jakże obficie ta siejba owocowała. Dała podstawę do przyjaźni, sięgającą później poprzez tragiczne mury gett (Żegota) i broniącą nas w ten ponury czas przed znieczulicą obłędnej choroby rasizmu. Było to wydobycie z duszy polskiej tego, co najwartościowsze: otwartego serca i wyciągniętych dłoni dla innych i do innych".* (S. Broniewski).

Aleksander Kamiński z uznaniem wyrażał się o Czerwonym Harcerstwie w Zagłębiu Dąbrowskim. Popierał akcję organizowania Harcerskich Ochotniczych Drużyn Roboczych, które zatrudniono przy budowie drogi na Równicę, regulacji Wisły i zapory w Goczałkowicach. Były to próby łagodzenia bezrobocia wśród młodzieży harcerskiej. „Kamyk" biegle posługiwał się alfabetem głuchoniemych i dzięki temu mógł prowadzić kursy i konferencje dla instruktorów głuchoniemych. Biegle władał językiem francuskim. Organizował kursy i konferencje w skali międzynarodowej, które umożliwiały mu przekazywanie swoich doświadczeń i osiągnięć w tworzeniu polskiego systemu zuchowego. A problem ten cieszył się dużym zainteresowaniem innych narodów.

W czasie swojej pracy w Nierodzimiu spotykał się z różnymi ludźmi. Przyjaźnił się z Gustawem Morcinkiem, który był częstym gościem w nierodzimskiej szkole instruktorskiej. Do tej pory starsi ludzie doskonale pamiętają Komendanta Szkoły Harcerskiej: „To był człowiek, który każdego szanował, poważał, do każdego przemówił, przywitał się i zawsze z uśmiechem coś mądrego opowiadał".

Foto: Archiwum

Przyszedł wrzesień 1939 roku. Aleksander Kamiński wsiadł na rower i z Górek Wielkich (Śląsk) przez Lublin dotarł do walczącej Warszawy. Natychmiast zgłosił się do Komendy Harcerskiego Pogotowia Wojennego. 27 września Związek Harcerstwa Polskiego przechodzi do podziemia. „Kamyk" razem z Florianem Marciniakiem stał się organizatorem podziemnego Harcerstwa — Szarych Szeregów. Ale był organizatorem szczególnym. Dał bowiem nieznanemu wówczas Florianowi Marciniakowi kredyt zaufania, jaki sam posiadał w terenie. Gdy minął czas organizowania konspiracyjnej pracy, „Kamyk" wycofał się na nieformalną pozycję doradcy nie narzucającego się, ale zawsze gotowego do pomocy. Tak już było do końca konspiracji. *„I bardzo trudno dziś stwierdzić, na dnie których osiągnięć „Szarych Szeregów" jest właśnie dobra, trafna, precyzyjna rada Kamińskiego. W dyskrecji tego doradztwa kryje się jego wielkość"* (S. Broniewski.).

Przez całą konspirację osoba Kamińskiego przewijała się pod pseudonimami: Kędzierski, Kazimierczak, Kapliński, Dąbrowski, Górecki Hubert. Znalazł dla siebie własne odcinki działania. „Tylko Polacy ufni w zwycięstwo potrafią pokonać hitleryzm. Nie mam zdrowia, aby być komandosem, ale posiadam broń, która czasem może być niebezpieczniejsza niż dynamit — jest nim słowo pisane. Posiada ono wszelkie cechy energii: światła, ciepła, elektryczności... Ta broń obudzi chęć przetrwania, wniesie otuchę dla wątpiących, zagrzeje naród do oporu, pociągnie do walki zbrojnej z okupantem". I tak powstał pomysł wydania „Biuletynu Informacyjnego", którego redaktorem naczelnym od października 1939 roku do upadku Powstania Warszawskiego był właśnie nie kto inny jak Aleksander Kamiński. Pismo to wypracowało stałą pozycję w polskim społeczeństwie. Przypominało, że Polska jest, walczy i zwycięży. „Kamyk" pełnił równocześnie funkcję szefa Biura Informacji i Propagandy Okręgu Warszawskiego AK. Ale to nie koniec jego frontu walki z okupantem. W 1940 roku miała miejsce masakra ludności cywilnej w Wawrze. To spowodowało powołanie przez „Kamyka" organizacji społecznej pod kryptonimem „Wawer". Na czele „Wawra" stanął mężczyzna w sile wieku, o czarnych, krzaczastych brwiach, o czarnych oczach i włosach, o niskim głosie. Jako komendant nowo utworzonej przez siebie organizacji przyjął pseudonim „Dąbrowski". *„Dąbrowski" pracował z pasją i z namiętnością tworzenia, w jego mózgu rodziła się koncepcja za koncepcją. Kto stykał się z nim wówczas, ten stykał się z człowiekiem, który chwycił w swe żagle wielki wiatr. Olek Kamiński, on to był bowiem ma w swym życiu dużo takich wielkich lotów... Lecz wawerskiego lotu chyba nic nie prześcignie. Był w nim i bojowiec, i artysta, i skaut, i wychowawca, a przede wszystkim — Polak, Polak gorący, który wydawało się, zrósł się z Polską Ziemią, który chodził jakby w gorączce, cały zasłuchany, jak bije gdzieś w głębi polskiej ziemi polskie serce".* (S. Broniewski).

Zadaniem „Wawra" była propaganda uliczna i mały sabotaż. „Kamyk" kierował jego pracami przez 4 długie lata, wprowadzając do pracy elementy wychowawcze, gdyż gros członków tej organizacji stanowiła młodzież. Koleżeńskość, punktualność, rzetelność, bezinteresowność, lojalność — to katalog zasad obowiązujących wszystkich wawerczyków. „Wawer" stał się szkołą wychowania obywatelskiego. Wychodzą z niej Zośka, Rudy, Alek i ich koledzy, przyszli członkowie słynnych batalionów harcerskich.

Komendant „Wawra" był jednocześnie najpłodniejszym i w zasadzie jedynym autorem szaroszeregowych książek. Napisał „Wielką Grę", „Podręcznik dla Przodownika". Wreszcie to właśnie on pod pseudonimem Juliusza Góreckiego wydał „Kamienie na szaniec". Dopełnieniem jest książka „Zośka i Parasol" napisana już po wojnie. Są to opowiadania o ludziach, którzy w tych niesamowitych czasach potrafili żyć pełnią życia, których czyny wycisnęły piętno na Warszawie oraz echem rozniosły się po całym kraju, którzy w życie potrafili wcielić dwa ideały: braterstwo i służbę. Aleksander Kamiński nigdy nie przyjmował honorariów za te książki. Wszystkie pieniądze przekazywał rodzinom swoich zuchów i harcerzy, którzy odeszli na wieczną wartę.

W maju 1945 roku rozpoczął pracę na Uniwersytecie Łódzkim jako asystent przy katedrze pedagogiki społecznej Heleny Radlińskiej. Pełnił jednocześnie funkcję wiceprzewodniczącego ZHP. W swojej gawędzie „Druga droga do nocy" mówił: *„Nie chodzi o to, żebyśmy przestali być narodem żołnierzy. Żołnierska działalność jest i pozostać powinna cechą Polaków. Chodzi o to, żeby każdego z nas prócz dzielności bojowej cechowała dzielność pracy, żebyśmy byli zdolni nie tylko do bohaterstwa na polu chwały, ale także do bohaterstwa pracy".*

W 1950 roku, gdy zaczął przygotowywać pracę habilitacyjną, został odsunięty od pracy naukowej na Uniwersytecie Łódzkim i od pracy w ukochanej organizacji. Wówczas zajął się dziejami Jaćwingów i ich kulturą. Po przełomie październikowym w 1956 roku Aleksander Kamiński wrócił do pracy naukowej i instruktorskiej. Kontynuował badania nad związkami młodzieży pierwszej połowy XIX wieku. Pracował nad samorządem młodzieży, nad sprawami młodzieży studenckiej. Coraz bardziej koncentrował się na społeczno-wychowawczej problematyce czasu wolnego. Potem habilitacja na Uniwersytecie Warszawskim, docentura i objęcie kierownictwa katedry pedagogiki społecznej Uniwersytetu Łódzkiego. W marcu 1969 roku uchwałą Rady Państwa otrzymał tytuł naukowy profesora nadzwyczajnego nauk humanistycznych. Nie zdradził też „Kamyk" ukochanej organizacji. W latach 1956-58 pełnił funkcję Przewodniczącego Rady Naczelnej ZHP. Zdecydował się na to mimo złego stanu zdrowia i spodziewanych przykrości. Rozumiał bowiem, że jego osoba stanie się jednoznacznym stwierdzeniem: *„to jest Harcerstwo".*

Niezwykła pracowitość i bogactwo tematów powodują trudność w odtworzeniu dorobku naukowego Aleksandra Kamińskiego. Napisał 10 książek dotyczących pedagogiki lub dziejów wychowania, około 150 artykułów problemowych i rozpraw, około 1000 artykułów harcerskich, metodycznych, społecznych i patriotycznych.

Po przejściu Profesora na emeryturę, państwo Kamińscy przenieśli się do ukochanej Warszawy. *Przyszedł marzec 1978 r.* W ostatniej drodze „Kamyka" wzięły udział wielotysięczne tłumy. Stara gwardia harcerska niosła trumnę. Zalutczały werble na Powązkach przy mogiłach Szarych Szeregów i rozległ się głos ich Naczelnika Stanisława Broniewskiego: *„Baczność Szare Szeregi! Wyrównajcie front! Oto przybył do Was Wasz dowódca-druh Aleksander Kamiński — „Hubert", który przewodził Wam w noc okupacji, on kształtował postawy narodu, a gdy zginęliście, jego talent uczynił Was nieśmiertelnymi".*

Aleksander Kamiński zatrzymywał wzrok tylko na sprawach ważnych. Co więcej, zatrzymywał wzrok na wszystkich sprawach, które uważał za istotne na swoim froncie. Bo „Kamyk" miał swój front, swoje powołanie, któremu podporządkował całe swoje życie. Było nim Wychowanie Człowieka — *„Zawodem moim wychowawstwo"* — mawiał zawsze. *„Być wychowawcą — znaczy dawać, służyć, pomagać, inspirować... Jeżeli mam swe życzenie przekazać młodym dni dzisiejszych — tym, którzy mnie rozumieją — to nade wszystko życzę, aby coraz silniej odczuwali smak „dawania", a coraz słabiej — smak „brania". „Dawania" bliskim i dalekim, znanym i nieznanym, żyjącym i tym, którzy żyć będą kiedyś. W „dawaniu" bowiem rośnie prawdziwa radość życia".*

Aleksander Kamiński był wulkanem twórczości, zadziwiającym swoje otoczenie ze względu na kruche zdrowie. Był człowiekiem konsekwentnym. Wśród burz i raf szedł twardo od problemu do problemu. I w ostatnich miesiącach swojego życia przedstawił młodzieży sylwetkę Józefa Grzesiaka „Czarnego". Kończąc rysować galerię swoich postaci chciał dać mocny akcent. Opowieść ta ukazuje bowiem szczególną cechę. *„Jest nią twardość i upór zmierzania do celu. Całym życiem. Zawsze z tą samą zda się energią, z tą samą pasją, z tym samym zda się niespożytym zapasem sił. Mimo przeszkód... Do celu... Celem zawsze Polska".*

EWA LACHOWSKA

Jak zostałem studentem

ZBIGNIEW PETERSON

Były to pierwsze lata po wojnie. Zniszczony długimi i ciężkimi zmaganiami kraj powoli powracał do życia, leczył świeże jeszcze rany. Wszędzie ruiny i zgliszcza.

Z niedowierzaniem patrzyłem w przyszłość. Czy znajdzie się taka siła, która potrafi odbudować, a często na nowo zbudować setki zniszczonych miast i miasteczek?

PO POWROCIE DO KRAJU

postanowiłem szybko uzupełnić spowodowane wojną braki wykształcenia. Teraz ważny był każdy dzień. Początki nie były łatwe. Regularną naukę przerwał tragiczny wrzesień 1939 roku. Zacząłem wówczas VI klasę szkoły powszechnej. W czasie wojny praca w polu, lesie czy kuźni nie sprzyjała nauce. W nielicznych wolnych chwilach, wieczorami i nocami, z bardzo różnorodnych książek i podręczników uzupełniałem braki. Wszystko to było jednak daleko niewystarczające. Mimo to, zasób uzyskanych w ten sposób wiadomości pozwolił mi, po powrocie do kraju, rozpocząć naukę w II licealnej. Dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, coraz bardziej wdrażałem się w zupełnie nowe nieraz zagadnienia. Ze zdwojonym wysiłkiem wziąłem się do pracy.

Czasami jednak nadchodziły chwile zwątpienia. Załamywałem się, nie wierząc, że podołam zbyt wielkim obowiązkom. Przeciążenie nauką sprawiało, że umysł stawał się mniej chłonny. Zaczęła zawodzić pamięć. Popadłem w stan depresji. Godzinami leżałem na łóżku wpatrzony w sufit. Nie odzywałem się do nikogo, nie reagowałem na otoczenie. Opieka, czułość i współczucie zaniepokojonej matki drażniły mnie i jeszcze bardziej pogłębiały ten stan. Wrażliwą wyobraźnię nawiedzały koszmarne myśli. Czułem się nikomu niepotrzebny, nic nie wart. Miałem żal do wszystkich i o wszystko. Stroniłem od kolegów uważając siebie za kogoś gorszego. Byłem smutny i małomówny. Nie przysparzało mi to przyjaciół.

W chwilach lepszego samopoczucia obserwowałem otoczenie i intensywnie starałem się znaleźć swój cel w życiu. Koniecznie chciałem kimś być, być potrzebnym ludziom i krajowi. Powoli, ze skrajnego pesymisty przeobrażałem się w umiarkowanego optymistę.

Mijały miesiące. Zbliżały się

EGZAMINY MATURALNE

Po przełamaniu pierwszych trudności nauka szła mi dobrze i bez większego lęku przystąpiłem do egzaminów. Odświętnie ubrany, w miarę skromnych możliwości finansowych, wraz z koleżankami i kolegami czekałem na pierwszą walkę z pechem i tremą. Ostatnie spojrzenie do książki i notatek.

— *Proszę wejść* — profesor, zapraszającym ruchem ręki wskazuje otwarte drzwi. Na tablicy tematy prac egzaminacyjnych. Odetchnąłem. Zagadnienia mniej lub więcej znane, nie powinno więc być przykrych niespodzianek. Dalej już wszystko poszło szybko i sprawnie. Jak w kalejdoskopie przesuwały się tematy, pytania i egzaminatorzy. Zdenerwowanie mieszało się z zadowoleniem wywołanym każdą prawidłową odpowiedzią.

Zadowolony, ze świadectwem dojrzałości w ręku, wracałem z uroczystej promocji do domu. Cały ten nastrój mąciła tylko coraz natrętniej powracająca myśl: I co dalej? Zawsze marzyłem o dwóch dość różnych zawodach — medycynie i... teatrze. Zasadniczym teraz zagadnieniem był problem studiów wyższych w ogóle. Rodzice, niezbyt dobrze sytuowani, nie mogli mi pomóc. Musiałem liczyć tylko na własne siły, zdecydować się na rezygnację z wielu przyjemności lub zrezygnować ze studiów.

Postanowiłem spróbować.

Jak większość wówczas kandydatów na studia wyższe, złożyłem podanie o przyjęcie jednocześnie na dwie uczelnie: Wydział Lekarski Uniwersytetu Warszawskiego oraz Uniwersytetu we Wrocławiu.

Koło Medyków przy Wydziale Lekarskim UW zorganizowało kurs przygotowawczy dla kandydatów na studia, na który pojechałem z niewielkim co prawda zapasem gotówki, za to z dużym ładunkiem entuzjazmu i wiary we własne siły. Po raz pierwszy w życiu znalazłem się w zniszczonej wojenną pożogą stolicy. Jako były repatriant zamieszkałem początkowo w barakach PUR-u na Czystem. Codziennie piechotą lub na gapę — dla oszczędzenia i tak skromnego kapitału — przebywałem trasę Warszawa-Czyste — ul. Oczki 6. Sielanka trwała jednak krótko. Po tygodniu musiałem ustąpić miejsca stale powracającym do kraju rodakom. Znalazłem się w sytuacji krytycznej. Nie mogłem stale nocować na dworcu. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności dowiedziałem się o domu noclegowym dla bezdomnych na Krakowskim Przedmieściu 62. Pierwsze zetknięcie się z moim nowym mieszkaniem nie było zachwycające. Portier stojący na zewnątrz i zamykający drzwi za każdym „pensjonariuszem", zakratowane okna, kilkudziesięcioosobowe sale, łóżka bez pościeli i brudne, obrośnięte twarze współlokatorów, którym za sam wygląd można było dać 5 lat bez zawieszenia, nie nastrajały optymistycznie. Rekompensatą były bezpłatne „obiady" — jakaś zupa z kawałkiem „ochłapa", czym można było zaspokoić pierwszy głód.

POTRZEBA JEST MATKĄ WYNALAZKÓW

i pomysłów. Niestety, mój pierwszy pomysł racjonalizatorski pociągnął za sobą opłakane skutki.

Wracałem właśnie z Dworca Wileńskiego, gdzie odebrałem skromną paczuszkę i trochę gotówki, którą przysłała mi moja matka.

— *Towarzyszu, gdzie jest rynek?* — zwrócił się do mnie po rosyjsku jakiś wysoki, lekko podchmielony mężczyzna. — *Wracam z Niemiec i chciałbym sprzedać kupon materiału.. na wódkę.*

Nie znałem Warszawy. Nie wiedziałem, gdzie jest rynek, rozglądałem się więc w oczekiwaniu kogoś, kto mógłby udzielić potrzebnej informacji.

— *A może wy kupicie?* — zagadnął tamten. Nie rozważałem dotychczas takiej możliwości. Ale.. „jeżeli chce sprzedać tylko po to, żeby kupić trochę wódki, prawdopodobnie sprzeda tanio i będę mógł coś na tym zarobić" — myślałem. — „Trochę forsy się przyda".

Przeszliśmy do ruin jakiejś kamienicy. Pobieżnie obejrzałem materiał i po krótkich targach w zamian za resztki pieniędzy i paczkę żywnościową stałem się właścicielem pięknego, jak mi się wówczas wydawało, materiału. Zadowolony z transakcji pojechałem do koleżanki, ażeby pochwalić się swoją przedsiębiorczością. I tutaj otrzymałem cios, po którym długo nie mogłem dojść do siebie. Materiał był wart połowę tego, co zań zapłaciłem. Niedoświadczonego amatora lekkich zarobków nabił w butelkę warszawski cwaniak.

ZOSTAŁEM PREZESEM

„Związku Zawodowego Gigantów". Obowiązków nie miałem wiele — pisałem podania do różnych dobroczynnych instytucji, byłem arbitrem w sprawach spornych, dzieliłem przynoszony przez nich „łup".

W takich warunkach ukończyłem kurs przygotowawczy i przystąpiłem do egzaminów. Ponieważ „działałem na dwóch frontach", często bezpośrednio po egzaminie w Warszawie musiałem odbywać długą i męczącą podróż w zatłoczonych wagonach lub na zderzakach do Wrocławia.

Tydzień czy dwa zmagań i bardziej jeszcze niż same egzaminy denerwujące oczekiwanie na wyniki. Nareszcie któregoś dnia wieczorem zobaczyłem na tablicy informacyjnej przed Dziekanatem listy z setkami nazwisk przyjętych i tych, którzy nie zdali. Niestety, swoje nazwisko znalazłem na liście zatytułowanej: *„Nieprzyjęci z powodu braku miejsc"*. Wiadomość podobnej treści z Wrocławia dobiła mnie zupełnie.

W pierwszym odruchu żalu i złości chciałem natychmiast wracać do domu. Czułem się strasznie skrzywdzony przez los, rozczarowany i załamany. Okres ten nie trwał jednak długo. Zrodziła się wewnętrzna przekora i chęć nieugiętej walki o swoje prawa. Dziesiątki pomysłów i koncepcji w szalonym tempie przelatywały przez podnieconą wyobraźnię. W końcu postanowiłem udać się do Głowy Państwa i tam szukać pomocy. Ponieważ zdawałem sobie sprawę, że trudno mi będzie z taką blahostką

DOSTAĆ SIĘ PRZED OBLICZE PREZYDENTA

postanowiłem użyć drobnego fortelu.

Uczęszczając jeszcze do liceum, zorganizowałem chór rewelersów i orkiestrę pod nazwą „Bajduli". Zespół ten postanowiłem wykorzystać do swoich celów. Wróciłem do rodzinnego miasta. Po krótkiej naradzie z kolegami z zespołu urządziliśmy zabawę, z której dochód przeznaczyliśmy na odbudowę stolicy. Jako przedstawiciel zespołu, zaopatrzony w list i delegację, wyruszyłem do Warszawy. Jechałem pełen niepokoju, nie bardzo wierząc w powodzenie przedsięwzięcia. W takim stanie psychicznym stanąłem przed okienkiem biura przepustek.

— *Dzień dobry, czy mogę się zobaczyć z panem prezydentem?* — wyrwało mi się mimo woli. Pan z okienka uśmiechnął się, nie wiedziałem co mam robić.

— *A co dobrego ma pan do powiedzenia prezydentowi?*

— Nie mogłem wykrztusić słowa. Wyjąłem delegację i wręczyłem.

Telefon. Krótka rozmowa i znów w okienku widzę twarz przed chwilą poznaną. — *Dokumenty poproszę.*

Jeszcze drobne formalności i trzymałem w ręku zieloną przepustkę. Nie mogłem uwierzyć. Jak zahipnotyzowany poszedłem na drugą stronę ulicy do Belwederu. Sprawdzenie dokumentów. Woźny zdejmuje mi płaszcz i już jestem na pierwszym piętrze, w obszernym holu.

— *Proszę chwileczkę zaczekać. Pan prezydent jest zajęty* — usłyszałem męski głos.

Usiadłem. Ręce i nogi drżały mi jak w febrze. Nie wiem jak długo siedziałem. Ze stanu odrętwienia wyrwał mnie dopiero głos sekretarki.

— *Pan prezydent prosi.*

Wstałem. Machinalnie poprawiłem krawat i udałem się za swoją przewodniczką. Minęliśmy jeden czy dwa pokoje. Drzwi się otworzyły i sekretarka zameldowała:

— *Panie prezydencie, delegat z Białegostoku.*

Ukłoniłem się w progu, przeszedłem jeszcze kilka kroków i znów się skłoniłem. Prezydent wstał zza biurka i wyciągnął do mnie rękę na powitanie.

— *Proszę siadać.*

Byłem bardzo zdenerwowany. Tak mi nogi podcięło, że o całym bon tonie zapomniałem. Prezydent jeszcze stał, a ja już siedziałem. Chwila ciszy. Co mam mówić? Z misternie przygotowanej mowy w głowie nie pozostało nic. Bez słowa wyjąłem list od kolegów oraz dar na odbudowę Warszawy, starając się jednocześnie zebrać myśli.

Z opresji wyratował mnie sam prezydent. Kilka zadanych przezeń pytań rozładowało atmosferę. Opowiedziałem o zorganizowanej przez siebie orkiestrze i chórze rewelersów, o naszych występach na wieczorkach szkolnych i akademiach, o sukcesach i trudnościach.

Prezydent zainteresował się naszym zespołem, a potem, w trakcie dalszej rozmowy, zapytał o moje plany na przyszłość. Mimo optymizmu, z jakim jechałem, nie spodziewałem się takiego obrotu sprawy. W szczerych, młodzieńczych słowach opowiedziałem o swoich niepowodzeniach, o głębokim żalu z powodu nieprzyjęcia na studia i o zamiłowaniu do medycyny, które stawało się tym silniejsze, im trudniejsze było do osiągnięcia.

— *Postaram się panu pomóc. Proszę złożyć podanie w mojej kancelarii, a ja tymczasem napiszę list do waszej orkiestry.*

Audiencja skończona. Podniecony i rozpromieniony wracałem do domu. Nie mogłem się doczekać rezultatu tej rozmowy i jeszcze tego samego dnia wieczorem wysłałem list do Kancelarii Cywilnej Prezydenta:

„Powołując się na rozmowę, którą przeprowadziłem z Panem Prezydentem w dniu.. i obiecaną pomoc w przyjęciu na Wydział Lekarski jednego z uniwersytetów, uprzejmie zapytuję, na jaki uniwersytet zostałem przyjęty".

Po tygodniu otrzymałem telegraficzną odpowiedź:

„Obywatel został przyjęty na Uniwersytet Łódzki".

Z depeszą w kieszeni i niewielkim bagażem

PRZYJECHAŁEM DO ŁODZI

Wprost z dworca udałem się do Dziekanatu Wydziału Lekarskiego. Dopiero po załatwieniu wstępnych formalności uświadomiłem sobie ogrom trudności, jakie stoją przede mną.

Pierwsze kroki skierowałem do Zarządu Domów Akademickich. Ponieważ rok akademicki już się rozpoczął, wszystkie miejsca były zajęte. Dowiadywałem się tu i tam o jakieś tanie lokum. Niestety, bezskutecznie. Pierwszą noc spędziłem na dworcu. W rezultacie poszukiwań dostałem skierowanie z Opieki Społecznej do schroniska dla starców i bezdomnych przy ulicy Kątnej 10.

Wszedłem do dużej sali, która służyła prawdopodobnie jako świetlica. Przy podłużnym stole siedziało kilkunastu mężczyzn. Twarze ponure, zarośnięte, wzrok tępy, bez wyrazu.

Ukłoniłem się i nieśmiało wyciągnąłem rękę na przywitanie.

Przyjęli mnie bez entuzjazmu, ale i bez niechęci — po prostu obojętnie. Najstarszy z nich odsunął się nieco i bez słowa wskazał na ławę. Na stole stało kilka emaliowanych mis z nie dojedzoną zupą. Przetarł łyżkę połą marynarki i podał podsuwając jednocześnie miskę. Coś ścisnęło mnie w gardle. Z trudem zmusiłem się do przyjęcia gościnnej wieczerzy. Zupa była ohydna, a uczucie wstrętu potęgowały jeszcze brudne i lepkie naczynia. Jadłem powoli, starając się nie okazywać tego co czuję. Wokół panowała cisza.

— *A koleś, kto?"* — odezwał się w końcu któryś.

— *Przyjechałem na studia. Nie znam tu nikogo, nie miałem gdzie mieszkać i skierowano mnie tutaj* — odpowiedziałem.

— *Studencik?* — usłyszałem czyjś ironiczny głos.

— *Tak, ale...* — zacząłem.

— *Dobrze, dobrze, jeszcze się nagadamy.*

„Starszy" uniósł się, wówczas spostrzegłem, że nie ma obu nóg. Inni również wstali. Poszedłem za nimi do następnej sali. Stało tu rzędami kilkadziesiąt łóżek, na których leżały szare, grube, wypchane słomą sienniki i takież poduszki.

— *To twoje* — wskazał na nie wygniecione jeszcze łóżko.

W drzwiach zobaczyłem grubasa o dobrodusznym wyglądzie.

— *Jest nowy* — odezwał się starszy.

Portier czy strażnik, nie wiem jak należało go nazwać, zrobił kilka kroków w moją stronę. Podałem skierowanie z Wydziału Opieki Społecznej. Nawet nie spojrzał. Schował papierek do kieszeni i wyszedł.

Czułem się strasznie głupio. Nikt na mnie nie zwracał uwagi. Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić.

Położyłem się w ubraniu na posłanie. Leżałem z przymkniętymi oczyma rozmyślając o swoim niezbyt wesołym losie. Jak będę mógł się uczyć w takich warunkach?

Rozmyślania moje przerwały nierówne kroki nowego przybysza. Wszedł w płaszczu z podniesionym kołnierzem i gitarą pod pachą. Towarzystwo ożywiło się. — *Widać dobrze poszło, Bronek znów na bani.*

Bronek mętnym wzrokiem rozejrzał się po sali i chwiejnym krokiem podszedł do swego legowiska. Był moim sąsiadem z prawej strony.

Gitara z brzękiem upadła na łóżko. Powietrze napełniło się odorem taniej wódki. Bronek przez jakiś czas mocował się z płaszczem, potem butami i w końcu zrezygnowany, na pół rozebrany, zwalił się jak kłoda na posłanie. Po chwili rozległo się chrapanie.

Pod oknem, przy podłużnym stole, kilku współtowarzyszy grało w karty. Od czasu do czasu ciszę przerywała gwałtowna sprzeczka lub mocne słowo.

Rozebrałem się. Idąc za przykładem innych zwinięte ubranie i buty włożyłem pod poduszkę. Wystające z siennika źdźbła nie wymiętej jeszcze słomy boleśnie drapały i kłuły ciało. Długo nie mogłem zasnąć.

Z dnia na dzień coraz bardziej

PRZYZWYCZAJAŁEM SIĘ DO OTOCZENIA

zżywałem się z nowym środowiskiem. Moi współtowarzysze przyzwyczaili się do moich dziwactw" i pobłażliwie przyglądali się rozłożonym książkom i notatkom, a czasami nawet z pewnym zainteresowaniem spoglądali na ryciny anatomicznych atlasów czy też rozłożone preparaty. Ja ze swej strony również coraz częściej okazywałem zainteresowanie ich życiem i sprawami.

W wolnych chwilach grałem z nimi w karty lub opowiadałem im swoje różne przeżycia. Moja bezpośredniość graniczyła z naiwnością, grzeczny i taktowny sposób bycia zaskarbiły ich sympatię.

Ze szczególnym zainteresowaniem przysłuchiwał się moim opowiadaniom Bronek. Od razu poczułem do niego jakąś sympatię.

Opowiadał mi później dużo o sobie i o towarzyszach. Przed wojną był początkującym śpiewakiem w operetce, bodajże w Wilnie. Wojna dała mu się dotkliwie we znaki. Niemcy wymordowali mu całą rodzinę. On cudem uniknął losu najbliższych. Popadł jednak w głęboką depresję, rozpił się i stoczył na dno ludzkiej społeczności. Teraz chodził z gitarą po lokalach, dworcach i wagonach śpiewając zdartym już głosem arie operetkowe lub wojenne i powojenne przeboje. Zarobione pieniądze przepijał i czuł się w swoisty sposób szczęśliwy. Żył z dnia na dzień, nie myśląc o przyszłości.

Dziwni byli to ludzie. Rządzili się swoimi niepisanymi, trudnymi do poznania przez nie wtajemniczonych prawami. Beznogi był ich duchowym przewodnikiem i szefem. Małomówny, wiecznie ponury, o twarzy bez wyrazu. Kiedyś był ponoć nauczycielem.

Całą tę dziwną społeczność cechowała solidarność, zawziętość i bezkompromisowość. Każdego, kto się wyłamywał spod przyjętych praw, karano surowo i bezwzględnie.

Dzisiaj, po latach, z pewnym rozrzewnieniem wspominam te chwile. Była to trudna lekcja życia.

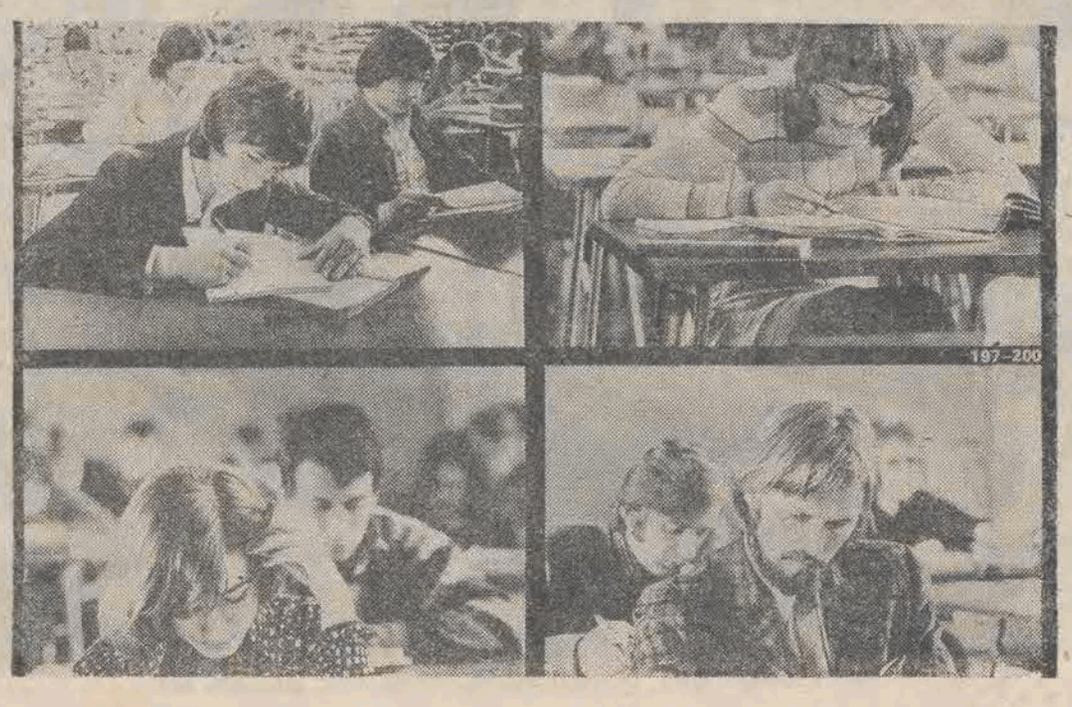

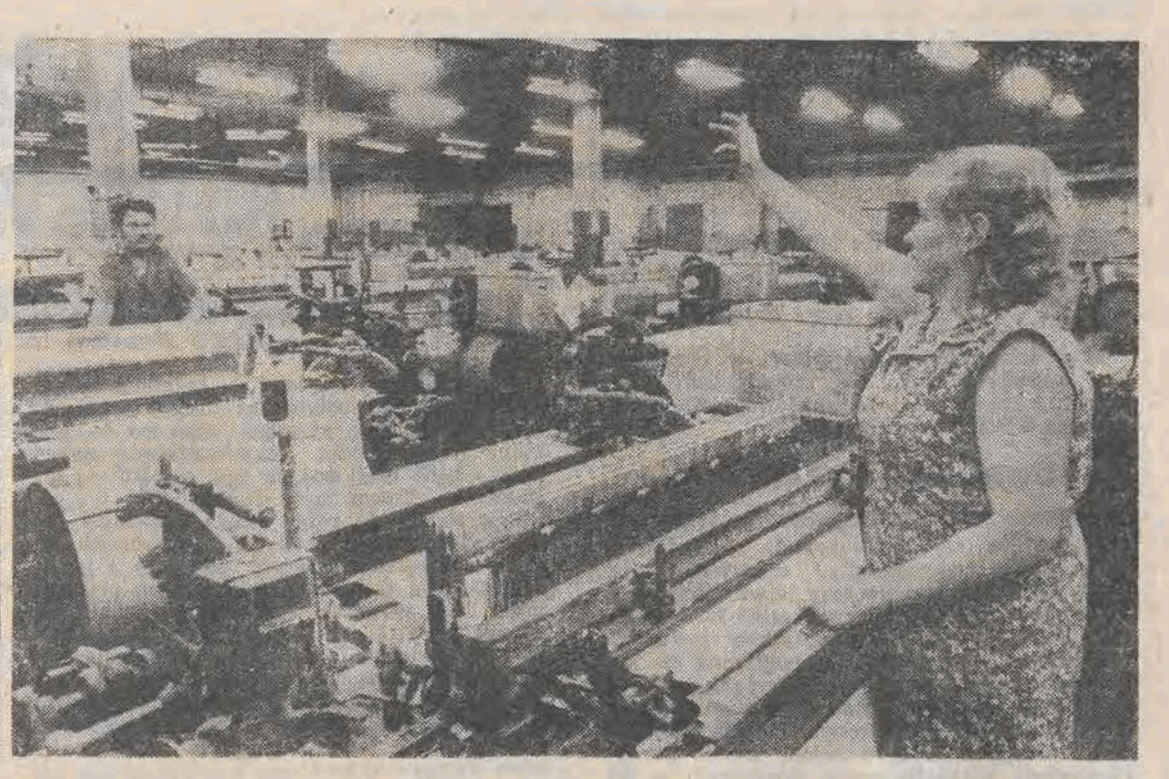

Foto: M. Zajdler

Krosna...

JACEK BINKOWSKI

Hala produkcyjna. Tkalnia. Na około 1500 metrach kwadratowych 139 krosien — jak mówi kierownik. Po kilkunastu minutach przebywania w takiej hali można się podobno do hałasu przyzwyczaić. Nawet można się porozumiewać. Słownie.

Hałas jednak przeraża. Trudno go określić; huk, pisk czy jakieś inne walenie. W rytmie pracy krosien. Bum, bum, bum, bum i tak dalej. Bez przerwy.

Ponad sto decybeli.

Pierwsza tkaczka ma ponad czterdzieści lat i dwadzieścia stażu na tkalni. Musimy wyjść do palarni, na hali tylko bezradnie rozkłada ręce. Nic nie słyszy.

— Ma pani kłopoty ze słuchem?

— *Proszę?*

— Czy ma pani kłopoty ze słuchem? — nieco głośniej.

— *Nie... Dlaczego?*

— I ten hałas pani w ogóle nie przeszkadza?

— *Na początku trochę przeszkadzał, teraz się przyzwyczaiłam Jakby pan tutaj posiedział kilka godzin, to też by się pan przyzwyczaił.*

— Nie męczy pani ośmiogodzinna praca przy tylu decybelach?

— *Trochę męczy, to fakt. Głowa czasami boli. A jak wyjdę z fabryki na powietrze, gdzie cicho — to jeszcze przez parę dobrych minut huczy w uszach. Trudno się przyzwyczaić. Ale najbardziej to bolą nogi, ciągle na stojąco przy maszynie. Bo, jeżeli chodzi o hałas, to my mamy watę do uszu i słuchawki. To bardzo pomaga.*

— Ale nie wszyscy chcą nosić.

— *Bo ja wiem, ja tam noszę. Co prawda taka wata trochę przeszkadza, bo się nie słyszy dobrze maszyny. Ale nosić trzeba.*

Tkaczka druga. Dwadzieścia osiem lat. Siedem na tkalni.

— *Ja już się zwalniam, proszę pana. Tak, przede wszystkim z powodu hałasu. Bardzo trudno się do tych decybeli przyzwyczaić. Jednak huk jest ogromny. Jak jestem w domu, czy gdzieś poza zakładem, łapię się na tym, że bardzo głośno mówię. Mnie się po prostu wydaje, że nikt mnie nie słyszy. Zresztą każda tkaczka ma tę cechę, że głośno mówi. Takie skrzywienie zawodowe Tak samo, jak kończę pracę, bardzo długo czuję w uszach i w głowie tę tkalnię. Dopiero po kilku godzinach można dojść do siebie.*

Tkaczka trzecia — dwadzieścia sześć lat:

— Czy pa i sobie zdaje sprawę, że praca na tkalni jest bardzo szkodliwa dla zdrowia?

— *Tak.*

— Czy pani zdaje sobie sprawę, że za kilka lat może pani nie słyszeć?

— *Tak, przy takim hałasie — oczywiście.*

— I co, nie zmienia pani pracy?

— *Nie mam takiej możliwości, jestem z prowincji.*

— A chciałaby pani stąd odejść?

— *Tak, jak najbardziej...*

Mistrz tkacki, dwadzieścia lat w zawodzie. Dwadzieścia lat na tkalni:

— *Chcesz pan poznać prawdę o tkalni. W cztery oczy, bez towarzystwa. Bo u nas jest, że tak powiem, mordownia. Kto wytrzyma tyle decybeli. Każdy po kilkunastu latach pracy cierpi na głuchotę. Ludzie nie zdają sobie z tego sprawy, nikt panu nie powie, że ma kłopoty ze słuchem. Ale przecież to logiczne. Przy stu decybelach, wcześniej czy później to wszystko musi się odbić.*

Środki zapobiegawcze. Wata, słuchawki. Ludzie tego nie noszą, niech pan nie wierzy. O, zakładają wtedy, gdy jest jakaś kontrola i na tym koniec.

I słusznie — po ośmiu godzinach trzymania na głowie takich słuchawek puchną uszy, od waty ludzie dostają uczulenia. Noszą tylko młodzi, starsi to lekceważą. Im się wydaje, że hałas jest nieszkodliwy, oni się przyzwyczaili. Oni nie zdają sobie nawet sprawy, że coraz bardziej są głusi. Wiem po sobie.

A w ogóle nikt na tkalni nie chce pracować. Zostaje tylko stara kadra. Co będzie jak wszyscy pójdą na emeryturę?

Tkalnia huczy. Pracują krosna — w lewo, w prawo, w górę i w dół. Ponad sto decybeli. W niektórych punktach pomiary wykazały — sto pięć. Przy ponad stu siedemnastu zaczyna się ból. Przy ponad dziewięćdziesięciu kończy się norma.

Dyrektor Płoszewski wyjaśnia w skrócie, dlaczego na tkalni tyle decybeli, dlaczego na tkalni jest tak duże przekroczenie normy. Bo przekroczenie jest duże, tego nie da się ukryć. Podobno w Indiach, jak mówi dyr. Płoszewski, na tkalniach to pewnie ze 150 decybeli.

Zakładu nie stać na krosna chwytakowe, które pracują ciszej. Zakład, jest niestety biedny i wymiana parku maszynowego nie wchodzi w rachubę. Krosna „saurerowskie" — (bo tokie są tutaj) pracowały i będą pracować bardzo głośno. Na to nie ma rady.

Prawda jest taka, że w sprawie hałasu nic się dzisiaj nie robi. Robiło się w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Prowadzono różne badania, stosowano różne metody. Ze skutkiem zero, przecinek zero. W latach siedemdziesiątych zaczęto stosować krosna chwytakowe. Te krosna mają około 85 decybeli. Ale nasze stare krosna mają ponad setkę i koniec.

Prawdę mówiąc, w przypadku hałasu każdy decybel jest ważny. Bo przecież wbrew pozorom jeden decybel — to dwa razy ciszej. Niektóre zakłady stosują przywieszki przy suficie, obudowywują maszyny i trochę im decybele „spadają". Ale i tak są ponad normę.

Na tkalni brakuje nam około 300 osób. Ludzie nie chcą do nas przychodzić. Ale nie wyciągajmy mylnych wniosków, że z powodu hałasu. Składa się na to przynajmniej kilka różnych czynników...

Kierownik BHP — Kazimierz Wojciechowski:

— *Hałasu na tkalni zmniejszyć nie można. To są starego typu maszyny. Możemy tylko stosować środki zapobiegawcze. Niemniej jednak w naszym zakładzie nie stwierdzono, że wady słuchu są chorobami zawodowymi. Nie można jednak tego problemu lekceważyć. Przekroczenia są spore...*

Na wszystko są dokumenty. Jest pismo od Terenowego Inspektora Sanitarnego z prośbą o zezwolenie na pracę na stanowiskach, gdzie hałas przekracza najwyższe dopuszczalne normy.

„Zgodnie z uprzednimi poleceniami podjęliśmy następujące działania:

1. pracowników pracujących na stanowiskach, gdzie występuje hałas powyżej normy wyposażyliśmy w indywidualne ochronniki słuchu tj. watę dźwiękochłonną prod. NRD, czopki typu Saturn oraz słuchawki...

2. wszystkich pracowników objęto badaniami okresowymi, w tym audiometrycznymi i zgodnie z przeciwwskazaniami przesuwani są do innych prac.

3. kontynuowano działalność w zakresie wyciszania pracy krosien ogólnie dostępnymi metodami:

— pod krosnem podłożono odpowiednie podkładki amortyzacyjne,

— wyeliminowano drgania osłon, maszynek nicielicowych,

— wymieniono szereg elementów hałaśliwych na elementy z tworzyw sztucznych...".

I tak dalej. Wszystko jest w porządku. Mało tego, jak mówi BHP-owiec, wszyscy pracownicy pracujący na tkalni przy maszynach mają przyznaną I kategorię, co umożliwia wcześniejsze pójście na emeryturę. I złotówkę więcej na godzinę z tytułu pracy w szkodliwych warunkach.

Wszystko jest w porządku.

— *Prowadzimy akcję uświadamiającą, żeby nosić ochronniki. Wata, słuchawki i czopki są dostępne dla wszystkich. Jest spory zapas tych środków w magazynie.*

Na pytanie reportera, czy któraś z kobiet pracujących w dziale BHP zamieniłaby się na pracę na tkalni nie było odpowiedzi.

— *A niby dlaczego, przecież tu też pracuję.*

Kierownik Wojciechowski uważa, że każdy powinien pracować tam, gdzie jego miejsce. A że praca na tkalni jest nieco uciążliwa? Ktoś musi pracować. Poza tym podniesiono przecież rangę zawodu tkaczki — sporo zarabiają, są w I grupie zawodowej. Owszem, docenia się ich ciężką pracę. A hałas, kiedy się nosi watę w uszach, albo słuchawki nie jest taki uciążliwy. Wata przynajmniej o 20 decybeli zmniejsza natężenie hałasu.

A przy okazji jedna z pań w biurze zwierzyła się, że na samym początku, kiedy przyszła tutaj pracować była na tkalni. Tkalnia ją przeraziła, jak dzisiaj z perspektywy lat mówi. Przeraził ją ten hałas tak bardzo, że po miesiącu stamtąd uciekła. Uciekała wtedy, gdy dzień w dzień w drodze do domu cały czas jej w głowie i w uszach dudniło. A dzisiaj to tkaczkom bardzo współczuje i dziwi się, jak one mogą w takim hałasie pracować, jak one mogą dobrze później słyszeć.

Kierownik Przychodni Przyzakładowej — dr Andrzej Rozwens:

— *Nie da się ukryć, że sto pięć decybeli — to jest bardzo dużo i sporo ponad normę. Ale na przestrzeni kilkunastu lat stwierdzono tylko kilka przypadków chorób zawodowych. Niemniej jednak ten hałas jest szkodliwy. To, że ludzie się przyzwyczaili i im hałas nie przeszkadza nie oznacza wcale, że się kiedyś nie „odbije" na zdrowiu.*

Ponad sto decybeli zaczyna działać nie tylko na uszy, ale na cały organizm. Zdarzają się zawroty głowy, i inne przykre objawy. W żadnym wypadku na tkalni nie mogą pracować kobiety w ciąży. Poza tym hałas stresuje, tkaczki są bardziej nerwowe od innych kobiet.

Jedyną metodą ograniczenia hałasu są środki zapobiegawcze. Tylko, że wata może co poniektórym podrażniać ucho. Były przypadki, że ludzie się skarżyli.

☆ ★ ☆

Tkaczka pierwsza:

— *W domu, na przykład, mąż na mnie krzyczy, że głośno włączam radio albo telewizor. Albo, że za głośno mówię, prawie krzyczę. Ja sobie z tego nie zdaję sprawy, po tylu latach w hałasie...*

Tkaczka druga:

— *Właściwie nie możemy się na hali normalnie porozumiewać, ponieważ nic nie słychać. Ale wiemy, co która mówi. Rozpoznaje się po ruchu warg, po gestach...*

Tkaczka trzecia:

— *Po ośmiu godzinach pracy najbardziej mnie bolą nogi, potem głowa i trochę uszy....*

Tkaczka czwarta:

— *Taka wata w uszach trochę tłumi stuk maszyn, ale znowu dostajemy uczulenia albo zapalenia ucha. A słuchawki za ciężkie i niewygodne. Często nie noszę nic i też wytrzymuję...*

☆ ★ ☆

Same się nie skarżą, nie narzekają, na przytępiony słuch. Przyzwyczajenie góruje nad niebezpieczeństwem. Poza tym, gdzie po kilkunastu latach szukać nowej pracy, uczyć się nowego fachu. Bo niektóre, jak mówią, chętnie by pracę zmieniły. I na pewno drugi raz, nie zaciągnęłyby się na tkalnię, gdyby jeszcze raz żyć przyszło...

Są tutaj, na tkalni, bo tak być musi i koniec.

PS. Zanotowano w maju 1983 roku w Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. S. Dubois „Polino" w Łodzi.

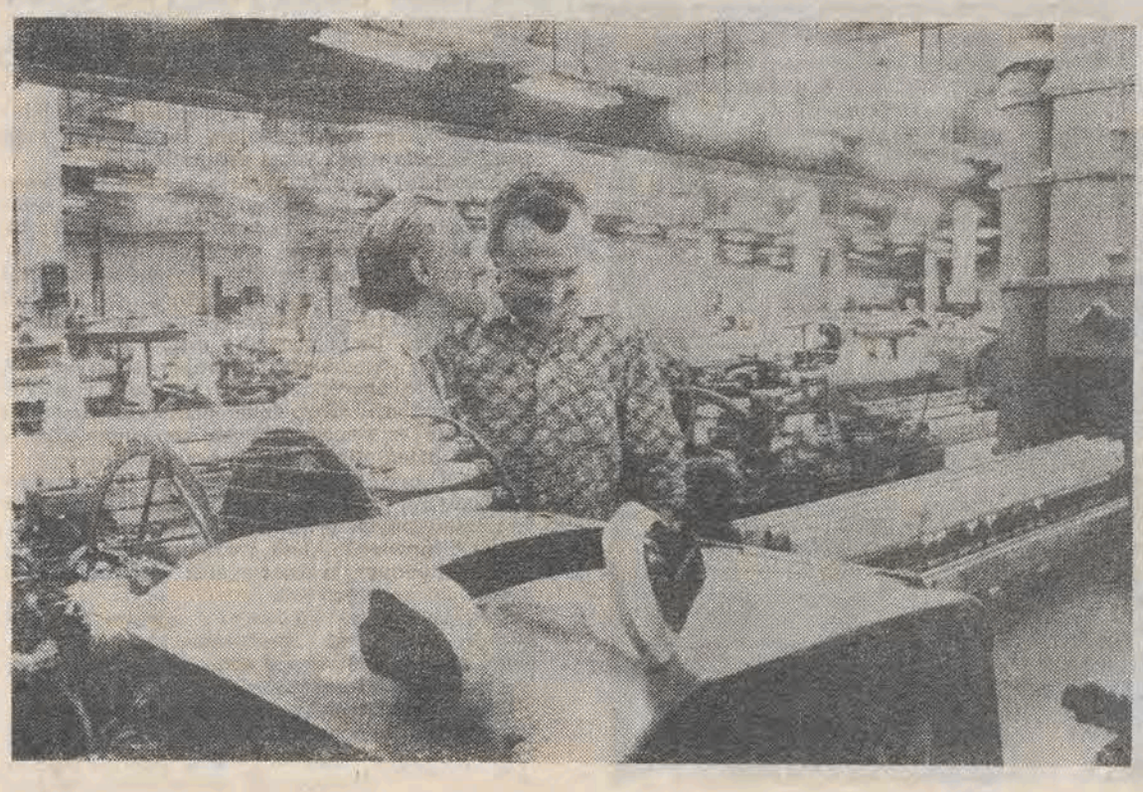

Foto: M. Zajdler

Koniec sezonu

Dokończenie ze str. 1

obwozi się z jednego krańca jeziora w drugi. Robi efektowny wiraż koło śluzy Przewięź, oddala się w kierunku Augustowa, a za kilkanaście minut słychać znowu pędzącą łódź. Ileś tam koni mechanicznych z zawieszonego za rufą silnika tryumfalnym rykiem obwieszcza, że reglamentacja reglamentacją, przydziały przydziałami, a są tacy, którym i tak benzyny nie zabraknie. I nikt w promieniu kilometra nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości.

Na śluzie w Przewięzi stoi tablica informująca, że znajdujemy się oto w strefie ciszy. Wymalowane obok napisów symbole pozwalają nawet zagranicznym turystom zorientować się, że tu hałasować nie wolno, można też poczytać sobie ile kosztuje nieprzestrzeganie tego zakazu.

ZA ŚLUZĄ SWOBODA

Właściwy kanał zaczyna się na wschód od śluzy Swoboda — prosty szlak wodny z wbitymi z obu stron palami i umocnionym brzegiem. Po dwustu metrach widać barkę z zamontowaną na dziobie koparką linową „Waryński", pracowicie pogłębiającą dno kanału, dalej pracuje pogłębiarka z obracającym się szeregiem czerpaków.

Za Suchą Rzeczką, przez którą wody Jeziora Serwy zasilają Kanał Augustowski trzeba wysiąść i udać się po wózek. Wózek ów, potrzebny do przetransportowania kajaka przez szosę na jezioro, wypożycza się w pobliskich zabudowaniach za jedyne dwadzieścia złotych, w zeszłym roku kosztowało to piętnaście, a dawno, dawno temu — dziesięć złotych. Jest więc wózek interesem wcale nielichym, bo nawet pod koniec sierpnia przynajmniej kilka kajaków dziennie na Serwy płynie. Prawdziwy biznes zaczyna się jednak dopiero w Małowistem, skąd przewozi się wodniaków oraz ich sprzęt nad jezioro Wigry.

Rok temu przeprawa lądem na Wigry kosztowała trzysta złotych od kajaka u gospodarza działającego pod auspicjami PTTK, a przynajmniej pod flagą tego towarzystwa. Maszt z powiewającą chorągwią ściąga tu bowiem tych, którzy myślą, że może taniej, bo przecież pod flagą, a może i auspicjami... W tym roku flaga też była, ale gospodarz nie miał czasu — nawet całkiem słusznie, bo żniwa — i poradził zapytać kilka zabudowań dalej, gdzie koło suszarni wisiały liście machorki pomorskiej, tytoń w „Popularnych" zastępującej. Koło machorki kosztowało dwa i pół tysiąca za kurs i to w dodatku trakcją konną, znacznie wolniejszą i mniej pojemną niż sołtysowa przyczepa ciągnięta przez traktor. Ona też w końcu wygrała przetarg — dwa tysiące za kurs z czterema kajakami dawało jedyne pięćset od jednostki pływającej wraz z załogą. A że w zeszłym roku kosztowało na tej przyczepie o połowę taniej to już inna sprawa...

NAD WIGRAMI CICHO I SPOKOJNIE...

...na biwakowiskach niewiele namiotów i jeszcze mniej samochodów. I tu widać, że choć pogoda nadal wspaniała to jednak sezon powoli się już kończy. Nawet milicjant z motorówki liberalny jakiś się zrobił albo po prostu nie chce mu się już wdrapywać na polankę na skarpie, by łapać tych co wyznaczonych biwakowisk nie lubią i w niedozwolonym miejscu namioty rozbijają. Tylko wędkarze są nadal nerwowi. Całymi godzinami potrafią siedzieć w milczeniu i bezruchu, cierpliwie czekając aż coś się złapie na ich hak, jeżeli nie ominie się dostatecznie szerokim łukiem ich stanowiska, wtedy głośno wrzeszczą na „takich co to na samą wędkę prawie człowiekowi wjadą, jakby to nie mogli gdzie indziej pływać". I nie obchodzi już wtedy wędkarzy, że może sami płoszą właśnie swą wymarzoną wielką rybę.

PTAKI NA CZARNEJ HAŃCZY

Zawsze było ich tu sporo. Kiedy koło Czerwonego Folwarku wpływało się na Hańczę zostawiając z tyłu XVIII-wieczny klasztor kamedułów na brzegach rzeki porośniętej gęsto trzcinami spotykało się łabędzią rodzinę. Łabędzie pływały sobie spokojnie, sycząc najwyżej na intruzów, którzy za bardzo się do nich zbliżali. Za wsią Buda Ruska, gdzie brzegi stawały się jeszcze bardziej grząskie pojawiały się czaple szukające pożywienia na mulistym dnie. Były już mniej towarzyskie od łabędzi — na widok nadpływających zrywały się do lotu prostując nieco swe wygięte szyje.

Jeszcze w ubiegłym roku było też sporo bocianów, nie tylko na polach nad rzeką, lecz i dalej, za leśniczówką Łoski, gdzie Czarna Hańcza meandruje wśród skarp porośniętych wysokopiennym lasem. Na zakolach po przeciwnych stronach skarp, gdzie potworzyły się płaskie łączki, bywało sporo boćków. A w tym roku — pusto. Odlecieć nie odleciały, bo do jesieni trochę jeszcze brakowało, więc może się pochowały? Jeżeli tak, to miały rację. W sierpniu bowiem pojawiły się tu i tam w prasie biadolenia na temat rekordowego przyrostu naturalnego w naszym kraju, a to na okoliczność, że „ludzie na pewnym poziomie intelektualnym mają mniej dzieci" a wszelki margines społeczny mnoży się, że hej! Inaczej mówiąc, rodzą się nie całkiem ci co powinni, na czym cierpi między innymi „poziom nauczania w całych klasach" i „iloraz inteligencji". Wprawdzie we wpływ bocianów na przyrost naturalny to już dzisiaj nikt nie wierzy — i to niezależnie od urodzenia i ilorazu — ale faktem jest, że bociany znad Czarnej Hańczy gdzieś się chyba ukryły, choć trudno przypuszczać, że wiedziały do czego w najnowszej historii prowadziły już podobne rozważania o przyroście naturalnym. Trochę szkoda, bo ptaszyska to wielce sympatyczne, choć mają ograniczone możliwości wydawania głosu, co rekompensują sobie klapaniem długim dziobem czyli tak zwanym klekotaniem.

JAK DRZEWIEJ BUDOWANO

Za stanicą Jałowy Róg i wsią Rygol, gdzie szlak wodny rozgałęzia się na wschód do Niemna i na zachód z powrotem do Augustowa, brzegi kanału umocnione są nowymi palami, pękami trzcin. Jeszcze w ubiegłym roku stały tu pogłębiarki i kafary, które raz pracują już koło Swobody, jednym słowem tempo prac niezłe, choć to już oczywiście nie to co sto pięćdziesiąt lat temu, kiedy śluzy budowano w dwa lata.

Śluzę w Paniewie remontowano nieco dłużej, ale parę lat temu remont ów, czy też może rekonstrukcję, szczęśliwie zakończono. Teraz stoi tu jeszcze jakiś sprzęt budowlany, remontuje się jednak nie śluzę, lecz budynki, gdzie mieszkać będzie zapewne śluzowy. Na razie można go znaleźć w barakowozie na zapleczu placu budowy. Pracuje tu ponad dwa lata, czyli nie tak długo, żeby mógł opowiedzieć jak tu dawniej było i czy pęknięcie w górnej komorze rzeczywiście wymagało... powiedzmy — zdemontowania całego obiektu. A że ta nowa, licowana cegłą trochę marnie już wygląda, że między cegłami są już dziury? To już każdy może sam zobaczyć, więc o czym tu mówić.

OD WSCHODU DO ZACHODU SŁOŃCA...

...czynne są śluzy, ale i po zachodzie można nieraz uprosić o prześluzowanie, bo „stanica już niedaleko, a wcześniej nie dało się dopłynąć". W stanicy okazuje się jednak, że nie jest jeszcze tak późno, a przy ognisku czas szybko mija i nie wiedzieć kiedy robi się po północy. Jest na tyle fajnie i demokratycznie, że nawet z pobliskiej Płaskiej czasami ktoś przyjdzie, ot tak, dla towarzystwa. Następnego dnia nie bardzo chce się wstać, tylko przewodnik z szóstym krzyżykiem na karku i spływem „Almaturu" na głowie dziarsko prycha dokonując w jeziorze porannych ablucji.

I już tylko jeden dzień na dopłynięcie do Augustowa, gdzie samochodziarze załadują swe dobra do wozów, które stały czujnie strzeżone koło wypożyczalni, zaś reszta pomaszeruje do stacji Augustów-Port i dalejże do Suwałk. Tam bowiem podstawiają pociąg, a warto mieć w drodze powrotnej siedzące miejsce. Kiedy pociąg odjeżdża — z dwudziestominutowym opóźnieniem — okazuje się, że miejsc jest jeszcze sporo. Do wtóru gitary rozlega się pieśń „Hej, Mirellooo..." — już nie to co „Beata", ale też całkiem romantyczne — i jedziemy do Augustowa popatrzeć na tych, co do Suwałk nie pofatygowali się, więc za karę będą stać przez całą drogę. W Augustowie wsiada zaledwie parę osób. To już naprawdę koniec sezonu...

JULIAN CIESONIK

Foto: M. Zajdler

Foto: M. Zajdler

Amanityna, Faloidyna oraz 310 diabłów

ROBERT GLUTH

W Polsce istnieją takie trzy potęgi: na Śląsku Instytut Medycyny Górniczej, w Trójmieście ze słynną kliniką chorób tropikalnych oraz w Łodzi Instytut Medycyny Pracy. Wszystkie trzy ogromne jednostki, specjalizujące się w określonych dziedzinach medycyny, mają szereg powiązań z wyspecjalizowanymi agendami Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Tak się złożyło w moim życiu, że z przedstawicielami wszystkich trzech potęg miałem do czynienia bezpośrednio. W roku 1963, w czasie epidemii Variola Vera we Wrocławiu, byłem obok Kąkolewskiego jedynym dziennikarzem spoza obsługi PAP-owskiej, i tam poznałem „tropikalnych lekarzy" z Gdańska. W czasie zawału w kopalni w Zabrzu-Rokitnicy odwiedzałem ocalałego górnika Piontka właśnie w Instytucie Śląskim. Teraz wybrałem się do Kliniki Zatruć Ostrych Instytutu Medycyny Pracy w Łodzi.

Instytut jest swoistą centralą ogólnopolską — posiada bowiem kartotekę wszelkich możliwych a znanych nam trucizn oraz wskazówki dotyczące pierwszej pomocy i dalszego postępowania. Z całego kraju telefonem „na ratunek" łączą się z Instytutem szpitale wojewódzkie i prowincjonalne, do których trafia pacjent z objawami silnego zatrucia. To tyle o samym kombinacie zdrowia, do którego, rzecz jasna, należy również szereg prac badawczych oraz innych działań leczniczo-profilaktycznych w zakresie medycyny pracy.

Swoje kroki skierowałem tam jednak tylko w związku z dwoma sprawami. Przyjęli mnie w dyżurce Kliniki Zatruć Ostrych dwaj młodzi, sympatyczni lekarze: Zbigniew Kołaciński i Wojciech Rosłonek. Moje pytania dotyczyły spraw, które muszą w tej chwili niepokoić całe społeczeństwo, ponieważ wiążą się z wyjątkową indolencją i całkowitym brakiem świadomości. Chodzi o grzyby i o środki ochrony roślin.

Tutaj mała dygresja. Kiedy przebywałem na wczasach w czerwcu br., kraj przeżywał pierwszą inwazję stonki. Niedaleko lasu stara babuleńka wysiewała na dorodne kartofle środek owadobójczy za pomocą prostego urządzenia, skonstruowanego z dziurawej pańczochy. Chmury czarnego pyłu osiadały na całym ciele babci, niesione były przez wiatr, chyba najmniej cierpiała stonka. Podszedłem do niej, powiedziałem: „Przecież pani się śmiertelnie zatruje". Usłyszałem w odpowiedzi: „Ej, panie, szkoda pieniędzy na sianie tego traktorem".

Łącząc dopuszczoną przez Ministerstwo Rolnictwa i Ministerstwo Zdrowia ilość herbicydów (środków chwastobójczych) i pestycydów (środków owadobójczych) — otrzymujemy szokującą liczbę 310. Do tego dochodzą przesyłane przez krewnych z zagranicy preparaty, które w ogóle nie są ujęte w wykazach. Nalot stonki, jak wiemy, powtórzył się. To już nie tylko klęska narodowa, ale i poważne zagrożenie środowiska i ludzi pracujących przy wysiewaniu toksycznych środków. Informujący mnie lekarze mówią o fali zatruć nie tylko wśród ludzi rozsiewających ręcznie, ale również wśród traktorzystów. Wystarczy, że obsługujący agregat rozpylający pracownik pracuje z wiatrem i bez maski, aby zatrucie nieuchronnie nastąpiło. Ponadto trafiają się zatrucia tymi środkami w celach samobójczych. Bywa, że są to samobójstwa mimowolne: po prostu lubiący zaglądać do kielicha rolnik bierze nie oznakowaną butelkę i zamiast wina pije truciznę. Według danych Kliniki Ostrych Zatruć, w kraju tego typu przypadki zostały zakończone szczęśliwie w stosunku pięćdziesięcioprocentowym. To oczywiście eufemizm: mówiąc brutalnie, połowa zmarła.

Służba rolna ma na swoim sumieniu te przypadki. Dlaczego w ogromnej ilości małohektarowych gospodarstw wysiewa się środki owado- i chwastobójcze ręcznie? Dlaczego traktorzyści nie przechodzą reżimowych kursów wczesną wiosną, kiedy wiadomo, że stonka pojawi się i będzie się pojawiać nieskończenie? Dlaczego lasy opryskiwane z powietrza środkami przeciwko niszczycielom sosny, nie są we właściwy sposób oznakowane? Jeśli chodzi o to ostatnie zagadnienie, to służę Ministerstwu Rolnictwa, Leśnictwa i Gospodarki Żywnościowej danymi z wydziałów kryminalnych Wojewódzkich Komend MO.

A więc przejdźmy do tematu drugiego, który nie jest spowodowany jedynie ludzką indolencją, ale również brakiem wystarczającej oświaty w dziedzinie grzybobrania. Kartka pocztówkowa zawierająca podstawowe grzyby trujące i podobne do nich jadalne została wydana w ilości 100 tys. egzemplarzy. No to mamy efekty. Dajmy na to w Ostrowcu Świętokrzyskim nastąpiło zbiorowe zatrucie grzybami, w Rzeszowie dziecko 3-letnie konało i trzeba było ogromnej wiedzy lekarskiej (zastosowanie transfuzji wymiennej i dializy), żeby brzdąca uratować. A przecież mieliśmy lato suche i wysyp grzybów dopiero nastąpi pod koniec września! I znajdą się zbieracze ładujący do koszyków aksamitkę, gołąbka wymiotnego (bardzo podobnego do surojadki), maślankę wiązkową, muchomora czerwonego, sromotnikowego i bezwstydnego, a także olszówkę, pięknoroga lepkiego, pierściennika grynszpanowego bądź tęgoskóra pospolitego. Wszak te miłe grzybki są bardzo podobne nieraz do jadalnych, a ilu grzybiarzy, widząc muchomora sromotnikowego, wrzeszczy z zachwytem: „O, pieczarka leśna!". A halucynogenny tęgoskór pospolity chętnie bywa brany za trufle. Podobnie bywa z olszówkami. „Doświadczeni" grzybiarze powiadają, że olszówki jadali, jedzą i jadać będą, wystarczy je tylko przegotować a wywar odlać. Natomiast badania jeszcze nie potwierdziły skutków chorobotwórczych na wątrobę od tego pięknego grzybka.

Zajmijmy się jednak największym polskim trucicielem. Jest nim muchomór sromotnikowy. Zawiera dwie piekielne trucizny wymienione w tytule. Są to amanityna i faloidyna. Obie substancje nie reagują w ogóle na żadne wygotowywania, a specyficznie uszkadzają procesy enzymatyczne komórek narządów miąższowych, głównie wątroby i nerek. Leczenie po zatruciu którymś z gatunków grzyba, o którym piszemy, jest na ogół niepomyślne. Zasadniczo, tak jak i przy innych truciznach, decyduje spożyta dawka, czas odległości od spożycia do zgłoszenia się po poradę oraz wiek człowieka. To są oczywiście ogólniki.

Przejdźmy teraz do sposobów leczenia i rokowań. O ile muchomór sromotnikowy został spożyty przed upływem doby — to zasadniczo stosuje się dializę, o ile już minęły dwie doby — wtedy jako rodzaj zablokowania trucizny, stosuje się penicylinę krystaliczną, podawaną w dawkach masywnych po kilkadziesiąt milionów jednostek, środki sterydowe (kortykoidy) oraz specyfiki wspomagające wątrobę. Łatwo się domyślić, że późniejsze zgłoszenia, a nawet rokowania w leczeniu rutynowym wczesnym są raczej pesymistyczne. „Ze sromotnika łatwo się nie wychodzi" — powiadają pielęgniarki Instytutu.

Traf chciał, że w czasie, gdy mówiliśmy o tym, że lato jest suche i wysyp grzybów nastąpi nieco później — zapukała do drzwi pielęgniarka i powiedziała: „Panie doktorze, mamy przypadek zatrucia grzybami". No, cóż, wysyp się zaczął.

P.S.

Wielu czytelników gazet, czytając o dializie, myli pojęcie aparatury dialitycznej ze sztuczną nerką, a zdarzają się nawet tacy, którzy myślą o jakimś przeszczepie. Idiotyczne określenie „sztuczna nerka" jest wymysłem gazet brukowych i dużo czasu jeszcze upłynie, zanim takowe będziemy wszczepiać. Urządzenie dialityczne jest sporych rozmiarów maszyną — bo tak to cybernetycznie należy określić — do której dołączone są za pomocą cewników tętnica i żyła pacjenta. W ten sposób krew przez pewien czas przebywa i w organizmie i poza organizmem pacjenta, będąc oczyszczana zarówno przez specyficzną strukturę aparatu do dializy, jak i przez płyn dialityczny, który się wlewa do aparatu. Aparaturę tę obsługują najwyższej klasy fachowcy, zaś wynalazek należy do lekarza holenderskiego, działającego po II wojnie światowej. Człowiek ów, dla dobra nauki, poświęcił nie tylko popularność, ale i dobre imię, ponieważ pierwszą aparaturą uratował życie skazanej na wieloletnie więzienie hitlerowskiej zbrodniarce. Na skutek oburzenia opinii publicznej musiał Holandię opuścić i, o ile mnie pamięć nie myli, skończył samobójczo. Obecnie aparaty do dializy stosowane są we wszystkich szanujących się klinikach toksykologicznych, nefrologicznych i innych.

R.G.

Wszystko podporządkowałam swojemu zawodowi

ROZMOWA Z TERESĄ MAY-CZYŻOWSKĄ

To zdanie Teresa May-Czyżowska, solistka Teatru Wielkiego w Łodzi, powtarza w każdej rozmowie. Kiedy spotkałyśmy się po raz ostatni szlifowała formę przed premierą „Fidelia". Był to koniec sezonu.

— Teraz, po ciężkim sezonie, a przed otwarciem kolejnego roku pracy scenicznej, jak ocenia pani swoją kondycję, jak wyglądała praca nad nią?

— Powiem najpierw o tym co mnie czeka. Wrzesień będzie ciężki. Oprócz pracy w teatrze przede mną „Stabat Mater" — F. Poulenca. Tę pozycję oraz „Sen nocy letniej" Mendelssohna (ze sławnym marszem weselnym) przygotowuję z Filharmonią Łódzką pod dyrekcją Andrzeja Markowskiego. Zanim zainaugurujemy sezon w FŁ będzie jeszcze występ na Vratislavia Cantans. Od 5 września czeka mnie sporo pracy w teatrze. Najpierw operowa gala, w której śpiewać będę szlagier z musicalu „Hallo, Dolly". Trzeba jeszcze wymienić pracę nad „Marią Stuart", pozycją rzadko u nas graną, która musi być doskonale przypomniana, bowiem zaprezentujemy ją gościom Warszawskiej Jesieni, (na ten spektakl przyjadą do Łodzi). Powrót „Normy" po wakacyjnej przerwie to także kwestia wielu prób, no i jeszcze nagranie „Stabat Mater" — Szymanowskiego.

— Pytanie o formę staje się więc niezwykle zasadne.

— Istotnie. To wszystko co wymieniłam wisiało nade mną przez całe wakacje. Starałam się wykorzystać czas i pogodę. Dużo pływałam i trochę wiosłowałam. Szkoda, że nie było grzybów w lasach nad jeziorem, gdzie byłam na urlopie, bo zbieranie grzybów to także świetny trening. W „Lecie z radiem" Olga Lipińska mówiła o żelaznym zdrowiu jako drugim po talencie zawodowym atrybucie aktora, u śpiewaka zdrowie staje się jeszcze ważniejsze, a wręcz obie sprawy trzeba by stawiać na równi. Właściwie to nie powinnam tak dużo mówić o zdrowiu, żeby mi „życzliwi" nie zaczęli życzyć choroby.

— Ale jak to: gwiazda bez migreny?

— To nie jest model śpiewaczki. Histeryczne choroby dyskwalifikują.

— Ciągle jednak na świecie wybuchają operowe skandale, spektakle zrywane są z powodu niedyspozycji artystów. Tłumaczy się ją rozmaicie, ale przede wszystkim przepracowaniem, wyciskaniem z siebie wszystkich sił nawet za sprawą tępionych w sporcie środków dopingujących.

— Nigdy nie brałam żadnych środków tego typu. Nie chodzę też do lekarzy i oby to trwało jak najdłużej. Czasem boli mnie głowa. Wtedy wystarcza mi proszek z kiosku „Ruchu". Bywam niekiedy bardzo podniecona, np. po premierze trudno mi zasnąć, wtedy zażywam pastylkę. Nie wiem jednak jak by to było, gdybym żyła tak, jak światowej sławy gwiazdy, mieszkające praktycznie w samolocie. Zmęczenia, zmiany klimatyczne robią swoje. Za szybkie życie płaci się cenę zdrowia i nerwów. Kiedy jestem wykończona stosuję terapię, której zwolenniczką była nieżyjąca profesor Olga Olgina. Przez 2—3 dni staram się maksymalnie zwolnić obroty, przejść niemal w stan wegetacji. I znów wraca energia. Ponoć to najskuteczniejszy sposób regeneracji dla ludzi o dużej witalności. Wspaniale działa na mnie przyroda. Bez przerwy mogę patrzeć na trawę, zieleń. Kocham zwierzęta.

— To już odpowiedni moment, żeby opowiedziała pani o swoich kotach.

— Zawsze chciałam mieć psa, aż raz znalazłam bezdomną kotkę. Teraz mam drugą, a ona właśnie została mamą trzech kociątek. Jest więc w moim domu 5 kotów, ale staram się znaleźć dla nich opiekunów.

— Wróćmy do zawodowych dylematów. Czy umie pani wybierać i czy potrafi pani zdecydować, co w życiu najważniejsze?

— Nie chciałabym powielać tysięcy narzekań, ale mówiąc najkrócej i banalnie, życie śpiewaka jest naprawdę ciężkie, bo jest to zawód wymagający całkowitego oddania. Tymczasem codzienność każe realizować kartki, ustawiać się w kolejkach.

Mój mąż bardzo mi pomaga. Ja kiedyś powiedziałam „a" — teraz wszystko jest podporządkowane zawodowi. Oczywiście wszystko, co można podporządkować. I tak, kiedy miałabym ochotę się bawić, muszę starać się o formę przed premierą, kiedy mam ochotę na lody, muszę zrezygnować, bo a nuż zaszkodzą. Choć nie jestem śpiewaczką trzęsącą się nad sobą, musiałam narzucić sobie wiele rygorów.

— Kiedy czuje się pani naprawdę szczęśliwa?

— Nigdy nie jest się naprawdę szczęśliwym. Najbliższa uczucia szczęścia jestem chyba na urlopie, kiedy mam obok siebie drogie mi osoby, zwierzęta i wspaniałą przyrodę. Ale jeszcze w perspektywie musi być ciekawa praca, świadomość, że się jest potrzebnym, że publiczność będzie przychodziła, że chce spotkać się ze mną.

— I tak oto pracę mamy znów na pierwszym miejscu. Ostatnio dość często w różnych publikacjach wspomina się zdanie jednego z dyrektorów teatru wiedeńskiego: „Teatr to szpital wariatów, ale opera to jego oddział nieuleczalnie chorych". Co pani sądzi o tym poglądzie sprzed 50 lat?

— To nawet nie sprawa odległości czasowej, ile realiów. Myślę, że my nie mamy powodu aż tak drastycznie obrazować naszego życia. Po prostu dość prozaicznie wygląda teatralna codzienność.

— Należy pani do bardzo eksploatowanych śpiewaczek. Praktycznie niewiele premier w Teatrze Wielkim odbywa się bez pani udziału. Oczywiście kierownictwo teatru ma na względzie pozycję firmy i akceptację widzów, którym chce dać wszystko to co najlepsze, ale czy owa eksploatacja nie rujnuje zbytnio pani siły i głosu.

— Choć wydaje się, że jestem eksploatowana, to w szeregu premier z własnej woli nie brałam udziału właśnie ze względu na siły i głos. Zrezygnowałam np. z Elżbiety w „Tannhäuserze", z Butterfly, z Bubuliny w „Zorbie", z roli w „Trubadurze". Staram się myśleć ekonomicznie. Faktem jest jednak, że wykonuję w naszym teatrze partie trudne, że wspomnę swój udział w „Henryku VI na łowach", w „Wolnym strzelcu", „Hrabinie", „Fideliu", „Marii Stuart" i wreszcie w „Normie". Ta ostatnia jest niezwykle wyczerpująca, po zejściu ze sceny mam ciemno w oczach i miękkie nogi.

— Z łódzkim teatrem wiążą się nazwiska trzech wielkich Teres: — Żylis-Gary, Wojtaszek-Kubiak i May-Czyżowskiej. Dwie pierwsze ruszyły w świat i to z nie lada sukcesami. Przyjmując nawet, że prawdą jest, iż najtrudniej być prorokiem między swymi, a pani udało się zdobyć uznanie oraz pozycję w polskiej wokalistyce operowej, można by się dziwić dlaczego nie szukała pani potwierdzenia swego talentu za granicą?

— Wybierając stałą karierę za granicą trzeba postawić na jedną kartę: zerwać z krajem, nie mieć zobowiązań rodzinnych lub nie oglądać się na nie i mieć odpowiednie predyspozycje psychiczne, do takiego życia w drodze i daleko od swoich. Wybrałam inaczej i myślę, że słusznie. A ponadto wiele podpowiedziało samo życie. Sporo koncertowałam za granicą, jeździłam na konkursy; na dwu z nich, w Austrii i na Węgrzech, zajęłam pierwsze miejsca, ale zawodowo związałam się z jedną sceną, z teatrem łódzkim.

— W pani domu jest wiele drobiazgów japońskich...

— i wiążą się z moją japońską przygodą — tokijską prapremierą „Halki". Śpiewałam w sali telewizji japońskiej przeznaczonej dla 4 tysięcy widzów. TV transmitowała spektakl na Japonię, Singapur i Australię. Publiczność wspaniale przyjęła ten spektakl. Powściągliwi Japończycy okazali mi wiele gorącej sympatii. Część roli śpiewałam po japońsku i chcę powiedzieć, że ten język nie jest wcale tak awokalny, jak się to z pozoru wydaje. Zdarzenie takie jak to pociąga za sobą często inne propozycje. Miałam podpisany kontrakt we Włoszech, ale są sprawy, których nie sposób podporządkować myśleniu tylko o sobie. I tak uciekło kilka interesujących ofert. Ostatnio koncertowałam w Czechosłowacji, na Węgrzech i w Jugosławii. W Skopje wraz z grupą łódzkich solistów śpiewałam „Normę" w nowym wspaniałym teatrze. Nasz występ publiczność przyjęła nadzwyczaj serdecznie.

Mówiąc o sposobach zdobywania zagranicznych scen nie mogę oprzeć się jednej refleksji, dość gorzkiej: u nas aby zrobić karierę, by ruszyć na podbój świata, trzeba albo bardzo szczęśliwego przypadku (co by było, gdyby Teresy Wojtaszek nie usłyszał impresario w jej bardzo dobrym okresie) albo mieć układy. Ja świadomie wybrałam, ale jestem osobą, która ma bardzo dużo skrupułów, a przy tym bezkompromisową. Nie umię przymykać oczu na to, czego nie potrafię zaakceptować i zrozumieć, nie potrafię zdobywać niczego za wszelką cenę. To nie ułatwia zawodowej drogi. W kraju zostałam doceniona, mam wiele dowodów na to, że akceptuje mnie publiczność — ludzie z rozmaitych środowisk, a także dostrzegają dysponenci kultury. Nie ma we mnie poczucia krzywdy czy niedowartościowania. Wielką satysfakcją była dla mnie tegoroczna nagroda Ministra Kultury i Sztuki (I stopnia). Znalazłam się w gronie muzycznych znakomitości, a to też się liczy. Wiele osób czekało na taką nagrodę długie lata.

— W swojej zawodowej karierze poświęca pani wiele uwagi nie tylko scenie i koncertom estradowym, ale także nagraniom radiowym. Ostatnio radiosłuchacze mogli słyszeć w pani wykonaniu zupełnie nieznaną pozycję jaką jest opera „Zygmunt August" Jotyki. Słuchacze przyzwyczajeni do wielkich arii w pani wydaniu mogli się nieco zdziwić.

— Aria „Królowej Bony" wiąże się jeszcze z moim okresem szkolnym. Mam do niej swego rodzaju sentyment i cieszę się, że została dostrzeżona. Chcę w tym miejscu dodać, że szczególnie wiele uwagi poświęcam polskiemu repertuarowi. Teraz z orkiestrą polskiego radia w Krakowie będę nagrywała „Marię Stuart" Twardowskiego.

— Ponieważ nie samą sceną śpiewaczka żyje, proszę powiedzieć, czy w pani zawodzie możliwa jest przyjaźń między artystami?

— Myślę, że nie. Czasem człowiek ulega złudzeniu, potem jednak następuje bardzo niemiłe przebudzenie.

— Bogusław Kaczyński w jednej ze swoich radiowych opowieści mówił ze współczuciem o polskich gwiazdach. O tym, że są wręcz niedostrzegane, a ich pozycja niewiele znaczy dla pracowników teatru. Czy ta demokracja w operze jest istotnie tak uciążliwa?

— Muszę z przykrością powiedzieć, że tak. I dotyczy to często drobiazgów. Np. w przerwie między próbami często jestem bardzo zmęczona. Tymczasem mało kto dostrzega to. Rzadko mogę liczyć na fory w kolejce po herbatę. Wolę więc często w ogóle zrezygnować z napicia się. W teatrze panuje pełna demokracja a, jak tego już wielokrotnie dowodzono, w sztuce jej reguły raczej nie powinny obowiązywać. Choć muszę jednocześnie powiedzieć, że dużo serdeczności spotyka mnie np. ze strony chóru, orkiestry.

— Czy młodsi koledzy, startujący w zawodzie chcą korzystać z doświadczenia starszych, starają się być obok nich?

— Nie. Nie darzą nas takim szacunkiem, jakim ja np. darzyłam Fołtyn, Bolechowską, Dzikównę czy Pietraszkiewicz. Jest wiele takich młodych koleżanek, które jeśli się z nimi wcześniej z jakiegoś powodu nie rozmawiało, nawet nie mówią dzień dobry. Młodzi panowie są zupełnie inni i dużo sympatyczniejsze są zawodowe kontakty z nimi.

— Artystka to dla jej wielbicieli także osoba, która potrafi się prezentować, którą chcą po prostu oglądać. Co pani sądzi o ciuchach, o modzie?

— Lubię być dobrze ubrana i przyznaję, że nie bardzo potrafię odmawiać sobie czegoś ładnego. Ostatnio w Jugosławii urzekła mnie wspaniała czarna suknia z żorżety i przyznaję... lepiej nie mówić ile kosztowała. Kiedyś miałam krawcową, teraz kupuję ciuchy głównie w butiku. Nie zawsze nadążam za modą, a poza wszystkim trzeba radzić się lustra, by nie wyglądać śmiesznie.

— Za panią nie tylko wakacje, ale także efektowny występ na Festiwalu Moniuszkowskim w Kudowie. Przed panią cały bogaty sezon rozpoczęty arcypracowitym wrześniem. Na koniec zamiast życzeń chcę zapytać co pani sama chciałaby usłyszeć od swojego szefa?

— Chciałabym być szczera, ale za wiele przemawia za tym, abym raczej z tej szczerości zrezygnowała. Proszę wybaczyć, nie odpowiem na to pytanie.

— Zamiast pani odpowiedzi ja mam taki opis sytuacji: dzwonię pod kilka numerów do łódzkiego Teatru Wielkiego pytając, jak to często czynią rozwiązywacze krzyżówek: jak się w waszym teatrze nazywa ta pierwsza śpiewaczka. Odpowiedź była jednobrzmiąca: Teresa May-Czyżowska.

ROZMAWIAŁA: RENATA SAS

(Rozmowa została przeprowadzona w końcu sierpnia br., a zatem niektóre z zamierzeń artystycznych, przedstawionych przez panią Teresę May-Czyżowską zostały już zrealizowane — RS).

W kameralnych szrankach

Dokończenie ze strony 1

powiem, zaistnieć w całym swym wymiarze tylko w odbiorze widza (słuchacza), któremu nieźle znany jest w oryginale wspaniały tekst Kochanowskiego, zarówno bogaty myślowo, jak i urzekający poetycko. Nie łudźmy się przecież, że przez większość tych, którzy „przerabiali" go w szkole, został trwale przyswojony. A cóż pozostaje z owego tekstu w operze, nie tylko że z konieczności przykrojonego, ale i nie dość wyraźnie artykułowanego ze względu na wielkie trudności muzyczne i ściśle wokalne, z którymi zmagać się muszą śpiewacy? Sądzę, że w tym tkwi główna przyczyna stosunkowo niewielkiego rezonansu dzieła, które ma w warstwie muzycznej tak silny ładunek dramatyzmu, tak wiele miejsc pełnych ekspresji.

W stosunku do oryginału czy raczej do literackiego pierwowzoru zachodzą tu dosyć istotne zmiany. Wprowadzono postać **Narratora**, który przejmuje głównie zadania Posła z dramatu Kochanowskiego (rola upamiętniona w telewizyjnej realizacji przez kreację Piotra Fronczewskiego). Przynosi on Helenie pomyślną relację z przebiegu sejmowej debaty, a te jego jakże ważne słowa, ze względu na niezmiernie trudne zadania wokalne, nie docierały do uszu widowni, mimo iż **JERZY WOLNIAK** wyszedł ze swoich zadań na ogół obronną ręką. Nawet nienaganna dykcja i wyraziste aktorstwo **WŁADYSŁAWA MALCZEWSKIEGO (Antenor)** nie mogły zagwarantować zrozumienia przez publiczność niezwykle ważnych kwestii, a przecież w wypowiedziach głównie tych dwu postaci zawiera się przewód myślowy dzieła, tymczasem jednak adaptacja dała, niezbyt chyba słusznie, pierwszeństwo wypowiedziom **Recytatora**, doskonale zresztą przekazanym przez **STEFANA PASKĘ**, a to dzięki temu, iż nie musiał swoich słów wyśpiewywać. Ale są to słowa wyrażające zachętę do... wojny prewencyjnej, gdy, moim zdaniem, najważniejsze, jako polityczny morał, są właśnie teksty zawierające krytykę szlacheckiej anarchii i pseudopatriotycznej demagogii (w relacji Narratora czy w wystąpieniu **Iketaona** (udana rola adepta **PIOTRA NOWACKIEGO**), bądź też w moralnych naukach Antenora, kierowanych czy to do **Aleksandra** (Parysa) czy do **Priama**. Jeśli przedstawienie, z którego emanował podniosły nastrój, podkreślany przez hieratyczny ruch i gest, pozostawiło po sobie silne wrażenie, to także dzięki bardzo ekspresyjnej interpretacji wokalno-aktorskiej, począwszy od **IZABELI KOBUS**, jej pełnego rozterek monologu **Heleny**, a przede wszystkim dzięki niezwykle sugestywnej, z wielką siłą dramatyczną kreowanej przez **EWĘ KARAŚKIEWICZ** roli **Kasandry**, stwarzającej zresztą ogromne obciążenia wokalne. W dawno nie spotykanej formie zaprezentował się jako młodzieńczo zadufany **Aleksander TADEUSZ KOPACKI**, trafne też wydało mi się obsadzenie roli Priama przez **TOMASZA FITASA**, doskonale wypadł duet posłującego we własnej sprawie **Menelausa (EUGENIUSZ NIZIOŁ)** i **Ulissesa (KRZYSZTOF LESZCZYŃSKI)**. Odnotujmy jeszcze rolę **Pani**, w wykonaniu **MARII SZCZUCKIEJ**.

Choć trudno to ocenić niespecjaliście, wydaje mi się, że bez zarzutu śpiewały chóry, wyraziście operujące gestem, a wyjątkowo pięknie zabrzmiało przejmujące lamentoso po brzemiennej decyzji Priama, subtelnie przechodzące w sławną inwokację do „białoskrzydłej pławaczki". Bardzo dynamicznie i precyzyjnie sprawował kierownictwo muzyczne **ANTONI WICHEREK**, wielką pieczołowitością reżyserską odznaczały się zwłaszcza sceny zbiorowe, między innymi spór obu partii sejmowych, prace scenografa koncentrowały się w istniejących warunkach na zaprojektowaniu kostiumów, należycie skontrastowanych w poszczególnych grupach, ale nie wyłamujących się z ogólnego wyrazu stylistycznego.

Wystawienie „Odprawy" okazało się czymś więcej, niż tylko gestem uczynionym przez teatr dla „honoru domu", zespół bowiem zmierzył się, i to zwycięsko, z zadaniem niewątpliwie trudnym zarówno muzycznie, jak i wokalnie, a wreszcie teatralnie, odniosła przy tym korzyść edukacja kulturalna publiczności. Nasuwa się jednak wniosek, iż nie zawadziłoby zamieszczenie libretta w teatralnym programie.

★ ☆ ★

Domenico Cimarosa, XVIII-wieczny kompozytor włoski, znany jest dziś głównie z opery „Potajemne małżeństwo". Nie jest to wiele, jak na 80 napisanych przez niego dzieł scenicznych, z których większość grywano z powodzeniem za życia kompozytora nie tylko we Włoszech, choć niełatwo mu było zwrócić na siebie uwagę w dobie triumfalnego pochodu oper Paisiella. Ciekawa i tajemnicza zresztą to postać ów Cimarosa, wzrastający w biedzie, wcześnie osierocony syn murarza, uczestnik powstania neapolitańskiego, skazany za udział w nim na śmierć, i w ostatniej chwili ułaskawiony, a gdy zmarł niedługo potem i rozeszły się pogłoski, iż został otruty, sam lekarz nadworny papieża Piusa VII, aby zapobiec niepokojom, opublikował w tej sprawie specjalne dementi. Był więc Cimarosa „kimś", ale czy stał się nim głównie dzięki „Il maestro di capella" Jest to rzecz wprawdzie miła w słuchaniu, ale zbyt banalnie prosta, a dostarcza niezłej zabawy tylko pod warunkiem, że główny (zresztą jedyny) bohater, tytułowy „Kapelmistrz" sprosta swoim zadaniom nie tylko śpiewaczym, ale i aktorskim. Tak się też stało dzięki obsadzeniu tej roli przez **KAZIMIERZA KOWALSKIEGO**, którego możliwościom głosowym odpowiada ona jak najlepiej. Ale nade wszystko rozwinął tu artysta szeroką skalę swojego talentu buffo, a na tyle opanował partyturę, że mógł właśnie z całkowitą swobodą grać i śpiewać, choć, co prawda, z początku, jakby nieco skrępowany, dopuścił jednak do dość rażącego (i niezamierzonego) rozchodzenia się głosów orkiestry, grającej zresztą z nerwem i precyzją. Widać też było, iż nasi muzycy doskonale się czują w kostiumach z epoki. Publiczność bawiła się świetnie, skłaniając maestra Kowalskiego do powtórki końcowych fragmentów utworu.

JERZY KWIECIŃSKI

Witold Rudziński „Odprawa posłów greckich", opera w jednym akcie, libretto — **Bogdan Ostromęcki** wg Jana Kochanowskiego, kierownictwo muzyczne — **Antoni Wicherek**, reżyseria — **Halina Dzieduszycka**, scenografia — **Jadwiga Jarosiewicz**, przygotowanie chóru — **Henryk Karpiński**.

Domenico Cimarosa, „Il maestro di capella", Intermezzo na orkiestrę i głos basowy, libretto polskie — **Lech Emfazy Stefański**, kierownictwo muzyczne i reżyseria — **Antoni Wicherek**, scenografia — **Jadwiga Jarosiewicz**.

Dokończenie ze strony 1

Wokół panowała nieprzeniknięta gęsta ciemność. Agregat prądotwórczy przestał działać punktualnie o godzinie dwudziestej drugiej, a teraz na pewno zbliżała się już północ. Miałam jednak, jak zawsze pod ręką latarkę. Słysząc wśród mroku kolejny odgłos — chrzęszczenie, jak gdyby chrupanie, skierowałam strumień światła najpierw do góry, a potem na środek chaty. Szurnięcie i znów pisk — tym razem donośniejszy, jak gdyby gniewny. Gwałtowny szelest pomiędzy liśćmi strzechy; widocznie usiłowało skryć się wśród nich jakieś spłoszone stworzenie. Rozchyliwszy moskitierę oświetliłam stolik umieszczony pod przeciwległą ścianą — i znieruchomiałam, ściskając kurczowo latarkę w ręku. Obok moich notatników i drobiazgów siedział rosły szczur, posilając się herbatnikami z plastykowej torebki, którą, jak się okazało rano, pogryzł na drobne strzępy. Oślepiony blaskiem latarki najeżył się, pisnął raz jeszcze głośno — i bez pośpiechu długim susem zeskoczył w kąt. Pomiędzy liśćmi strzechy zakotłowało się gwałtownie. Musiała tam grasować istna horda innych szczurów, bądź też myszy.

— Rany boskie! — jęknęłam na głos. — Przecież mowy nie ma, żeby zasnąć!

Istotnie przekonałam się niebawem, że myszy i szczury lekceważą moją obecność, hasając swobodnie wewnątrz chaty i pod strzechą. Jedno tylko je odstraszało: światło. Ale ze światłem było skąpo. Dawno wypaliła się resztka nafty w małej lampce. Baterie należało oszczędzać; ta która zasilała moją latarkę, włączona bez przerwy, powoli słabła. Nie było jednak innego sposobu: desperacko włączałam co chwila latarkę, wodząc światłem wokół izby, potem gasiłam ją, aby choć trochę oszczędzić nikłego blasku. Co będzie, jeśli latarka przestanie działać, zanim nadejdzie świt? Gdzieś na dnie torby podróżnej powinnam mieć zapasową baterię. Ale w tej chwili żadna siła ludzka nie zdołałaby mnie zmusić do przejścia i sięgnięcia po torbę, leżącą na zapasowym pustym łóżku. Zaznałam nieraz w Wietnamie strachu. Ale mimo wszystko strach przed bombami był inny niż ten obrzydliwy, mdlący lęk na myśl, że mogę nadepnąć stopą mysz lub że szczur, bardziej niż mysz agresywny, wyskoczy z ciemności... Przecież może się na mnie rzucić! Brr!

Chwila spokoju. Zgasiłam latarkę. Tabletka nasenna widocznie działała. Pogrążyłam się bowiem w otępiałe zamroczenie, które tłumiło zdolność słyszenia nocnych głosów. Trwało to jednak niedługo. Nagle drgnęłam — raptowny hałas wyrwał mnie z drzemki. Niech to cholera! Coś ciężkiego spadło ze stołu. Nazajutrz okazało się, że szczur zrzucił gruby tom wspomnień Henri Mohoute, odkrywcy Angkor Watu. Wiozłam ze sobą tę książkę wypożyczoną z głównej biblioteki naukowej w Hanoi, aby wykorzystać na lekturę wolne chwile południowej sjesty. — Musiał to być szczur-intelektualista, jeśli zainteresował się takim tomiskiem — powiedział Khoang. — Bądź rada, że z tej ciekawości nie pociął książki zębami na strzępy. One tak potrafią!

Ale te słowa padły dopiero nazajutrz. Teraz na razie wciąż jeszcze trwała koszmarna noc z upiornym zawodzeniem wiatru i niesamowitymi „atrakcjami" w postaci mysio-szczurzej sarabandy. Zasnęłam wreszcie, kurczowo trzymając w ręku latarkę. Bateryjka oczywiście wypaliła się doszczętnie.

Rankiem szczury i myszy harcujące przez całą noc, znikły bez śladu. A raczej — owszem — zostawiły po sobie ślad. Khoang i „kapitan" Luong kiwali głowami, oglądając wyrządzone szkody: moja solidna torba podróżna z czarnego czeskiego skaju ziała wygryzioną tuż u zamka dziurą większą niż dłoń. Myszy obgryzły etykietki na flakonikach z lekarstwami i dosłownie „poszatkowały" duży pakiet cukierków, które wiozłam dla dzieci z przedszkola w Quang Tri.

— Torbę trzeba powiesić na sznurku przytwierdzonym do belki dachowej — zarządził Luong — One są bardzo zwinne, ale po sznurach wspinać się nie potrafią. — Ciesz się, że nie zaatakowały twojego aparatu fotograficznego!

— Przecież nie zżerają chyba szkła ani metalu!

— Nie. Ale chętnie jedzą skórę i smakuje im klej. Dlatego dobrały się do etykietek na lekarstwach. Na pewno odpowiadałaby im skóra z futerału.

— Więc co zrobić?

— Albo zawiesić także aparat u góry na rzemyku, albo schować go pod poduszkę. Tylko wtedy nie ma gwarancji, że szczury nie wlezą do łóżka, jeśli węchem poczują skórę...

Omal nie rzuciłam w „kapitana" aparatem, wściekła na jego żarciki, które zawierały jednak wiele prawdy. Dziennikarz węgierski, który nocował w sąsiedztwie przybiegł w tej chwili, aby pokazać rezultat mysiej czy szczurzej żarłoczności; ofiarą gryzoni padł brezentowy wietnamski kapelusz otoczony wąskim skórzanym rzemykiem.

— A nie mówiłem? — triumfował Luong. — Klej! Dobrały się do skóry z klejem!

Przedstawiciele władz miejscowych, którzy przybyli na spotkanie kiwali również głowami ze zrozumieniem, usłyszawszy jaką zmorą były dla mnie podczas nocy złośliwe stworzenia. Stwierdzili zarazem, że tego właśnie przedwiośnia myszy i szczury stały się szczególną plagą w całej okolicy. Rok temu znacznie mniej dawały się we znaki. Dlaczego teraz aż tak zaroiło się od nich? Nikt nie wiedział. Czyżby zimna, opóźniona wiosna kazała im szukać pokarmu i ciepła w pobliżu ludzkich siedzib? Być może. W każdym razie plaga ta była groźna dla zapasów ryżu w domach oraz w spichrzach i składach wiejskich. Nie dość, że i tak ryżu było mało — żarłoczne gryzonie uszczuplały jego zasoby. W warunkach wietnamskich trudno rozsypywać truciznę, może ona bowiem zaszkodzić kurom, kaczkom i domowym zwierzętom. Przydałoby się więcej kotów, ale czym je żywić? Chociaż wietnamskie koty mleka nie piją, nie jest ono bowiem w tym kraju spożywane, same myszy upolowane przez nie jednak nie wystarczą...

Khoang rozmawiał jeszcze przez chwilę z przedstawicielami władz, a potem zwrócił się do mnie:

— Towarzysze miejscowi bardzo ubolewają, że natrętne myszy i szczury nie pozwoliły ci należycie odpocząć. Spytali więc, co sprawiłoby ci przyjemność? Wiem, że najchętniej przyjęłabyś wiadomość o radykalnym wytępieniu tych stworzeń. No, ale to nie da się zrobić tak szybko. Powiedziałem, że zbierasz stare opowieści i że chętnie wysłuchasz legend związanych na przykład z myszami i szczurami. Najpierw certowali się, że to dawne historie, które opowiadają najwyżej dziadkowie, żeby postraszyć wnuków. Zapewniłem jednak, że ciebie takie rzeczy bardzo interesują. Zgodzili się.

— To doskonale!

— Na razie wysłuchamy więc informacji o wszystkim, co zdziałali po wyzwoleniu prowincji Quang Tri, a do wieczora obiecali przypomnieć sobie coś niecoś.

Zapowiedź owa ułatwiła mi wysłuchanie długiej, bardzo dokładnej, przeplatanej cyframi i danymi statystycznymi relacji o gospodarce Quang Tri, o hektarach zaoranych pól ryżowych i o tonach ryżu zebranych z każdego hektara. Khoang tłumaczył, chwilami z trudem tłumiąc ziewnięcia. Ja notowałam gorliwie, zastanawiając się chwilami, czy aby moi rozmówcy dotrzymają słowa? Może nim wieczór nadejdzie, osądzą, że lepiej nie powtarzać przybyszom dawnych zmyśleń i przesądnych opowieści? Ale tak się nie stało. Po wieczornym posiłku niemłody Wietnamczyk o chłopskiej, jak gdyby ciosanej twarzy i włosach gęsto przyprószonych siwizną spytał za pośrednictwem Khoanga, czy chcę dowiedzieć się, jak powstała mysz i jej wróg, a zarazem przyjaciel człowieka, kot domowy? Czy może raczej wolałabym usłyszeć o niebezpiecznym demonie, który przybierał postać myszy?... Bez namysłu poprosiłam o jedno i drugie.

— Tę opowieść usłyszałem od mojego dziadka — zaczął mój rozmówca. — A on ją słyszał od starców z wcześniejszego pokolenia. Władca niebios miał w swojej siedzibie ogromne spichlerze pełne nieprzebranych bogactw ryżu i innych płodów rolnych, które dawała ziemia. Ponieważ jednak niestety wśród sług niebiańskiego dworu nie brakowało chciwców i złodziei, zapasy te musiały

Groźne myszy i kot opiekun

MONIKA WARNEŃSKA

być stale pilnowane. Władca niebios chciał wyznaczyć spośród dworzan strażnika i głównego opiekuna tych bogactw. Długo rozważał, kto najlepiej mógłby pełnić tę służbę. Wreszcie wybór jego padł na jednego z podwładnych, imieniem Thu Tan. Wydawało się królowi, że ów dworzanin, układny i zawsze skory do niskich pokłonów, będzie troskliwym opiekunem ziarna, owoców i jarzyn; że zadba o to, by dobro zgromadzone w spichlerzach niebiańskich nigdy nie zaznało uszczerbku. Kazał więc wezwać Thu Thana, wręczył mu pęk brzęczących kluczy i oznajmił:

— Mianuję cię od dziś głównym zarządcą moich spichlerzy. Powinny one być zawsze pełne. Tymczasem zakradają się do nich zuchwalcy, podbierając ziarno lub owoce. Twoim zadaniem jest pilnowanie wszystkich drzwi, prowadzących do składów. Zamykaj je osobiście, i sprawuj należycie pieczę nad innymi strażnikami, aby pilnie czuwali dniem i nocą nad wszystkim czego potrzebuje nasz dwór.

Thu Than nie dał poznać po sobie, jak bardzo ucieszyło go postanowienie władcy niebios. Skłoniwszy się przed nim trzykrotnie, rzekł z należną czcią:

— Wola twoja, najdostojniejszy panie, jest dla mnie rozkazem!

Władca niebios omylił się wielce, powierzając Thu Thanowi urząd nadzorcy składów. Ten bowiem jego sługa był zarówno chytry, jak chciwy. Potrafił pochlebstwami wkraść się w łaski pana, pozyskał jego zaufanie. W rzeczywistości zaś począł na własną rękę rządzić wszelkim dobrem, nagromadzonym w spichrzach. Rozdzielał hojne upominki nadskakującym mu innym dworzanom, pozyskiwał darami przychylność możniejszych spośród nich, oczekując w zamian za to z ich strony odwzajemnienia. Czynił to również przedtem, ale zawsze ukradkiem, w ciągłej obawie, żeby go nie przyłapano na gorącym uczynku. Teraz jako dygnitarz, z woli władcy niebios zarządzający składem niebiańskim, miał do nich wstęp o każdej porze dnia i nocy. Jeszcze śmielej korzystał więc z nagromadzonych dóbr — i tak się rozzuchwalił, że kradł co niemiara. Kiedy przekonał się, że w zamian za ryż można mieć srebro i złoto, chciwość jego wzrosła. Byli wśród jego podwładnych strażnicy rzetelni i uczciwi, którzy widzieli, co się święci. Choć czuli lęk przed zwierzchnikiem, który od dawna cieszył się łaskami niebiańskiego władcy, zaczęli szemrać między sobą. Aż wreszcie jeden z nich odważył się potajemnie udać przed oblicze władcy, padł przed nim na klęczki w kornym pokłonie i wyznał, że źle się dzieje w spichrzach, z których ziarna coraz to więcej ubywa.

Władca niebios początkowo nie wierzył tym słowom, przekonany, że je dyktuje zawiść. Ale postanowił sprawdzić je na wszelki wypadek. Okazało się, że istotnie magazyny są rozkradane jeszcze bardziej, niż działo się to niegdyś. Wpadł w gniew — i kazał swojej straży przybocznej natychmiast sprowadzić Thu Thana. Nieuczciwy sługa zjawił się natychmiast — i z trwogą ujrzał srogie oblicze władcy. Z ust jego padły surowe słowa:

— Nikczemny zuchwalcze! Nadużyłeś haniebnie mojego zaufania! Zamiast ukrócić kradzieże w spichrzach z zapasami i dawać innym przykład uczciwości, kradłeś ziarno, ile popadło. Nie chcę cię więcej widzieć w kręgu moich sług i dworzan!

Thu Than widząc, że to nie przelewki, ugiął kolana, prosząc o zmiłowanie. Ale władca niebios był nieubłagany. Uniósł dłoń i rozkazał:

— Za nieuczciwość, za oszukaństwo i kłamstwo utracisz nie tylko miejsce pośród moich sług, lecz także dotychczasową postać. Staniesz się małym, chciwym zwierzątkiem, które uwijając się i kręcąc w pobliżu ludzkich chat, będzie szukać pokarmu. A teraz precz z moich oczu!

Wszyscy zgromadzeni dworzanie ujrzeli, jak Thu Than maleje, jak ręce jego i nogi przekształcają się w łapki zakończone pazurkami, jak wyrasta mu długi ogon, a ciało staje się szare, niby popiół... Przy ostatnich słowach niebiańskiego władcy stworzenie to z głośnym piskiem wyskoczyło poza próg bramy niebiańskiego pałacu, aby już nigdy doń nie wrócić. Tak powstała mysz, zżerająca prawie wszystko, co znalazło się na jej drodze. To, co nie nadawało się do zjedzenia — odzież, papiery, księgi niszczyła ostrymi zębami. Płodziła liczne potomstwo o tych samych właściwościach — i ludzie nie mogli sobie dać rady z chciwymi, nieposkromionymi stworzeniami, których wszędzie było pełno. Podnieśli lament. Wyglądało na to, że wszystko, co stworzył i wypracował człowiek stanie się łupem małych, lecz chciwych wrogów, których z każdym dniem przybywało.

Skargi te usłyszały najpierw duchy opiekuńcze różnych miejsc i okolic, życzliwe ludziom. Zebrały się one i uradziły, że trzeba nie zwlekając zawiadomić władcę niebios o tym, co wyprawiają myszy. Ktoś musiał przedsięwziąć wyprawę do pałacu niebiańskiego. Wybór padł na opiekuna kuchni i posiłków ludzkich. Był nim bóg imieniem Tho Cong. Zgodził się on chętnie na wstawiennictwo u niebiańskiego władcy. Żal mu bowiem było ludzi. Wiedział także, iż bez pomocy nieba sami nie dadzą sobie rady z plagą myszy. Może władca niebios zmieni swoje postanowienie i odwoła Thu Thana, dając mu na swoim dworze jakieś choćby podrzędne stanowisko? Jeśli pozostanie on na ziemi, przy niepohamowanej żarłoczności, jaką objawiał w swoim mysim wcieleniu, ludzie poginą z głodu!

Władca niebios, usłyszawszy o wszystkim potrząsnął głową i oświadczył stanowczo: — Wpuścić tego złodzieja na nowo do mojego królestwa?! Niedoczekanie! Sam zbiedniałbym za jego sprawą do reszty!

Tho Cong, jeden z duchów opiekuńczych najbardziej przychylny człowiekowi, nie zamierzał ustąpić. — Dostojny monarcho! — rzekł. — Jesteś ojcem wszystkiego co żyje, ulituj się więc nad ludźmi. Zechciej pamiętać, że twoje spichrze są niewyczerpane. Nawet jeśli zaznały strat za sprawą niegodziwca Thu Thana, nigdy w nich na długo nie ubędzie zapasów. Natomiast człowiek jest ubogi. Aby mieć ryż na posiłki, musi ciężko pracować. Całymi dniami trudzi się na polach, często w prażącym upale słońca lub pod chłoszczącym go niemiłosiernie deszczem. Nie ma żadnego sposobu, aby skutecznie zabezpieczyć ziarno przed chciwością myszy. I może nadejść taka chwila, że wszyscy ludzie na ziemi wyginą za sprawą tych żarłocznych stworzeń. Uczyń więc coś, o królu, aby temu zapobiec!

Władca niebios ściągnąwszy brwi namyślał się przez chwilę. — Masz rację, synu — przyznał wreszcie. — Mysz nie powinna dłużej bezkarnie buszować po ziemi i plądrować spiżarń ludzkich. Thu Thana nie chcę jednak widzieć na moim dworze w jakiejkolwiek postaci — jest bowiem równie chciwy, jak podstępny i fałszywy. Ale już wiem, co uczynić!

Wezwał do siebie jednego z wiernych sług. Był nim Mieu Than, który Thu Thana nie znosił. Obydwaj kłócili się nieraz i nawzajem skakali sobie do oczu ku niezadowoleniu władcy, który chciał wokół siebie mieć spokój. Mieu Than usłyszał teraz słowa:

— Pójdziesz na ziemię i wszędzie, gdziekolwiek spotkasz mysz, w którą wcielił się twój nieprzyjaciel Thu Than, masz prawo, a nawet co więcej obowiązek atakować ją i niszczyć, aby nie robiła krzywdy ludziom.

Zwróciwszy się do Tho Conga, rozkazał:

— Tobie, jako opiekunowi gospodarstw człowieczych polecam, abyś Mieu Thana wyposażył jak należy. Daj mu silne muskuły, żeby lekko i zwinnie mógł skoczyć na mysz, ilekroć ją wytropi. Daj mu ostre pazury i zęby oraz bystre oczy, aby mógł dostrzec przeciwnika nawet w ciemności.

I tak właśnie powstał wolą władcy niebios, kot, który poprzysiągł walkę myszom. Od tego czasu goni za nimi — i chwyta je zawsze i wszędzie, gdziekolwiek zdoła ich dopaść...

Opowieść dobiegła końca. Padło jak zwykle pytanie: czy nie mam dosyć? Może jestem zanadto zmęczona? Zaprzeczyłam, prosząc o drugą legendę, która okazała się bardziej mroczna i posępna.

c.d.n.

Kronika kulturalna

AKADEMICKI Ośrodek Kultury „Siódemki" ogłasza konkurs literacki o tematyce dowolnej dla młodych twórców, reprezentujących łódzkie środowisko akademickie. Nie publikowane dotąd prace w kategoriach:

— poezji (wiersze, teksty piosenek i inne) — do 5 tekstów w 3 egzemplarzach
— prozy (w tym m.in. opowiadania, eseje, reportaże) — do 10 stron maszynopisu w 3 egzemplarzach

opatrzone godłem należy nadsyłać do dnia 15 października 1983 r. pod adresem: Akademicki Ośrodek Kultury „Siódemki" Łódź, ul. Piotrkowska 77 (tel. 212-99, 337-90) z dopiskiem „Konkurs literacki". Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi do dnia 15 listopada br. Przewidywane są do podziału nagrody w wysokości 30 tys. Organizatorzy przewidują publikację nagrodzonych prac.

KLUB Studentów Wybrzeża „Żak" w Gdańsku po raz dwudziesty czwarty organizuje Ogólnopolski Konkurs Poezji Społecznie Zaangażowanej o nagrodę „Czerwonej Róży". Zasady XXIV konkursu o nagrodę „Czerwonej Róży" pozostają niezmienne — mogą brać w nim udział wszyscy poeci. Na adres organizatorów należy nadesłać zestaw trzech wierszy, w pięciu kopiach maszynopisu opatrzony godłem oraz zaklejoną kopertę zawierającą personalia autora, także opatrzoną godłem. Liczba zestawów jest dowolna. Termin nadsyłania tekstów upływa z dniem 1.XI.1983 r. (decyduje data stempla pocztowego). Prace będzie oceniało jury powołane przez organizatorów, w skład którego wejdą znani poeci i krytycy. Zostaną przyznane nagrody. Poza nagrodami konkursowymi jury rozstrzygnie tradycyjne konkursy: o symboliczne nagrody: „Peleryny" — przyznaną za najlepszy poetycki debiut roku, „Pióra" — za całokształt pracy w dziedzinie poezji (wiek nagrodzonego nie może przekroczyć 35 lat), „Pierścienia" za całokształt twórczości poetyckiej poety młodego pokolenia, „Wiatr od morza" — przyznawaną rokrocznie twórcom młodego pokolenia, którzy wnieśli istotny wkład w rozwój życia kulturalnego, gospodarczego i politycznego, „Pegaza" — za całokształt pracy przekładowej z języków obcych w dziedzinie poezji — tłumaczowi młodego pokolenia i konkursu „Jednego Wiersza", o tematyce „KSW ŻAK — rola klubu w propagowaniu kultury w środowisku studenckim Trójmiasta i Polski". Ogłoszenie wyników konkursu przewidziane jest na dzień 22.XI 1983 r. Siedziba Komitetu Organizacyjnego, na adres którego należy nadsyłać teksty z dopiskiem „Czerwona Róża", oraz miejscem rozstrzygnięcia konkursu jest Klub Studentów Wybrzeża „ŻAK" 80-827 Gdańsk, ul. Długa 57.

WYCHODZĄC naprzeciw licznym postulatom zarówno sympatyków jak i wykonawców muzyki rege Zrzeszenie Studentów Polskich, CKS UW „Hybrydy" oraz ARKIS ALMA'ART w dniach 5—7 października br. organizuje I Grand Festival „Róbrege". Chcąc pozostać wiernymi tradycjom i charakterowi tego kierunku I festiwal odbędzie się pod hasłem „Nigdy więcej wojny", motto przewodnie zaczerpnięte zostało z utworu zespołu ISSIAEL — „na wschodzie wojna, na zachodzie wojna, brat zabija brata". W ramach festiwalu wystąpią najlepsi przedstawiciele muzyki rege w Polsce, a więc: **T. Love, Casus, Święta racja, ISSIAEL, C.O.O.X, Bakszysz, Daab, Salut, Śmierć Klinieczna.** Występy uzupełnią projekcje video m.in.: **Bob Marley, Peter Tosch, Burning Spear.** Wszystkie koncerty odbędą się w sali klubu „Hybrydy" przy Kniewskiego 7/9.

Pamięć

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

Jest w Łodzi, w dzielnicy Bałuty, ulica Smugowa. Przy tej ulicy pod numerem szóstym znajduje się stary jednopiętrowy budynek mieszkalny. W budynku tym — jak opowiadali najstarsi mieszkańcy ulicy Smugowej — mieściła się w latach poprzedzających wybuch I wojny światowej kilkuklasowa szkoła podstawowa, której kierownikiem była matka prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego — Jadwiga. Inni twierdzili także, że właśnie w tym czasie, kiedy pani Jadwiga Starzyńska przebywała w Łodzi i uczyła w szkole przy ulicy Smugowej, częstym gościem w naszym mieście był jej syn Stefan. Ale wszystko to trudne było do sprawdzenia.

Mówiono również, że w Łodzi żyją jeszcze byli uczniowie Jadwigi Starzyńskiej. Ale jak się nazywali, co teraz robią i gdzie mieszkają — tego nie wiedziano.

Po wielu poszukiwaniach trafiłem na ślad jednej z uczennic pani Jadwigi Starzyńskiej. Była nią mieszkająca na Bałutach przy ulicy Kalinowej 23, emerytowana nauczycielka, wieloletnia kierowniczka szkoły podstawowej w tej dzielnicy przy ulicy Sędziowskiej, Kazimiera Sobczak.

Od tej chwili nie dawałem spokoju pani Kazimierze. Kilkakrotne moje rozmowy potwierdziły fakt nie tylko pobytu pani Jadwigi Starzyńskiej w Łodzi, ale także częste przyjazdy i odwiedziny jej syna Stefana w naszym mieście.

W pewną pogodną niedzielę odwiedziłem panią Kazimierę Sobczakową w jej mieszkaniu. Kilkugodzinna rozmowa przyniosła wiele interesujących szczegółów, dotyczących pobytu państwa Starzyńskich w Łodzi.

— Jako dziecko w latach 1910—1914 — zaczęła swoją opowieść pani Kazimiera — uczęszczałam do IV klasy szkoły powszechnej z językiem rosyjskim wykładowym. Pani Jadwiga była kierowniczką tej szkoły, a równocześnie moją wychowawczynią w klasie IV.

— Czy pani wiadomo, skąd pochodziła Jadwiga Starzyńska?

— O ile mi wiadomo Starzyńscy początkowo przebywali w Warszawie. Stanowili zubożałą rodzinę szlachecką, którą ciężkie warunki materialne zmusiły do pracy zarobkowej. Jadwiga jako nauczycielka, udzielała lekcji prywatnie, zaś mąż jej Alfons pracował jako skromny urzędnik. Tu — w Warszawie przyszli na świat trzej synowie Starzyńskich: Mieczysław, Roman i najmłodszy Stefan. W jakiś czas później ze względu na ciągle pogarszające się warunki materialne i kalectwo pana Starzyńskiego (w związku z chorobą uszu ogłuchł zupełnie), pani Jadwiga wraz z rodziną przeniosła się do Łowicza. Tu syn Stefan rozpoczął swoją edukację i działalność w konspiracyjnym ruchu młodzieżowym. W 1905 r. brał udział w strajku szkolnym. Potem wyjechał do Warszawy, gdzie w latach 1907—1911 uczęszczał do gimnazjum E. Konopczyńskiego i wstąpił do konspiracyjnego Związku Młodzieży Postępowo-Niepodległościowej, tak zwanej Filarecji, znajdującej się pod wpływem Polskiej Partii Socjalistycznej. Za działalność w tym związku był trzykrotnie aresztowany przez policję carską. Po ukończeniu gimnazjum studiował ekonomię. Brał udział w pierwszej wojnie światowej.

— Czy pani Starzyńska jako nauczycielka w Łodzi wspominała o swoim pobycie w Łowiczu?

— Tak. Pamiętam, kiedy byliśmy w czwartym oddziale, zabrała nas na wycieczkę do Łowicza. W mieście bardzo pracowicie spędziła z nami dzień. Chodziła z nami po domach, pokazywała i objaśniała stroje i wycinanki łowickie, rozmawiała z gospodarzami wsi okolicznych. Widzieliśmy, jak z wielkim szacunkiem odnosiła się do wszystkiego, co było związane z ziemią łowicką.

— W którym roku Jadwiga Starzyńska przeniosła się na stały pobyt do Łodzi?

— Około 1910 r., to jest w tym czasie, kiedy otwarto nową 4-klasową szkołę pod jej kierownictwem.

— Czy była również wykładowcą jakichś przedmiotów w szkole?

— Tak. Uczyła języka polskiego i historii.

— Jak wyglądała pani Starzyńska w owych czasach? Jak ubierała się?

— Przy Alei I Dywizji, w szkole 92, wisi na piętrze portret patronki szkoły. Gdyby ktoś zechciał potrudzić się do tej szkoły i popatrzeć na portret, to po maleńkiej zmianie rysów twarzy, można by mniemać, iż jest to podobizna właśnie pani Starzyńskiej. Nosiła jak dawne matrony polskie długą powłóczystą suknię i kołnierz pod szyją zapięty koronką. Z jej twarzy biła zawsze powaga i spokój. To był wybitnie typ kobiety-Polki, patriotki. O patriotyzmie najlepiej chyba świadczyły jej lekcje z historii i z języka polskiego. W warunkach nielegalnej nauki, potrafiła jak nikt inny uczyć nas tych przedmiotów, wpajała w nas miłość i przywiązanie do ojczyzny. Ponieważ to było w czasie zaborów, nasze lekcje historii i języka ojczystego odbywały się w sposób zakonspirowany. W klasie, gdzieś w miejscu wiadomym tylko pani Jadwidze i woźnemu szkolnemu, który urzędował na parterze szkoły, był umieszczony w ukryciu dzwonek szkolny. Gdy ktoś z władz oświatowych wchodził do szkoły, woźny dzwonkiem dawał znać o tym klasie. Wówczas z ławek szkolnych w szybkim tempie znikały podręczniki polskie. Chowaliśmy je do pieca lub pod podium katedry. Znikał również ze ściany haftowany przeze mnie i koleżankę Marysię Lewandowską „Kosynier racławicki". Na ławkach pojawiały się podręczniki języka rosyjskiego bądź historii, bądź też geografii Rosji. Jedna koleżanka stawała przy mapie Rosji i lekcja toczyła się jak najnormalniej. Do klasy wchodził pan inspektor, umundurowany, w epoletach, postać bardzo reprezentatywna. Witał się bardzo szarmancko z panią Starzyńską i przysłuchiwał się lekcji. Czasem był na jednej, a czasem na dwóch lekcjach. To mu zupełnie wystarczało, aby ocenić wartość pracy dydaktyczno-wychowawczej kierownika, a zarazem wykładowcy szkoły. Że lekcje bardzo mu się podobały, świadczyło jego zachowanie wobec pani Starzyńskiej. Całował ją w rękę i w wylewnych słowach dziękował za tak wspaniałe wychowywanie i kształcenie dzieci polskich w duchu jego cesarskiej mości.

— Jak pani scharakteryzowałaby Jadwigę Starzyńską z tego okresu, jako człowieka, jej stosunek do uczniów, do mieszkańców Bałut?

— Dzielnica Bałuty w owym czasie była wybitnie robotniczą. W domach, gdzie mieszkali robotnicy, gnieździł się wieczny brud, panowała nędza. Młodzież i dzieci wychowywały się w wielkim niedostatku i biedzie. Pani Starzyńska interesowała się właśnie warunkami bytowymi rodziców swoich uczniów i uczennic. Dostrzegała każde dziecko i każdemu starała się w jakiś sposób dopomóc. Nie tylko dziecku, ale i jego rodzicom. Służyła nie tylko radą, ale także i pomocą. Wielu mieszkańcom Bałut, o ile mnie pamięć nie zawodzi, wystarała się o miejsca pracy w instytucjach lub w fabrykach. Skąd brały się te jej możliwości w załatwianiu tego rodzaju spraw? Niewątpliwie z utrzymywania szerokich kontaktów z instytucjami, organizacjami, zakładami pracy, a nawet z placówkami oświatowymi miasta Łodzi. Świadczy o tym następujący fakt: Kiedy z Marysią Lewandowską ukończyłam szkołę przy ulicy Smugowej, Jadwiga Starzyńska zgłosiła nas jako swoje najlepsze uczennice do elitarnego wówczas gimnazjum przy ulicy Mikołajewskiej, obecnie Sienkiewicza. Do tego gimnazjum uczęszczały dzieci tylko najbogatszych rodziców, przeważnie z domów fabrykantów, przemysłowców, oficerów. Przyjęto nas od razu do klasy drugiej.

— Czy syn pani Starzyńskiej — Stefan, późniejszy prezydent Warszawy, odwiedzał swoją matkę w Łodzi? Czy pani spotykała się z nim, rozmawiała?

— Pani Starzyńska często chorowała i wtedy w jej zastępstwie przychodzili do naszej klasy na wykłady jej synowie: Mieczysław, Roman, a nieraz i najbardziej ulubiony, najmłodszy jej syn Stefan, o ile przebywał w Łodzi. Był bardzo przystojny, średniego wzrostu, dosyć korpulentny. Miał blond włosy i cerę białą z lekka zaróżowioną. Zawsze był uśmiechnięty, pogodny. Siedział przy katedrze i przekazywał nam nowy temat z lekcji historii. Lekcje prowadził tak interesująco i przekonywająco, że słuchaliśmy ich zawsze z zapartym oddechem.

— Jak długo przebywała pani Starzyńska w Łodzi?

— Około 10 lat. Później wyjechała do Warszawy i tam wkrótce zmarła. Została pochowana na Powązkach.

— Czy Stefan Starzyński przebywał w Łodzi razem z matką?

— Przed wybuchem I wojny światowej widzieliśmy go dość często razem z matką. Starzyńscy mieszkali wtedy przez pewien czas przy ulicy Smugowej, a potem przenieśli się na ulicę Gdańską. Razem z nią mieszkał także jej mąż, Alfons. Nie pracował już, był kaleką, cierpiał na zupełny zanik słuchu. Często, gdy przychodziliśmy do naszej wychowawczyni, zastawaliśmy go grającego na fortepianie. W okresie pierwszej wojny światowej Stefan rzadko kiedy odwiedzał rodziców. Dopiero po zakończeniu wojny częściej wpadał do Łodzi. Gdzieś po 1920 r. zabrał matkę i ojca na stały pobyt do Warszawy, gdzie pełnił odpowiedzialne funkcje wiceministra skarbu i wiceprezydenta Banku Gospodarczego Krajowego, a w ostatnich latach przed wybuchem drugiej wojny światowej był prezydentem stolicy.

Moja rozmówczyni zamilkła przez chwilę. Jakby zastanawiała się nad dalszym ciągiem swoich wspomnień.

— Pamiętam dobrze Stefana Starzyńskiego — kontynuowała swą opowieść — z okresu wojny, z 1939 r., kiedy hitlerowcy napadli na Polskę. Wtedy moje radio było bez przerwy otwarte. Z rozpaczą i ze wzruszeniem słuchałam przemówień prezydenta Warszawy. Wzywał cały naród, wszystkich obywateli do obrony państwa, do obrony stolicy. Pamiętam, mówili mi ludzie zresztą, którzy przybywali do Warszawy, że kobiety wiejskie do radia, w którym Stefan Starzyński przemawiał, przynosiły mu miód i mleko, bo z nawoływania dostawał chrypkę. Prezydent mógł wyjechać z kraju, podobnie jak wszyscy inni z władz najwyższych. Ale on nie uląkł się najazdu hitlerowskiego, pozostał w stolicy, by podtrzymać na duchu jej obrońców w walce z wrogiem. On to — gdy w ciągu paru dni załamał się system obrony militarnej państwa, zorganizował samoobronę stolicy, nawołując przez radio cały naród polski do oporu przeciwko najeźdźcy. Jedno z takich ostatnich przemówień pamiętam do dnia dzisiejszego. Utrwaliłam je na piśmie, przepisując z prasy.

„Gdy teraz do was mówię, — wołał Starzyński do mieszkańców stolicy — widzę Warszawę w całej wielkości, chwale, otoczoną kłębami dymu, rozczerwienioną płomieniami ognia, wspaniałą, wielką, walczącą Warszawę. I choć tam, gdzie miały być wspaniałe sierocińce, gruzy leżą, gdzie miały być parki, są barykady gęsto trupami pokryte, choć płoną nasze biblioteki, choć płoną nasze szpitale, nie za lat 50, nie za 100, lecz dziś Warszawa, broniąc honoru Polski, jest u szczytu swej wielkości i sławy".

— Czy są znane pani dalsze losy Starzyńskiego?

— Po kapitulacji Warszawy, prezydent Starzyński został aresztowany w październiku 1939 r., i wywieziony do obozu koncentracyjnego w Dachau. Tam według wszelkiego prawdopodobieństwa torturowany został rozstrzelany przez gestapo we wrześniu 1943 r.

— Stefan Starzyński przez bohaterską obronę stolicy — kończyła swą opowieść pani Kazimiera Sobczakowa — zrósł się z jej dziejami i wszedł na trwałe do historii naszego kraju. Ale jest on również bliski naszemu miastu. Często odwiedzał matkę-nauczycielkę w Łodzi. Uczył w jej zastępstwie w szkole przy ulicy Smugowej 6 miłości ojczyzny, wpajał w młodzież umiłowanie języka ojczystego i dziejów naszego narodu. Jadwiga Starzyńska i jej syn Stefan zasługują na to, aby ich nazwiskami ochrzczono obecną ulicę Smugową.

W trakcie pisania niniejszej publikacji dowiedziałem się, iż pani Kazimiera Sobczak w kilka miesięcy po naszej rozmowie zmarła.

JESZCZE W SPRAWIE ZAGADKI LOTU RUDOLFA HESSA DO ANGLII

Czy zrobił to wywiad brytyjski?

Do zamieszczonych ostatnio w „Odgłosach" artykułów L. Wiodkowskiego pt. „Zagadka lotu Rudolfa Hessa do Anglii" pragnąłbym dorzucić kilka szczegółów.

I

Są trzy wersje dotyczące misji zastępcy A. Hitlera, R. Hessa do Anglii.

Według pierwszej Hess odbył lot do Wielkiej Brytanii z własnej inicjatywy, bez wiedzy führera. Potwierdza to m.in. historyk brytyjski Alan Bullock, pisząc w studium o „Hitlerze" (wydanie polskie — Warszawa, 1969), iż *„Hess działał z własnej inicjatywy i ze swoich zamiarów nie zwierzył się nikomu, nawet żonie"*.

Bardziej prawdopodobną była druga wersja lotu R. Hessa, odbytego za wiedzą i na polecenie Hitlera.

Trzecią żywo komentowaną w Wielkiej Brytanii wersję lotu R. Hessa do Anglii, przypisuje się głównie wywiadowi brytyjskiemu. Tak twierdzi Richard Deacon w swej książce pt. „A History of the British Secret Service" (Londyn 1969). Wywiad brytyjski — jak twierdzi autor — dla zapobieżenia inwazji niemieckiej na Anglię — za pośrednictwem swoich agentów rozpowszechnił wśród wpływowych kół hitlerowskich wersję o gotowości Londynu do zawarcia pokoju z Niemcami, o ile Hitler wystąpi przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Jako najbardziej odpowiadającego do pertraktacji w tej sprawie Secret Service widział zastępcę Hitlera Rudolfa Hessa. Wiedział też, że łączą go bliskie stosunki z niektórymi osobistościami Wielkiej Brytanii, zwłaszcza z księciem Douglasem Hamiltonem, oficerem lotnictwa brytyjskiego RAF-u i znajomym Hessa z 1936 r. Secret Service postanowił więc sprowadzić zastępcę Hitlera do Anglii. W jaki sposób? Znając zamiłowanie Hessa do astrologii i okultyzmu, w czasie jego pobytu w Szwajcarii podsunął zręcznie Niemcowi jednego agenta, występującego w roli astrologa. Ten z kolei wyłożył zastępcy führera horoskop, przepowiadający jego wyjazd do obcego państwa i to w niezwykle ważnej misji. Hess uwierzył w swą szczęśliwą gwiazdę i postanowił wyjechać do Anglii.

Czy wersja ta odpowiada prawdzie?

Wywiad brytyjski niejednokrotnie ingerował w poważne sprawy polityczne swego kraju. Tak było na przykład ze znanym pułkownikiem Thomasem Lawrencem, który jako agent Intelligence Service zorganizował w 1916 r. powstanie Arabów przeciwko Turcji i przyczynił się do osadzenia na tronie Syrii w 1920 r. sprzyjającego Wielkiej Brytanii emira Fajsala.

Wersja R. Deacona, przypisująca lot R. Hessa do Anglii głównie wywiadowi brytyjskiemu jest mało prawdopodobna. Akcja wywiadu — jak twierdzi zresztą sam autor książki — nie była znana rządowi brytyjskiemu. Secret Service działał na własną rękę bez wiedzy premiera W. Churchilla. Nie znalazła ona potwierdzenia u wybitnych znawców hitleryzmu, jak A. Bullock, R. Kempner, G. M. Gilbert, F. Thyssen i wielu innych.

Z tych trzech wersji najbardziej prawdopodobną wydaje się druga, mówiąca o locie R. Hessa za wiedzą i na polecenie A. Hitlera.

II

Zgodnie z zarządzeniem W. Churchilla, R. Hessa jako jeńca wojennego osadzono najpierw na bardzo krótki okres w więzieniu Tower w Londynie, a później przeniesiono go do willi pod Aldershot, a stąd do szpitala w Walii.

Warunki, w jakich Hess odbywał odosobnienie, były godne pozazdroszczenia. Wolno mu było odbywać wycieczki w okolice pieszo lub samochodem. Miał do dyspozycji książki i pisma w różnych językach. Dla rozrywki uczył się malarstwa.

Dowodem idealnych warunków w więzieniu są liczne listy Hessa, wysyłane pod adresem żony do Niemiec. Opisuje w nich bardzo dokładnie swoje wrażenia i przeżycia. Oto fragmenty niektórych listów:

„Natychmiast po odwiedzinach księcia Hamiltona zarządził on umieszczenie mnie w szpitalu położonym pół godziny jazdy autem poza miastem z cudownym widokiem na mieniące się ustawicznie w barwach pagórki i góry szkockiego krajobrazu. Po 14 dniach przewieziono mnie w wagonie sypialnym do Londynu, gdzie zostałem najpierw umieszczony w mieszkaniu oficerskim koszar gwardii (...). Domek i część urządzenia pochodzą z XVII wieku, cudowne. Z okna mogłem codziennie oglądać ćwiczenia starej angielskiej gwardii, tak podobne do pruskiego drylu.

Później przewieziono mnie wozem sanitarnym do pewnej willi położonej w Mytchett-Place niedaleko Aldershot. Miała mi ona służyć za mieszkanie przez cały rok. Ciężkie, pachnące glicynie otaczały dom i potężny, wspaniały rododendron właśnie rozkwitał i mienił się wszystkimi kolorami. I gdyby nie to właśnie, że miałem świadomość, iż znajduję się w więzieniu, istniały wszelkie podstawy ku temu, by czuć się szczęśliwym. Pokój jadalny i salon muzyczny wychodziły, podobnie jak u nas w domu, wprost na taras do parku. Komendant, z zawodu artysta-malarz, prawdziwa natura artystyczna, grywał przeważnie i delikatnie Mozarta. Noce letnie, ciepłe, cudne i ciche.

Z końcem roku 1942 przewieziono mnie autem do szpitala w Abergavenny w Walii. 50 km na północ od Cardiffu. O swoistej piękności tej okolicy pisałem ci już stamtąd. Lekarze, którzy mną się opiekowali, byli wyjątkowo mili i prowadziłem z nimi długie i pouczające rozmowy. Stamtąd odbywałem dłuższe i krótsze wycieczki w okolice, często samochodem. Oglądałem niedaleko stamtąd położone White Castle, dobrze utrzymany zamek z pięcioma potężnymi basztami i murem obronnym z początku XI czy XII wieku. Właśnie tak, jako młody chłopak wyobrażałem sobie zamek Raubrittera. Kilkakrotnie odbywałem piękną wycieczkę do ruin klasztoru Llandony, którego nawa częściowo jeszcze stoi (..).

Ludzie, których spotykałem w czasie mych wędrówek, odnosili się do mnie, poza nielicznymi wyjątkami, poprawnie. Książki które mi wysyłałaś, otrzymuję (...).

Na moją prośbę książę Hamilton przechowuje dla mnie część szczątków mojego rozbitego Messerschmitta 110. Leciałem nim do Anglii wraz ze spadochronem, który uratował mi życie. Mam niepłonną nadzieję, że nadejdzie kiedyś ten czas (dass zu gegebener Zeit) i ujrzę jeszcze te pamiątki nierozwagi, która nam tak często przynosi pożytek (...). Do mojej lektury należały pełne humoru listy humorysty i wesołego filozofa Wilhelma Buscha (...)".

W listach do żony, Hess skarżył się nieraz na zbyt długotrwałą wędrówkę listów przesyłanych z Niemiec:

„Niestety — pisał — listy przychodzą z kilkumiesięcznym opóźnieniem. Poczta wasza, ku memu zdziwieniu, widocznie leży zbyt długo w biurach Czerwonego Krzyża w Genewie. Władze angielskie interweniowały w Szwajcarii. Poseł szwajcarski w Anglii, zresztą — jak ci już pisałem — opiekuje się mną w sposób wzruszający. Nie tylko odwiedzał mnie wówczas, gdy przebywałem niedaleko Londynu, ale odbył też długą i nużącą podróż do Abergavenny w Walii. Spożyliśmy razem obiad i do późnego wieczora prowadziliśmy bardzo ciekawą rozmowę. Pewnego razu przywiózł mi przybory do malowania. Ale malowanie akwarelowe nie jest takie proste, jak mi się to wydawało. Na szczęście, sprowadzono dla mnie pracę „Painting with Water Colorus" („Jak malować akwarelą"), co umożliwiło mi zapoznanie się z tą techniką".

Tak żyło się „jeńcowi" — zbrodniarzowi hitlerowskiemu w więzieniach angielskich.

III

Podobnie jak w Anglii sielsko-anielski żywot prowadził i prowadzi nadal R. Hess w więzieniu w Spandau. Oto co pisze na ten temat do rodziny i znajomych:

W liście do żony Ilsy z 12 lutego 1950 r.:

„Właśnie słyszałem grającego Funka; wygrywa na fortepianie lub harmonii dzieła starych mistrzów (...). Kilka dni temu czytałem właśnie piękną książkę o Beethovenie (...). Nie wiedziałem, że Funk jako młody człowiek był pianistą i odbywał tournee artystyczne. Że właśnie coś takiego zostaje ministrem gospodarki za Hitlera. Po swych preludiach na organach w kaplicy więziennej przechodzi często na melodie ludowe, a ostatnio usiłował wygrać starą piosenkę kabaretową, którą mu zanuciłem (...). Właśnie zabrzmiały tony „Parsivala", wyczarowane przez Funklusa na harmonii (...)".

W innym liście z 4 czerwca 1950 r. pisze:

„Dziś święciliśmy w więzieniu złote wesele Neuratha. W czasie uroczystości Funk zagrał na organach wszystkie stare piosenki kabaretowe. Zabawiliśmy się do późnego wieczora, opowiadając sobie dawne przeżycia (...)".

Dziś R. Hess jest jedynym więźniem w Spandau. Opiekują się nim: 20 dozorców, kelnerki, sprzątaczki, lekarz, duchowny. A oto jak przedstwia się rozkład dnia Rudolfa Hessa: „godzina 6.45 gimnastyka poranna, 7.45 obfite śniadanie, 10.30 spacer po ogrodzie, 11.30 rewizja osobista, 11.45 obfity obiad, 13.30 pół godziny drzemki, 14.30 spacer po ogrodzie, 17.00 kolacja, 17.45 lektura w celi przerobionej na bibliotekę, 22.00 koniec dnia..."

Tak odbywa swą karę zbrodniarz hitlerowski Rudolf Hess, jedyny więzień w twierdzy Spandau, liczącej 600 cel więziennych, którego dniem i nocą strzeże 44 żołnierzy uzbrojonych w pistolety maszynowe i granaty z gazem łzawiącym, i na którego utrzymanie w więzieniu wydaje się 10 milionów marek niemieckich rocznie.

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

PS. Listy R. Hessa ukazały się drukiem w NRF w 1953 r., wydane przez Ilsę Hess pt. „England-Nurnberg-Spandau Ein Schicksal in Briefen". Częściowo opublikowała w tłumaczeniu polskim Barbara Szymczak na łamach „Tygodnika Powszechnego" w 1954 r.

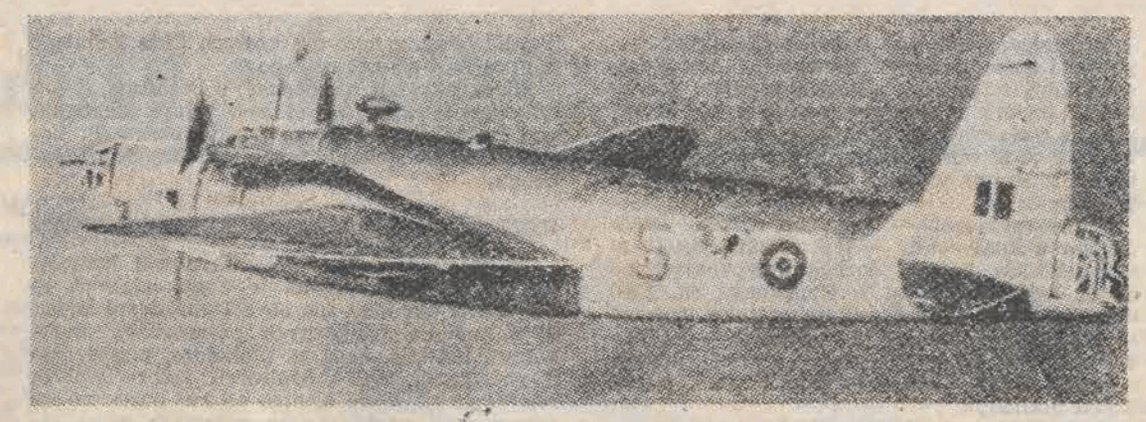

„Wellington" Mk 304 dywizjonu bombowego w służbie Lotnictwa Obrony Wybrzeża, lecący na patrol atlantycki

304 contra piraci Atlantyku

ZBIGNIEW JAN CHOJNACKI

Jeszcze nie umilkły echa barbarzyńskiej napaści wojsk hitlerowskich na Polskę 1 września 1939 roku, a świat obiegła wstrząsająca wiadomość o storpedowaniu i zatopieniu w dniu 3 września brytyjskiego statku „ATHENIA", z tysiącem stu cywilnych pasażerów na pokładzie. Dokonał tego niemiecki U-boot 30 (Unterseeboot — okręt podwodny), dowodzony przez kpt. Lempa. W pierwszym tygodniu wojny, piracki U-booty zatopiły jedenaście brytyjskich statków handlowych, a 17 września nawet lotniskowiec angielski „COURAGEOUS". Taki był początek najdłuższej i najkrwawszej bitwy drugiej wojny światowej, mającej trwać pięć lat i osiem miesięcy — Bitwy o Atlantyk. Do końca 1939 roku niemieckie okręty podwodne zatopiły aż sto czternaście brytyjskich statków i okrętów o łącznym tonażu 421.156 BRT. Przez długi czas Niemcy mieli znaczną przewagę na morzu.

Zajęcie przez Niemców Norwegii i prawie wszystkich krajów zachodniej Europy, znacznie zbliżyło ich do Atlantyku. Opanowali całe wybrzeże oceanu od północy po Hiszpanię. Oprócz silnego lotnictwa wprowadzili do tej bitwy wszystkie dostępne im środki walki. Zaskoczyli Anglików nieznanymi im dotychczas minami magnetycznymi i akustycznymi, zrzucanymi do morza, wysyłali na wody oceanu pancerniki, krążowniki, setki okrętów podwodnych oraz okręty „korsarskie", zmuszające swoją działalnością do rozproszenia floty brytyjskiej po wszystkich morzach. Statki i okręty brytyjskie płynące kanałem La Manche były ostrzeliwane dalekosiężnymi działami. Z portów zachodniej Europy, a szczególnie z portów położonych nad Zatoką Biskajską, stadami wypływały niemieckie U-booty, zatapiając nie tylko pojedyncze statki handlowe aliantów, ale całe konwoje alianckie, a nawet okręty wojenne osłaniające te konwoje. Niemal bezkarnie grasujące okręty podwodne zatapiały aliantom statki i okręty o tonażu ponad pół miliona BRT miesięcznie, co trzykrotnie przewyższało możliwości produkcyjne stoczni brytyjskich i amerykańskich. Te olbrzymie straty aliantów spowodowały dramatyczną naradę w admiralicji brytyjskiej, na której postanowiono zaangażować lotnictwo do Bitwy o Atlantyk.

Nieliczne wtedy jeszcze samoloty brytyjskie wystartowały z lotnisk, patrolując wody oceanu od Bieguna Północnego po równik, od zachodnich brzegów Europy i Afryki po wschodnie wybrzeża Ameryki Północnej i Południowej, pokrywając siecią patroli niemal cały akwen Atlantyku. Samotnie atakowały zgrupowania niemieckich okrętów podwodnych, mieszając im szyki i zmuszając je do zanurzania się, lecz załogi tych maszyn często ginęły w nierównej walce z przeważającym przeciwnikiem. Mimo to lotnictwo odnosiło pewne sukcesy w bitwie, co zafascynowało admiralicję i naczelne dowództwo wojsk Sprzymierzonych. Zwerbowano do bitwy atlantyckiej liczne dywizjony bombowe i myśliwskie, a niektóre statki płynące w konwojach wyposażono w samoloty wyrzucane z katapult, które miały stanowić doraźną obronę powietrzną konwojów.

W połowie 1942 roku bitwa o Atlantyk weszła w najdramatyczniejszy okres. Błyskawiczne akcje niemieckich U-bootów, atakujących i zatapiających alianckie statki handlowe i okręty wojenne, sprawiały niemało kłopotu flocie Sprzymierzonych, która była już bezradna. Koszmar tej bitwy spotęgowało pojawienie się nad Atlantykiem hitlerowskich czterosilnikowych samolotów rozpoznawczo-bombowych: Focke-Wulf FW-200 „Condor" i „Kurier" — okładających bombami alianckie konwoje morskie i pojedyncze statki oraz informujących swoje dowództwo o ruchach konwojów Sprzymierzonych. Luftwaffe opanowała przestworza nad oceanem od Norwegii po Hiszpanię.

W tym właśnie okresie — 14 maja 1942 r. — polski dywizjon bombowy 304 Ziemi Śląskiej odszedł z Bomber Command (Lotnictwa Bombowego) do Coastal Command (Lotnictwa Obrony Wybrzeża). Sformowany 22 sierpnia 1940 roku, od kwietnia 1941 roku wykonał liczne loty bojowe na bombardowanie: Rotterdamu, Hamburga, Osnabrück, Frankfurtu nad Menem, Mennheimu, Düsseldorfu, Bielefeldu, Kolonii, Norymbergi, Dunkierki i innych celów, ponosząc najdotkliwsze straty z wszystkich czterech polskich dywizjonów bombowych. Postanowiono więc przenieść ten dywizjon do Lotnictwa Obrony Wybrzeża, gdzie rzekomo loty były bezpieczniejsze.

Dywizjony Lotnictwa Obrony Wybrzeża stacjonowały przeważnie na odludnych lotniskach, a lotnicy kwaterowali w bardzo prymitywnych warunkach. Wykonywali dalekie loty patrolowe w różnych warunkach atmosferycznych: we mgle, deszczu i burzy, w dokuczliwym słońcu i przy mroźnych szkwałach, gdyż i przy takiej pogodzie płynęły morskie konwoje alianckie, które należało osłaniać przed atakami hitlerowskich U-bootów oraz lotnictwa Luftwaffe. Do obowiązków lotników tych dywizjonów należało obserwowanie z powietrza przemieszczania się floty handlowej i wojennej własnej i nieprzyjacielskiej, loty na bombardowanie portów i urządzeń portowych nieprzyjaciela, poszukiwanie i ratowanie własnych załóg zaginionych na morzu oraz wiele innych czynności.

Toteż dywizjon 304 skierowano na odległe lotnisko Tiree, położone na całkowitym pustkowiu małej wysepki o tej samej nazwie, usytuowanej na Wewnętrznych Hebrydach, opodal północno-zachodnich brzegów Szkocji. Fatalny klimat — nieustanne ulewne deszcze i niezwykle silne wiatry z kierunków niemożliwych do ustalenia — był dla naszych lotników bardzo uciążliwy, pomijając trudne warunki bytowe załóg, mieszkających w blaszanych barakach, zwanych ironicznie „beczkami śmiechu". Mimo tych wszystkich trudności lotnicy 304 dywizjonu przystąpili natychmiast do szkolenia w nowych zadaniach, po którym rozpoczęli dalekie loty patrolowe nad oceanem.

Lotnicy dywizjonu śląskiego prawie rok męczyli się na starych, wysłużonych „Wellingtonach" Mk. IC, przerobionych w warsztatach do nowych zadań, lecz podniszczonych dziesiątkami lotów bojowych w Bomber Command, z których wielokrotnie powracały z poważnymi uszkodzeniami konstrukcji i nie zapewniały teraz załogom ani bezpieczeństwa, ani wygody. Mimo to Polacy latali z poświęceniem, dokonując niewiarygodnych wyczynów. Już w czasie lotów ćwiczebnych załoga por. pil. Jerzego Nowickiego odniosła pierwszy sukces w dywizjonie, wykrywając, atakując i uszkadzając niemieckiego U-boota. Zaś załoga mjr. obs. Stanisława Poziomka, jako pierwsza wykonała lot bojowy na patrolowanie Atlantyku, 18 maja 1942 roku.

Załogi dywizjonu wielokrotnie latały nad oceanem, wykrywając i atakując niemieckie okręty podwodne, ale nie zawsze dopisywało im szczęście. Poza tym wszyscy lotnicy dywizjonu śląskiego zdawali sobie doskonale sprawę, że jedynym ratunkiem przed grobem w morzu jest łódka gumowa, tzw. „dinghy", której użycie oznaczało wielogodzinne, a często i kilkudniowe błąkanie się po morzu, bez snu, pożywienia i wody do picia. Doświadczyła tego po raz pierwszy załoga „Wellingtona" kpt. obs. Wacława Waltera, której I pilotem był sierż. E. Joński, II pilotem — sier. Matjaszek, radiotelegrafistą — sierż. Gemsa, a strzelcami pokładowymi — sierżanci: M. Piekarski i L. Jabłoński. Zdarzyło się to 31 maja 1942 r. o godzinie 15.00, podczas patrolowania Atlantyku, około pięćset kilometrów od Wysp Hebrydzkich. Awaria silników zmusiła załogę do wodowania na morzu. Lotnikom udało się przejść z tonącego samolotu do dinghy. Przez wiele godzin rozbitkowie kolysali się na wzburzonych falach oceanu, ledwie utrzymując równowagę w rozhuśtanej gumowej łódce. Dowódca dywizjonu zaniepokojony długotrwałym oczekiwaniem na powrót załogi do bazy, wszczął poszukiwania, wysyłając dwa „Wellingtony". W akcji ratowniczej uczestniczył również dywizjon brytyjski 224, stacjonujący na tym samym lotnisku. Przed wieczorem nad rozbitkami, dającymi rozpaczliwe sygnały pochodniami, przeleciał samolot, lecz nie zauważył pływających w dinghy lotników. Rozszalałe morze podrzucało łódką ratunkową, jak łupinką, a znajdujący się w niej lotnicy głodni, zziębnięci, bez nadziei ratunku, byli już wyczerpani do ostateczności. Zapadała noc, potęgująca grozę sytuacji rozbitków. Nagle usłyszeli zbliżający się pomruk silników „Wellingtona". Zapalili ostatnią pochodnię, wzywając ratunku. Załoga samolotu dostrzegła rozpaczliwe sygnały. Pilot zatoczył krąg, ustalając pozycję rozbitków, po czym „Wellington" odleciał celem sprowadzenia pomocy. Po kilku godzinach do rozkołysanej na falach dinghy podpłynął brytyjski okręt H.M.S. „BODICEA" i przejął polskich lotników na pokład. Uratowani!

Po miesięcznym pobycie na wysepce Tiree, dywizjon 304 zmienił lotnisko. Został przeniesiony na lotnisko Dale, położone nad Zatoką Milford, w południowej Walii. Znacznie poprawiły się warunki bytowe załóg, lepsze były też warunki lotne, ale nastał okres wzmożonych lotów patrolowych nad Zatokę Biskajską oraz wielogodzinnych lotów w osłonie własnych konwojów. Najbardziej wyczerpały lotników polskich lipiec i sierpień 1942 r., wypełnione wielokrotnymi lotami i wykrywaniem oraz atakowaniem nieprzyjacielskich U-bootów. Loty stawały się coraz bardziej niebezpieczne, ponieważ nad Atlantykiem coraz częściej pojawiały się niemieckie myśliwce Luftwaffe — dwusilnikowe Junkersy Ju-88 i Messerschmitty Me-110, mające nad „Wellingtonami" znaczną przewagę w szybkości, zwrotności i uzbrojeniu pokładowym.

Nieustanne, wyczerpujące patrolowanie oceanu nie zawsze dawało oczekiwane efekty. Trudno było wytropić nieprzyjacielskiego U-boota, a jeszcze trudniej go zaatakować i unieszkodliwić, bądź zatopić. Bardzo często lotnicy powracali do bazy rozgoryczeni, bez rezultatów morderczych lotów. Toteż wielkim sukcesem było wytropienie i zaatakowanie niemieckiego okrętu podwodnego przez załogę „Wellingtona" NZ-R, w dniu 13 sierpnia 1942 r. Szczęśliwą załogę stanowili por. obs. Adolf Nowicki, piloci: sierż. L. Gołębiewski i sierż. Kozłowski, radiotelegrafista ppor. S. Fronczak oraz strzelcy: sierż. H. Gębicki i sierż. Stefan Lewkowicz. U-boota wykryto na Atlantyku, w miejscu określonym 10 stopniem długości geograficznej zachodniej i 47 stopniem szerokości geograficznej północnej. Załoga zaatakowała niemiecki okręt podwodny trzema bombami głębinowymi, wskutek czego U-boot przechylił się na bok i zanurzył, a po chwili na powierzchni morza pojawiła się oleista plama oraz bańki powietrza, jak i liczne przedmioty pochodzące z atakowanego okrętu podwodnego. Admiralicja brytyjska uznała to zatopienie.

Od połowy sierpnia dywizjonem 304 dowodził mjr pil. Kazimierz Czestowicz.

Prawie miesiąc po zatopieniu pierwszego U-boota przez dywizjon śląski — 11 września — nadarzyła się okazja zatopienia drugiego nieprzyjacielskiego okrętu podwodnego, lecz załoga kpt. pil. Kucharskiego nie miała tyle szczęścia, co ich poprzednicy, chociaż lotnicy pewni byli sukcesu. Wspomniana załoga zaskoczyła na Atlantyku U-boota na wynurzeniu i zaatakowała go sześcioma bombami głębinowymi. Niemiecki okręt podwodny zanurzył się dziobem w wodę, a jego rufa z widocznym sterem sterczała pod ostrym kątem w górze. Lotnicy widzieli też marynarzy niemieckich skaczących do morza. Załoga „Wellingtona" wykonała szereg zdjęć i po półgodzinnej obserwacji tonącego U-boota zawróciła do bazy. Tym razem jednak admiralicja nie uznała zatopienia U-boota, lecz oceniła, że okręt został ciężko uszkodzony.

W służbie Lotnictwa Obrony Wybrzeża lotnicy dywizjonu śląskiego stoczyli wiele walk powietrznych z myśliwcami Luftwaffe, ale dwie z nich zasługują na opisanie. Pierwsza miała miejsce u wybrzeży Hiszpanii, w dniu 16 września 1942 r. Sześć dwusilnikowych myśliwców Ju-88 zaatakowało samotnego „Wellingtona" z rejestracją NZ-E, nr DV836, którego załogę stanowili: kpt. obs. Władysław Minakowski, por. pil. Stanisław Targowski, sierż. pil. Z. Kowalewicz, radiotelegrafista sierż. Zygmunt Piechowiak oraz strzelcy: sierż. Władysław Młynarski i sierż. Franciszek Kubacik. Walka toczyła się dosłownie nad spienionymi falami oceanu. Strzelcy brawurowo bronili się przed atakami napastników, a por. pil. Targowski wyczyniał karkołomne ewolucje dwusilnikowym „Wellingtonem", dotykając niemal końcówkami skrzydeł fal morza. Podczas tej walki zestrzelono jednego Ju-88, a drugi uszkodzony kaemami strzelców „Wellingtona", zmuszony był wodować na morzu. Pozostałe maszyny niemieckie, poważnie pokiereszowane zrezygnowały z dalszej walki, gdy pilotowi Targowskiemu udało się uciec w chmury. Z przestrzelonym zbiornikiem paliwa w prawym skrzydle i uszkodzonym przewodem olejowym, na resztkach paliwa „Wellington" dobrnął i wylądował na najbliższym lotnisku brytyjskim. Z walki tej załoga wyszła bez szwanku, ale po wylądowaniu doliczono się aż czterdziestu dziur od działek i kaemów przeciwnika w konstrukcji samolotu.

Największy dramat rozegrał się u wybrzeży Hiszpanii 9 lutego 1943 r. Powracający po siedmiu godzinach lotu patrolowego „Wellington" NZ-W, nr K5718 z załogą: por. obs. S. Płachciński, kpt. pil. Emil Ladro, ppłk. pil. Jan Biały (pierwszy dowódca 304 dywizjonu w roku 1940), radiotelegrafista sierż. K. Chłopicki, strzelcy: sierż. A. Ulicki i sierż. W. Piskorski — zaatakowany został przez cztery myśliwce Ju-88. Załoga dzielnie stawiała czoła nieprzyjacielowi, przyjmując walkę z przeważającym liczebnie wrogiem. Podczas walki został ranny i wyeliminowany z walki strzelec sierż. Piskorski. Wkrótce po nim odniósł rany ppłk. pil. Jan Biały. Walka przedłużała się, wyczerpywała się amunicja i ocalenie załogi zależało tylko od umiejętności pilotażowych kpt. pil. Ladro, będącego mistrzem w pilotowaniu „Wellingtonów". Kpt. pil. Ladro wykonywał niesamowite ewolucje i uniki, obniżając lot do powierzchni oceanu, to znów gwałtownie wyciągał maszynę pod niebo, aby po chwili znurkować znowu nad fale spienionego morza. Był już bliski omdlenia i resztkami sił panował nad maszyną, a napastnicy nie rezygnowali z walki, atakując i ostrzeliwując zaciekle łatwą dla nich zdobycz, jakim był potężny „Wellington". Walka trwała, zdawało się, nieskończenie. W pięćdziesiątej ósmej minucie walki Niemcy zrezygnowali z kolejnych ataków, nie wiadomo, czy z braku paliwa, czy wyczerpania się amunicji. Uformowani w ciasny szyk odlatywali na południe, a ich dowódca pochyleniem skrzydeł swego samolotu „salutował" bohaterską załogę „Wellingtona". Walka ta odbiła się szerokim echem w radiu i prasie brytyjskiej, przy czym podkreślano, że była to dotychczas najdłuższa walka pojedynczego „Wellingtona" z przeważającym liczebnie napastnikiem.

W walkach powietrznych, staczanych o setki mil od brzegów Anglii, z miażdżącą przewagą wroga. Polacy nie mieli sobie równych w całym Lotnictwie Obrony Wybrzeża. W ryzykanckich atakach na U-booty, porty nieprzyjacielskie, również wodzili rej. Otrzymywali w rozkazach pochwały i gratulacje od dowództwa, jak i wysokie odznaczenia polskie i brytyjskie, ale płacili za to ciężkimi stratami i nierzadko otrzymywali te odznaczenia pośmiertnie.

Druga połowa marca 1943 r. wypełniona była niebezpiecznym i bardzo trudnym zadaniem „Ślązaków" przy minowaniu portów nieprzyjaciela, szczególnie: St. Nazaire, Lorient i Brest. Lotnicy zrzucali miny z wysokości 100—150 metrów.

Na początku kwietnia wyposażono dywizjon 304 w nowocześniejsze „Wellingtony" Mk.X, które służyły „Ślązakom" tylko trzy miesiące, ponieważ w czerwcu otrzymali „Wellingtony" Mk.XIII, specjalnie skonstruowane dla lotnictwa obrony wybrzeża. Samoloty te, nazywano żartobliwie „choinkami", z uwagi na mnóstwo sterczących na kadłubach prętów antenowych. Po przeszkoleniu załóg na tym typie samolotu, dywizjon przeszedł do nocnych lotów patrolowych.

We wrześniu 1943 r. dywizjon śląski otrzymał najnowocześniejszy typ samolotów przeznaczonych dla lotnictwa obrony wybrzeża — „Wellingtony" Mk.XIV, specjalnie przystosowane do wypraw nocnych. Kadłub samolotu wypełniała aparatura elektroniczna. Wyposażony w najnowocześniejsze przyrządy nawigacyjne, radiowysokościomierz, przyrządy do lotów „na ślepo", urządzenia radarowe ASV Mk.III, nowoczesną aparaturę radiową oraz celownik do bombardowania z lotu koszącego, a przede wszystkim w potężny reflektor „Leight Light" o sile światła pięciu milionów świec, był wspaniałym samolotem. Jego zbiorniki mieściły zapas paliwa wystarczający na trzynaście godzin lotu, co znacznie zwiększyło zasięg. Po przezbrojeniu dywizjonu śląskiego w ten typ samolotów znacznie wzrosła ilość wykrywanych i atakowanych U-bootów oraz okrętów wojennych Kriegsmarine.

W tym czasie dywizjon kilkakrotnie zmieniał lotniska, a nocne loty patrolowe obfitowały w dramatyczne wydarzenia. Intensywność tych wypraw wyczerpywała załogi, bohatersko walczące z niemieckimi okrętami podwodnymi i myśliwcami. Szczególnie intensywnie latano w pierwszym kwartale 1944 r., kiedy to wykonano aż trzysta siedem wypraw nocnych na patrolowanie Atlantyku. W końcu marca 1944 wyraźnie osłabiły się działania niemieckich U-bootów, ponoszących coraz dotkliwsze straty, a nie osiągających już sukcesów.

Gdy alianci rozpoczęli inwazję na Normandię w czerwcu 1944 roku, dywizjon śląski bardzo aktywnie walczył z niemieckimi okrętami wojennymi. 18 czerwca 1944 r. o godzinie 21.10 z lotniska Chivenor wystartował „Wellington" NZ-A, nr 304. Załoga w składzie: por. obs. Tadeusz Kołodziejski, I pilot — por. Leopold Antoniewicz, II pilot — sierż. Wacław Buczyłko, radiotelegrafista — sierż. Jan Pasyk i strzelcy: sierż. Herman Iżycki oraz sierż. Jerzy Moller — leciała na patrolowanie Zatoki Biskajskiej. Około godziny 23.00 spostrzegli wynurzającego się U-boota. Kiedy pilot zniżał lot, aby zaatakować niemiecki okręt podwodny, niecałe półtorej mili dalej wynurzał się drugi U-boot, lecz pilot konsekwentnie zmierzał do atakowania pierwszego celu. Zrzucono sześć bomb głębinowych z wysokości około trzydziestu metrów, które uderzyły blisko prawej burty, w kadłub i lewą burtę U-boota. O godzinie 22.57 pojawiła się na powierzchni oceanu oleista plama oraz wiele przedmiotów, pochodzących z zatopionego okrętu. Okazało się, że Polacy zatopili wielki niemiecki okręt podwodny U-441, którego zatopienie zostało uznane przez admiralicję.

Po opanowaniu przez Sprzymierzonych kanału La Manche i Francji, Niemcy usiłowali wydostać się na Atlantyk drogą północną, lecz dowództwo Coastal Command przerzuciło dużą część dywizjonów na północny skraj Wielkiej Brytanii, w tym również polski dywizjon śląski, który przeniesiono na lotnisko Benbecula, usytuowane na Zewnętrznych Hebrydach. Znowu nastały dla dywizjonu okropne warunki bytowania, a służba stała się szczególnie niebezpieczna i trudna. Silne wiatry i śnieżyce utrudniały starty do akcji bojowych, a samoloty często przeciążone paliwem i bombami nie mogły wystartować ze zbyt krótkiego lotniska. Postanowiono więc startować z małą ilością paliwa i bez bomb, lądując na którymś lotnisku szkockim, aby tam uzupełnić paliwo i podwiesić bomby, a potem lecieć nad Atlantyk. Część załóg 304 dywizjonu Ziemi Śląskiej startowała z północno-irlandzkiego lotniska Limawady. Mimo tych trudności i surowych warunków klimatycznych polski dywizjon odnosił sukcesy i kiedy w marcu 1945 roku odchodził na lotnisko St. Eval, w południowej Anglii, dowódca 15 Grupy Lotnictwa Obrony Wybrzeża wpisał do księgi pamiątkowej dywizjonu 304: „Latają nawet wówczas, kiedy mewy boją się latać!"

Z lotniska St. Eval dywizjon 304 wykonywał loty patrolowe do końca swej służby w Coastal Command, tj. do dnia 31 maja 1945 r. Oprócz patroli nad Zatoką Biskajską zadaniem dywizjonu było patrolowanie kanału La Manche, Kanału św. Jerzego, Morza Irlandzkiego, Morza Norweskiego, wschodnich obszarów Atlantyku aż po Hebrydy i Wyspy Owcze.

Ostatnim sukcesem dywizjonu śląskiego było zaatakowanie niemieckiego U-boota na wynurzeniu przez załogę „Wellingtona" w dniu 4 maja 1945 r. Marynarze okrętu podwodnego poddali się do niewoli, wywieszając białą płachtę. Polacy wezwali drogą radiową pomoc z Coastal Command, po czym przyleciał wodnopłatowiec typu „Catalina" i przejął jeńców na pokład. Zaalarmowano również ścigacze Royal Navy (Marynarki Królewskiej), które odprowadziły U-boota do najbliższego portu.

Po kapitulacji Niemiec, w maju 1945 r. dywizjon 304 wraz z innymi dywizjonami Lotnictwa Obrony Wybrzeża patrolował Atlantyk i przyległe morza, wykrywając U-booty, których załogi próbowały uniknąć niewoli.

W służbie Lotnictwa Obrony Wybrzeża dywizjon 304 Ziemi Śląskiej wykonał 2.451 lotów bojowych, w czasie 21.331 godzin, atakując 31 okrętów podwodnych Kriegsmarine, z czego dwa zatopił (U-321 i U-441), dwa ciężko uszkodził, a dwa inne lekko uszkodził. Przeprowadził szesnaście ataków z wynikiem nieznanym oraz osiem ataków nieskutecznych. Załogi dywizjonu stoczyły aż sto siedem walk powietrznych z niemieckimi myśliwcami, zestrzeliwując na pewno trzy samoloty, prawdopodobnie również trzy, a cztery samoloty wroga uszkodziły. Niezależnie od tych sukcesów zniszczył bombami porty i urządzenia portowe nieprzyjaciela. Ale straty dywizjonu były niewspółmiernie wielkie do sukcesów. Stracono dziewiętnaście samolotów, poległo sześćdziesięciu dziewięciu lotników, a sześciu zaginęło. Z lotów nad Atlantykiem nie szło się do niewoli. Powracało się do bazy lub ginęło.

Hongkong: miejsce, gdzie wszystko można sprzedać

Od kilku tygodni w Pekinie toczą się chińsko-brytyjskie rozmowy na temat przyszłości Hongkongu. Przedmiotem rozmów jest przyszły status tej dalekowschodniej kolonii brytyjskiej. W 1997 roku wygasa zawarta w 1898 roku na 99 lat umowa o dzierżawę tzw. Nowych terytoriów, stanowiących 9/10 obszaru Hongkongu. Pozostała jedna dziesiąta tego obszaru weszła w posiadanie W. Brytanii w połowie XIX w. na mocy traktatów wymuszonych przez Londyn na ówczesnym rządzie cesarskich Chin. Żaden późniejszy rząd chiński traktatów tych nie uznał — nie uznaje ich też rząd ChRL, podczas, gdy strona brytyjska uważa je za całkowicie ważne z punktu widzenia prawa międzynarodowego.

Światła. Miliony białych, kolorowych, migocących świateł. Są inne, niż w Tokio, Singapurze, Los Angeles czy Nowym Jorku. Hongkong lśni w ciemnościach nocy magicznym, zapierającym dech blaskiem: blaskiem tęsknoty ludzi Zachodu za Wschodem.

Z pokładu „Star Ferry" — promu kursującego między dwiema częściami „Wonnego portu" — jak tłumaczy się nazwa Hongkong — w miejscowym chińskim dialekcie — miasto to wygląda jak zwykle — niespokojne i wspaniałe, szczęśliwe i bogate. A jednak Hongkong drży. Tak samo jak drży odblask jego świateł na falach nocnego morza. Drży ze strachu przed przyszłością.

Tę maleńką, bogatą enklawę kapitalizmu — o powierzchni 1000 km kw. — oddziela od olbrzymiego kontynentu chińskiego tylko wąskie, wyschnięte koryto rzeki. Podczas gdy po tamtej stronie granicy Chiny marzą o nowoczesności i pragną stać się drugim Hongkongiem, Hongkong dręczony jest koszmarem, że może stać się częścią Chin.

Los Hongkongu wydaje się przypieczętowany. Po roku 1997 obszar ten przestanie być królewską kolonią brytyjską i stanie się częścią Chińskiej Republiki Ludowej. Kiedy dokładnie ma to nastąpić i na jakich warunkach, przy zachowaniu jakich przywilejów i gwarancji — ta sprawa nie została jeszcze rozstrzygnięta. Ostateczny wynik jest już jednak pewny: Hongkong nigdy już nie będzie tym, czym był niegdyś, czym — przy wszystkich ograniczeniach — jest jeszcze dzisiaj.

Rok 1997 lub — jak formułuje to Pekin — „odzyskanie suwerenności nad całym Hongkongiem" — jest obecnie codziennym tematem hongkongijskich gazet, tematem, który spędza sen z oczu 5,5 miliona ludzi w tym pozornie wspaniałym świecie. Plany i domysły, złudzenia i obawy — wszystko kręci się wokół tej właśnie daty.

Ceny działek budowlanych przy hongkongijskiej Des-Voeux-Road są wprawdzie nadal najwyższe na świecie, ale niektóre przedsiębiorstwa w samym centrum zostały już zamknięte. Olbrzymie nowo zbudowane biurowce zajęte są tylko w połowie. 80 tys. apartamentów świeci pustkami. Miliardy hongkongijskich dolarów pośpiesznie zamienia się na dolary USA i przekazuje na bezpieczniejsze konta bankowe na całym świecie. Bardziej nerwowi mieszkańcy już wyjechali, inni przygotowują się do rychłego wyjazdu. W dziennikach hongkongijskich mnożą się ogłoszenia o sprzedaży domów i fabryk, jachtów i samochodów. „Eksperci emigracyjni" oferują za opłatą swoje usługi przy wysyłaniu za granicę rodzin i kapitału.

Kapitaliści ze starego Szanghaju, czy b. generałowie kuomintangowscy, głodni chłopi, czy rozczarowani czerwonogwardziści, uczeni, których księgozbiory zostały spalone, czy artyści, którzy nie mogli tworzyć w Chinach — oni wszyscy, których zwabiła do Hongkongu nadzieja lepszego jutra — są obecnie pełni obaw o swoją przyszłość.

Dla ChRL Hongkong jest źródłem ok. 40 proc. wpływów dewizowych. Codziennie z Chin Ludowych dostarcza się tu (za gotówkę) — 1500 ton jarzyn, 9500 świń, 600 bawołów, 400 ton ryb i 2 miliony jaj. Tylko w r. 1981 ChRL zarobiła 17 milionów dolarów USA na sprzedaży wody, która jest Hongkongowi niezbędna do życia.

Chińska Republika Ludowa utrzymuje w kapitalistycznym Hongkongu 13 wielkich banków i instytucji finansowych ze 193 filiami, zarabia pieniądze na modłę kapitalistyczną, m. in. dzięki temu, że większość mieszkających w Hongkongu Chińczyków, utrzymujących stosunki handlowe z ChRL trzyma swoje pieniądze w bankach chińskich lub korzysta z ich kredytów.

Tędy przechodzą pieniądze, przesyłane regularnie krewnym w kraju przez Chińczyków zamieszkałych w Hongkongu, a także przez wielu spośród 20-milionowej rzeszy Chińczyków, rozsianych po różnych krajach Azji Południowo-Wschodniej. 90 proc. turystów odwiedzających ChRL to wciąż jeszcze Chińczycy z Hongkongu — ci także przywożą dolary.

Poza tym niemal wszystkie transakcje zawierane między firmami chińskimi i zagranicznymi odbywają się za pośrednictwem Hongkongu. ChRL sama utrzymuje tu towarzystwa ubezpieczeniowe, sieć domów towarowych, fabryki, gazety i teatry, wraz z należącymi do nich gruntami. Chińskie inwestycje w maleńkim Hongkongu są większe niż wszystkie zagraniczne inwestycje w Chinach razem wzięte. Doszło do tego, że pekiński Bank of China kontroluje 40 proc. rynku pieniężnego królewskiej kolonii brytyjskiej.

Ten fascynujący twór funkcjonuje bez żadnych problemów, ponieważ dolar hongkongijski należy do walut swobodnie wymienialnych. Jak jednak przedstawiałaby się sytuacja, gdyby Hongkong powrócił do Chin?

Tuż obok, w zasięgu wzroku ubogich Chin, z ich totalnie zreglamentowanym społeczeństwem, egzystuje kapitalistyczny raj, w swej najbardziej czystej postaci, jakiej nie udało się osiągnąć w najlepszych czasach rozwoju kapitalizmu ani w Europie, ani w USA, świat, jaskrawo kontrastujący ze smutnym światem Wielkiego Sternika Mao.

Administracja brytyjska gwarantuje absolutną swobodę działania przedsiębiorstw. Firmy i pojedyncze osoby, zarówno miejscowe, jak i z zagranicy, mogą być żadnych ograniczeń kupować i sprzedawać, angażować i zwalniać pracowników, udzielać i zaciągać kredyty, produkować towary i oferować usługi. Tych, którzy pragną pracować na terenie kolonii, nie obowiązują praktycznie żadne przepisy czy ograniczenia. Prawo wolnego rynku króluje tu niepodzielnie.

Bogactwo kolonii — widziane oczami Chińczyków z kontynentu — jest niezmierzone, uwodzicielskie. Roczny dochód przypadający na głowę ludności wynosi w Hongkongu ok. 4.200 dolarów, w ChRL zaś dopiero w roku 2000 ma — jak obiecuje obecne kierownictwo — dojść do 800 dolarów. Mieszkańcy tego blogosławionego skrawka ziemi płacą najwyżej 15 proc. podatku od dochodów.

„Jako kolonia brytyjska, Hongkong ma oczywiście towarzystwo opieki nad zwierzętami, ba, nawet towarzystwo miłośników ptaków, ale przepisów o ubezpieczeniach społecznych tu nie uświadczysz" — ubolewa jeden z rozmówców dziennikarza, krytycznie nastawiony wobec władz kolonialnych.

W Hongkongu nie istnieją przepisy określające minimum zarobków, nie ma tu zasiłków dla bezrobotnych, ani ubezpieczeń społecznych. Jeśli któryś z robotników budowlanych spadnie z bambusowego rusztowania, jakie stosuje się tu nawet przy budowie drapaczy chmur, wówczas rodzina może liczyć wyłącznie na wspaniałomyślność firmy, która z reguły wypłaca odszkodowanie w wysokości kilkuset dolarów.

Szczodrzy filantropi uprawiają pomoc socjalną na modłę kapitalistyczną. Jeden z hongkongijskich milionerów np. chętnie raz do roku w okresie Bożego Narodzenia pozuje fotoreporterom, gdy wręcza małe czerwone koperty zawierające po 100 dolarów hongkongijskich każdemu ubogiemu, zgłaszającemu się w tym czasie do niego. Ten akt miłosierdzia kosztował w ub. roku znanego filantropa, Tana Shiukina, który otrzymał tytuł szlachecki z rąk królowej, 879 dolarów hongkongijskich (352 tys. marek — przelicza SPIEGEL).

Przepływ towarów z i do Hongkongu nie podlega niemal żadnym ograniczeniom. Z wyjątkiem alkoholu, ropy naftowej, broni i narkotyków można tu przywozić wszystko w dowolnych ilościach i bez opłat celnych.

Hongkong stał się więc ulubionym miejscem zakupów dla 2,5 miliona turystów, którzy w roku 1981 zostawili tu 1,2 miliarda dolarów USA. W Hongkongu bowiem wiele rzeczy wciąż jeszcze kosztuje taniej, niż w większości innych krajów świata, czy to będzie jedwab, czy peruka, kamera filmowa czy komputer. W ciągu 24 godzin zręczny rzemieślnik wykona na miarę buty z cholewami, koszulę czy smoking. Każdy, kto raz dał sobie zdjąć miarę, może odtąd składać zamówienia za pośrednictwem poczty. Krawcy i bieliźniarze w Hongkongu z dumą pokazują stosy listów od stałych klientów — słynnych aktorów, polityków i innych osobistości z całego świata.

Również dopływ kapitałów do Hongkongu nie podlega żadnej kontroli. Nikomu nie przychodzi do głowy, by podróżnego, który przyjeżdża lub wyjeżdża z walizką pełną banknotów, pytać o pochodzenie tych pieniędzy.

Ten wspaniałomyślny liberalizm sprawił, że Hongkong stał się jednym z największych centrów finansowych świata. Usadowiły się tu banki z całej kuli ziemskiej. Samych banków depozytowych działa tu 350. Rząd nie planuje, nie daje żadnych gwarancji i nie wysuwa żadnych propozycji. Niektórzy twierdzą, że w ogóle nie rządzi...

W ostatnich latach, kiedy eksport tekstyliów z Hongkongu znacznie zmalał w związku z ograniczeniami wprowadzonymi przez państwa uprzemysłowione, miejscowi przemysłowcy żądali ograniczenia taniego importu z Tajwanu i Korei Południowej. Rząd odmówił.

Hongkong żyje z tego, że codziennie rano setki tysięcy Chińczyków, ledwie przetarłszy oczy, już zaczynają myśleć o tym, jakby tu zarobić jeszcze więcej pieniędzy i jak jeszcze więcej wyciągnąć korzyści z tego błogosławionego systemu kapitalistycznego.

Swój rozkwit Hongkong zawdzięcza bliskości Chin. Co roku dziesiątki tysięcy drobnych posiadaczy emigruje stamtąd, unosząc ze sobą ile się da posiadanego kapitału. Tylko do czasu objęcia władzy w Chinach przez Mao Tse-tunga, do kolonii przeniosło swe siedziby 280 firm z Szanghaju. Wiele przedsiębiorstw, zwłaszcza z branży tekstylnej, przenosiło się wówczas do Hongkongu razem z całym parkiem maszynowym i personelem technicznym, co umożliwiło im natychmiastowe podjęcie produkcji w nowym miejscu. W ten sposób w ciągu kilku miesięcy Hongkong przekształcił się z rynku zbytu w wielki ośrodek produkcyjny, gdzie wytwarza się wszystko — od guzików po aparaty fotograficzne. Y. K. Pao, bankier z Szanghaju, który w r. 1949 uciekł z komunistycznych Chin, założył w Hongkongu przedsiębiorstwo żeglugowe i wywindował hongkongijską flotę handlową na szóste miejsce w świecie.

Władze ChRL usiłowały różnymi sposobami zahamować ten odpływ kapitału i fachowców. Gdy żołnierze maoistowscy wkraczali do Szanghaju, nowe rewolucyjne władze zapewniały tamtejszych przemysłowców, że będą mogli współdziałać w budowie nowych Chin i dlatego nie powinni się bać niczego.

Wielu dało się przekonać i pozostało, ale tylko po to, aby później paść ofiarą kampanii, wymierzonych przeciwko spekulanctwu i korupcji. Wielu jednak przeniosło się do Hongkongu.

Co najmniej połowa 5,5-milionowej ludności tej kolonii przybyła tam w ciągu ostatnich 40 lat w ten czy inny sposób z Chin. Jedni będąc w posiadaniu regularnych paszportów, uzyskanych legalnie, bądź za pieniądze, przyjeżdżali pociągami. Inni przepływali zatokę wpław, lub łodziami. Wielu zginęło od kul posterunków granicznych, wielu zostało pożartych przez rekiny. Najsprytniejszym udawało się za pomocą różnych kruczków przemycać swój kapitał z Chin do Hongkongu. Tak np. pewna starsza dama opuściła Szanghaj z węzełkiem, w którym znajdowały się jej suknie i... szynka wręczona jej przez przyjaciół już na dworcu. Na granicy z Hongkongiem polecono emigrantom oddać do kontroli wszystkie bagaże, które zwrócono właścicielom po drobiazgowej rewizji. Dopiero kiedy starsza pani już w domu krewnych w Hongkongu zasiadła wraz z nimi do powitalnej kolacji, okazało się, że szynka jest... naszpikowana brylantami. Celnik chiński najwidoczniej przez pomyłkę oddał jej szynkę, należącą do innego podróżnego, który w ten sposób postanowił przewieźć swój majątek przez granicę. Za pieniądze uzyskane ze sprzedaży diamentów rodzina ta założyła wielki zakład krawiecki, który do dziś uważany jest za jeden z najlepiej prosperujących i najbardziej renomowanych zakładów w Hongkongu.

Do Hongkongu napływa stale coraz więcej ludzi, często początkowo nocują oni w tekturowych pudłach na dachach domów, w szałasach skleconych byle jak na zboczu wzgórza, lub w przepełnionych pensjonatach, w których wynajmuje się miejsca do spania na kilka zmian.

Pomysłowość i inicjatywa mają w Hongkongu właściwie nieograniczone możliwości. Pewien imigrant np. zauważył w porę rosnące zapotrzebowanie na światła odblaskowe. Założył w r. 1954 fabryczkę, która rozrosła się obecnie w największą wytwórnię świateł odblaskowych na świecie. Były właściciel kina w Szanghaju po przyjeździe do Hongkongu uznał, że zamiast kupować filmy, praktyczniej będzie je produkować samemu. Wpadł na pomysł kręcenia filmów o Kung Fu — i tak powstało wielkie hongkongijskie imperium filmowe. Inny znów postanowił zwalczyć monopol Coca-Coli. Wyprodukował napój własnego pomysłu, który teraz pije się niemal wszędzie w całej Azji. Hongkong produkuje i eksportuje nawet to, co wydaje się na pozór niemożliwe: zegarki kwarcowe do Szwajcarii, kapelusze kowbojskie do Ameryki.

Atutem Hongkongu stał się przemysł tekstylny. Wiele zachodnich luksusowych wyrobów, noszących etykietki Cardina, Saint-Laurenta czy Bloomingdale'a, wytwarzanych jest w Hongkongu. Tutaj bowiem dniówka robotnika wynosi zaledwie 9,20 dol. USA.

Inny sekret powodzenia Hongkongu to umiejętność przystosowania się. Kiedy tutejszy przemysł tekstylny zaczął odczuwać konkurencję ze strony Tajwanu i Korei Południowej, przestawił się częściowo na inne dziedziny — jak np. elektronika. Kiedy ceny szlifowanych diamentów zaczęły iść w górę, Hongkong natychmiast włączył się do interesu i niebawem stał się poważnym konkurentem takich starych diamentowych bastionów, jak Antwerpia i Amsterdam. „Aby opanować produkcję nowego wyrobu firma amerykańska potrzebuje ośmiu miesięcy, japońska — pięciu. Nam wystarczą trzy miesiące" — mówi producent artykułów elektrotechnicznych z Hongkongu. Jeśli zaś idzie o skopiowanie jakiegoś wyrobu, okres ten jest jeszcze krótszy. Ledwie w najbardziej postępowych krajach świata zdążyły wejść w modę domowe komputery, kiedy Hongkong już pojawił się na rynku światowym z własnymi wyrobami tego typu.

Hongkong rozwinął w sobie instynktowne wyczucie rynku i to rynku każdego, jaki można sobie tylko wyobrazić.

Kiedy do portu wchodzi amerykański lotniskowiec i kilkuset młodych marynarzy schodzi na ląd w poszukiwaniu pozostałości mitu Suzie-Wong, w portowej dzielnicy Wanchai, gdzie pełno jest barów, nocnych lokali, salonów masażu i pracowni mistrzów tatuażu, zaczyna pulsować życie. Setki młodych dziewcząt biorą urlopy w fabrykach, aby przyłączyć się do zawodowych prostytutek. Skoro tylko marynarze wyruszą znów w morze, dziewczęta wracają do codziennej pracy.

W Hongkongu nie działają również prawa chroniące łatwowiernych. Każdy może bez żadnych problemów wynająć lokal biurowy, wywiesić na drzwiach tabliczkę z nazwą firmy i np. sprzedawać bilety na nie istniejące samoloty. W ub .roku tysiące ludzi zostało oszukanych właśnie w ten sposób. Kiedy zgłosili się z reklamacjami, po rzekomym biurze podróży nie było już śladu.

Można również bez przeszkód założyć Towarzystwo Inwestycyjne, wyciągnąć od zainteresowanych pieniądze, wydając w zamian bezwartościowe papiery. W roku 1970 mieszkańcy Hongkongu stracili w ten sposób pół miliarda dolarów amerykańskich na korzyść licznych tzw. Funduszów Inwestycyjnych, które istniały zaledwie po kilka dni, po czym znikały bez śladu. „Ci ludzie zasłużyli na to, by zostać oszukani, ponieważ sami chcieli się zbyt szybko wzbogacić" — oświadczył wówczas jeden z przedstawicieli rządu.

Mieszkańcy Hongkongu akceptują zresztą ten sposób myślenia, aczkolwiek w kolonii tej potworne bogactwo i potworna nędza zderzają się ze sobą, jak nigdzie indziej. Nie daje się zauważyć żadnych szczególnych awersji wobec przepychu, w jakim żyją tutejsi bogacze, bogatsi niż bogacze na całym świecie.

Pani Brenda Chau wyjeżdża na spacer różowym rolls-roycem, z kierowcą w różowej liberii, ona sama — w futrze z farbowanych na różowo norek. Naturalnie do wszystkich futer pani Chau ma samochody w odpowiednich kolorach. W jej „Villa d'oro" ściany są inkrustowane złotem, a stoliki do kawy mają również ozdoby ze szczerego złota. Nikt się z tego powodu nie oburza, ani nie zazdrości.

Kiedy mieszkańcy Hongkongu wychodzą przy święcie na rodzinny spacer nad wspaniałe zatoki wzdłuż południowych wybrzeży wyspy, gdzie rozlokowały się owe pełne przepychu wille, rodzice opowiadają dzieciom o tym, jak ich właściciele doszli do tego co mają. Opowieści o sukcesach należą do legend tej kolonii brytyjskiej. Opowiada się więc o człowieku, który podczas wojny koreańskiej zrobił majątek dzięki temu, że prowadził przemyt ropy naftowej i gumy przez Makao do Chin, za co otrzymał w zamian monopol na import chińskiego cementu do Hongkongu.

„Pewnego dnia i ja będę miał szczęście" — mówi drobny krawiec z Kowloon, który sam określa się jako przemysłowiec branży tekstylnej. Eksperymentując z kolorowymi skrawkami materiału, wpadł on na pomysł, by produkować wielobarwne biustonosze dla Afrykanek i otrzymał już zamówienia na 10 tys. sztuk. Później jednak pomysł ten został mu skradziony przez silniejszego konkurenta, który wyparł go z rynku. Każdy, komu się jeszcze nie udało, wierzy — jak ten krawiec — że pewnego dnia trafi mu się życiowy sukces.

Dla wielu jednak Hongkong nie jest bynajmniej rajem na ziemi. Ponad pół miliona ludzi gnieździ się w nędznych lepiankach, bez bieżącej wody, oświetlanych elektrycznością kradzioną z sieci publicznej. Ciśnięci z jednej strony przez skorumpowanych policjantów, z drugiej przez brutalne bandy, pracują za nędzne wynagrodzenie w fabrykach. Ale nawet ci ludzie pragną pozostać w Hongkongu. Gdyby chcieli, mogliby w każdej chwili przenieść się do Chin. Ale najczęściej przybyli oni właśnie stamtąd i wcale nie mają zamiaru wracać. Większość mieszkańców hongkongijskiej dzielnicy nędzy pochodzi z ostatniej fali uchodźców z ChRL, która napłynęła do tej kolonii przed r. 1980, w którym to roku władze brytyjskie zmieniły swą politykę imigracyjną i wprowadziły utrudnienia w osiedlaniu się na terenie kolonii. W ciągu półtora roku przybyło ich wówczas 300 tysięcy.

Do roku 1980 brytyjska administracja kolonialna kierowała się zasadami fair play: kto dał się złapać przy przekraczaniu granicy, albo zaraz po tym, był przekazywany chińskim posterunkom granicznym. Komu jednak udało się dotrzeć do centrum miasta i tam zgłosić się na posterunek policji, ten mógł już pozostać.

Uchodźcy przyczyniają się do utrzymywania chińskiego charakteru Hongkongu — władza brytyjska tworzyła od samego początku istnienia kolonii — tylko powierzchowną warstwę. Uprzejme, uśmiechnięte chińskie policjantki w mundurach brytyjskiego kroju, brytyjskie piętrowe autobusy, jak również tolerancja ekonomiczna, nie są w stanie przesłonić faktu, że Hongkong nie przejął niczego z tradycyjnej brytyjskiej demokracji. Jak prawdziwa kolonia jest on rządzony z Londynu. Gubernator Jej Królewskiej Mości, którym obecnie jest sir Edward Youde — zawodowy dyplomata o wieloletnim doświadczeniu chińskim, sprawuje swoją władzę ściśle według poleceń z Londynu.

Partii politycznych nie ma w ogóle, jednakże — w odróżnieniu od Singapuru — niegdyś również kolonii brytyjskiej, dziś od dawna będącej już państwem niepodległym, gdzie dyktator Lee Kuan Yew rządzi żelazną ręką, ludzie myślący inaczej nie są w Hongkongu prześladowani.

W swoim czasie ta królewska kolonia z punktu widzenia interesów strategicznych i ekonomicznych Imperium Brytyjskiego na Dalekim Wschodzie miała znaczenie po prostu nieocenione i przyczyniła się bezpośrednio do pomnożenia bogactwa Anglii. Jeszcze do roku 1972 Hongkong miał obowiązek przechowywać w Londynie swoje rezerwy dewizowe w funtach szterlingach (wówczas — 900 mln funtów) i w ten sposób wspierać metropolię jak na kolonię przystało. W roku 1960 jeszcze 5 procent hongkongijskiego importu pochodziło z W. Brytanii.

Te czasy należą już do przeszłości. Od dawna już w bilansie handlowym wielkiej Anglii z maleńkim Hongkongiem występuje deficyt po stronie tej pierwszej, a korzyści, jakie Anglia czerpie z kolonii są niewielkie: statki hongkongijskie rejestrowane są w Londynie, prawo lądowania obcych samolotów na tamtejszym lotnisku, które dla W. Brytanii jest „lotniskiem wewnętrznym", tak samo jak Glasgow, jest przyznawane przez Londyn, administracja kolonialna utrzymuje się sama, jedyne co się liczy, to Hongkong jako baza działalności finansowej na obszar Dalekiego Wschodu.

Innymi słowy — Hongkong nie przynosi dziś Anglii zbyt wielkich korzyści, ale też nie nie kosztuje. Dlatego najlepszym atutem w rokowaniach z Chinami jest to, że może ona powiedzieć: „Jak chcecie, to go sobie zabierzcie! Wtedy my się wymiesiemy".

„DER SPIEGEL"

Polemiki • Listy • Opinie

JUBILEUSZ HONOROWYCH KRWIODAWCÓW

Dziesięć lat temu przy Węźle PKP w Skarżysku-Kamiennej rozpoczął swą działalność klub HDK i liczył wówczas 29 członków. Obecnie klub HDK, działający przy ZZ ZSMP Węzła PKP w Skarżysku-Kamiennej skupia 257 członków i jest najaktywniejszym klubem HDK w mieście. Należy przy tym podkreślić, że ponad 90 proc. jego członków stanowi młodzież zrzeszona w szeregach ZSMP.

W okresie dziesięcioletniej działalności tego klubu jego członkowie oddali 630 litrów krwi — najcenniejszego leku życia. Klub bierze udział we wszystkich akcjach ogólnokrajowych, a między innymi w czasie obchodów „Międzynarodowego Roku Dziecka" przekazał dla Szpitala Centrum Zdrowia Dziecka 65 litrów krwi. Zrzeszeni w tym klubie krwiodawcy oddają krew systematycznie, kilka razy w roku, chętnie i bardzo szybko spieszą z pomocą w wypadkach szczególnych, np. NA RATUNEK. Zajmują się także pozyskiwaniem nowych honorowych dawców krwi, prowadząc przy tym działalność propagandową i wychowawczą.

Zasługi ludzi skupionych w klubie, oddających krew dla ratowania innych ludzi sprawiły, że klub HDK Węzła PKP w Skarżysku-Kamiennej jest wysoko oceniany tak przez miejski jak i wojewódzki Zarząd PCK i stawiany jest w rzędzie najaktywniejszych klubów HDK województwa kieleckiego. W dowód uznania tych zasług klub HDK kolejarzy na przestrzeni kilku ostatnich lat został odznaczony brązową, srebrną i złotą odznaką HDK, a sztandar organizacji ZZ ZSMP Węzła PKP w Skarżysku-Kamiennej został udekorowany Brązową Odznaką PCK, nadaną przez Zarząd Główny PCK.

Do najbardziej aktywnych członków Klubu HDK Węzła PKP w Skarżysku-Kamiennej zaliczani są m.in.: Andrzej Ołownia, Jan Środa, Jerzy Siadaczko, Andrzej Świerczyński, Bogusław Polak, Marek Kołodziej, Paweł Orszulak, Czesław Ciura, Stanisław Sroka, Jerzy Kaczorowski, Dariusz Kalbarczyk, Henryk Kałużny, Magdalena Kisilińska, Krystyna Piętak, Adam Purski, Józef Sobczyk, Andrzej Odej, Mieczysław Nowakowski, Wiesław Skorek i wielu innych.

Współzałożycielem i zarazem prezesem Klubu HDK Kolejarzy w Skarżysku-Kamiennej jest Andrzej Ołownia, który jest tu znanym rzecznikiem idei honorowego krwiodawstwa oraz wzorem do naśladowania. Wiedzie on bowiem prym w tym szlachetnym i humanitarnym współzawodnictwie przekazywania ludziom cząstki swojego życia, oddając dotychczas 17 litrów tego życiodajnego płynu.

— Dużą satysfakcją jest dla naszego klubu — mówi prezes Andrzej Ołownia — to, że nasza ofiarowana krew przyczynia się do ratowania życia innym ludziom.

Podczas mojej rozmowy z członkami tego klubu HDK udowodniono mi, że krwiodawcy rzadziej chorują, mają lepsze samopoczucie i nie tyją.

A iluż to ludzi zawdzięcza życie właśnie tym honorowym krwiodawcom. Kierujemy dziś pod ich adresem najwyższe słowa uznania i podzięki oraz najlepsze życzenia w ich małym, ale jakże olbrzymiej wagi jubileuszu.

HENRYK GLUZA

OD REDAKCJI: Klubowi Honorowych Dawców Krwi Węzła PKP w Skarżysku-Kamiennej gratulujemy pięknych wyników i życzymy dalszej pomyślnej pracy dla ratowania zdrowia bliźnich.

CENA ZWYCIĘSTWA „TYCH NIELICZNYCH" W BITWIE O WIELKĄ BRYTANIĘ

We wrześniu 1983 r. obchodzimy dwie rocznice walk polskiego lotnictwa z hitlerowskim najeźdźcą: walk w r. 1939, kiedy starło się ono z przeważającym liczebnie i technicznie wrogiem ulegając mu, i walk już pod obcym niebem — brytyjskim, uczestnicząc w Bitwie o Wielką Brytanię.

O bitwie o W. Brytanię i walczących w niej pilotach napisało Air Ministry w swym oficjalnym biuletynie z r. 1941: „Such was the Battle of Britain in 1940. Future historians may compare it with Marathon, Trafalgar and the Marne..." („Taka była Bitwa o Anglię w 1940 r. Przyszli historycy porównają ją z Maratonem, Trafalgarem, Marną"). Piękne słowa i gest. Jak jednakże wyglądały naprawdę realia życia i uposażenia polskich lotników, a także koszty utrzymania Polskich Sił Powietrznych w Wielkiej Brytanii? Wokół sprawy tej narosło wiele nieprawdziwych legend. Np. pisano o tym, że as naszego lotnictwa na Zachodzie płk. S. Skalski otrzymał rentę w wys. 800 funtów miesięcznie! Legendy te należałoby zdementować, dlatego też trzeba opisać fakty z nimi związane.

5.08.1940 podpisano między rządami polskim i brytyjskim drugą umowę lotniczą zatwierdzoną przez Parlament 22.08.1940. W artykule 4 tej umowy postanowiono, że wszelkie wydatki dotyczące PSP będą zapisane na rachunek polskiego skarbu państwa, jako zaliczka na odbudowę lotnictwa. Na jej podstawie Air Ministry opracowało projekt planu kosztów utrzymania PSP obejmujący jednorazowe kredyty wyjściowe na każdy dywizjon, oraz koszty utrzymania bieżącego, pod którymi rozumiano: uposażenie i utrzymanie personelu, uzupełnienie strat sprzętu, paliwo i części zapasowe, amunicję i bomby, szkolenie oraz korzystanie z kwater, pomieszczeń i urządzeń RAF. Projekt uzgadniano w latach 1940—45 z Inspektoratem PSP, jednakże bez ostatecznych rezultatów. Niezależnie od niego, Inspektorat otrzymywał od Wydziału Budżetowego RAF kwartalne zestawienia wydatków, na które wystawiał skrypty dłużne Dział Intendentury PSP. Skrypty te stały się podstawą do obciążenia Skarbu Państwa zaliczkowymi kwotami. Jednakże w trakcie uzgadniania tych spraw, sprzymierzeni ustalili w myśl ustawy Kongresu USA „Lend Lease Act" zasadę wzajemności usług w zakresie prowadzenia wojny. Usługi te dopuszczały możliwość wynajmu, pożyczki towarów i broni. Opierając się o tę ustawę 29.06.1944 podpisano polsko-brytyjski protokół dotyczący kosztów utrzymania PSP od dn. 5.08.1940. Ostatecznie protokół ten spowodował rachunek, którego odpis przedstawia się następująco:

ZESTAWIENIE
kosztów utrzymania Polskich Sił Powietrznych w Wielkiej Brytanii za okres od dn. 5.08.1940—31.12.1945 r.

1. Wydatki osobowe, tj. uposażenie i żołd oraz inne należności w naturze, które należą do usług wzajemnych, odszkodowania dla osób trzecich po dzień 30 czerwca 1945 r. — **8.269.873-11-11** (słownie: osiem milionów dwieście sześćdziesiąt dziewięć tysięcy osiemset siedemdziesiąt trzy funty szterlingi, 11 szylingów i 11 pensów).

2. Z uznanych poprzednio zaliczek na koszty materiałowe i świadczeń uznanych protokołem z dnia 29 czerwca 1944 roku, jako wzajemne usługi, skreślono z zadłużenia Rządu Polskiego kwotę: **39.566.347-16-08** (słownie: trzydzieści dziewięć milionów pięćset sześćdziesiąt sześć tysięcy trzysta czterdzieści siedem funtów szterlingów, 16 szylingów i 8 pensów).

Z kwoty tej przypadało:

a) na pierwsze wyposażenie jednostek bojowych i szkolnych oraz kolejne przezbrojenia w nowy sprzęt: **5.793.300-00-00;**

b) na bieżące utrzymanie: **33.773.047-16-08.**

3. Wydatki osobowe za okres od 1 lipca do 31 grudnia 1945 r. w kwocie: **1.336.197-07-03**, nie zostały potwierdzone jako zadłużenie Rządu Polskiego, wobec zmiany sytuacji politycznej po konferencji w Jałcie.

4. Ogólne koszty utrzymania PSP składające się z kosztów wyposażenia w samoloty i silniki, koszty umundurowania, mieszkania, opału, światła, transportu i usług lekarskich wyniosły: **58.477.653-00-00.**

5. Ogółem wydatki władz brytyjskich na utrzymanie PSP w okresie 1940—1945 wyniosły: **107.650.000-00-00** (słownie: sto siedem milionów, sześćset pięćdziesiąt tysięcy funtów szterlingów).

Z ogólnej sumy należności, po umorzeniu części z tytułu „Lend Lease Act" Polska zapłaciła łączną kwotę: **68.083.723-18-14** (słownie: sześćdziesiąt osiem milionów, osiemdziesiąt trzy tysiące, siedemset dwadzieścia trzy funty szterlingi, 18 szylingów, 14 pensów).

Wymieniona na końcu rachunku kwota została potrącona z rezerw złota NBP, które w okresie wojny były na przechowaniu w Kanadzie. Był to gest czysto kupiecki i ze względu na powojenną sytuację Polski niezbyt piękny.

Powstaje pytanie, dlaczego nie otrzymaliśmy w końcowym efekcie sprzętu, za który zapłacono (rzecz dotyczy także i innych formacji WP na Zachodzie). Otóż mogliśmy go otrzymać, ale ponieważ umowa „Lend Lease" mówiła także o możliwości wypożyczenia (co właśnie miało miejsce) musielibyśmy zrezygnować z ulgi wynikającej z niej, uzyskując w efekcie uzbrojenie w znacznym stopniu zużyte. Na taki obrót sprawy się nie zgodzono.

Pozwolę sobie jeszcze wspomnieć nieco o uposażeniu personelu lotniczego i żołdu żołnierzy PSP. Rzecz została uregulowana zbiorem przepisów Air Ministry z 15.11.1940 r. obowiązującym prawie bez zmian do końca wojny. Mogę jedynie nadmienić, że kolega żołnierza polskiego z RAF (w tym samym stopniu i funkcji) otrzymywał żołd 50 razy wyższy. Istniały także i dodatki rodzinne oraz mieszkaniowe. Niestety, przepisy brytyjskie mówiły, że mogą je otrzymać jedynie ci, którzy mają rodziny w W. Brytanii lub na terenach obiegu funta. Wypadki te wśród Polaków były ewenementem i w związku z tym świadczenia te otrzymywali nieliczni. Uposażenia oficerskie były płacone według pełnionych funkcji i kategorii specjalności. Jeżeli oficer odchodził ze stanowiska, tracił stopień funkcyjny i przypisane do niego wynagrodzenie.

Powodowało to wiele zadrażnień i dlatego sprawa ta została ostatecznie uregulowana dekretem Prezydenta RP z 22.11.1943 o stopniach funkcyjnych (Dz.URP 12/43 poz. 37) i zarządzeniem RM z 12.12.1944 o uposażeniu i żołdzie w PSP i Pomocniczej Lotniczej Służbie Kobiet (Dz.URP 1/45). Przyczynami zadrażnień były sytuacje, w których np. kapitan i podporucznik latający jako piloci w dywizjonie mieli identyczne uposażenie, natomiast dowódca dywizjonu bez względu na posiadany stopień otrzymywał gażę majora (Sq. Leadera). Uposażenie to przestawał otrzymywać w momencie odejścia z dowództwa, pozostając przy swym wynagrodzeniu stałym (z zasady niższym) związanym ze stopniem a nie funkcją.

Co do spraw innych, związanych z tematem to ani problem emerytur, ani rent inwalidzkich nie został w PSP ustalony. Nikt ich nie otrzymał. Jedynym, mizernym zresztą gestem, było wypłacenie po wojnie polskim lotnikom tzw. „war gratitudy", notabene w dziesięciokrotnie niższej kwocie niż Brytyjczykom. Np. brytyjski pułkownik (w zależności od czasu służby) otrzymał 1000—1500 funtów, a polski 150—180 funtów. Wprawdzie władze brytyjskie w prowadzonych tuż po wojnie pertraktacjach z Inspektoratem Polskiego Lotniczego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia były skłonne przyznać emerytury i renty (odpowiednio niższe), ale tylko tym oficerom i podoficerom, którzy służyli zawodowo w polskim lotnictwie przed wojną. Spotkało się to z odmową Inspektoratu, który nie mógł się zgodzić na takie postawienie sprawy.

I jeszcze sprawa odznaczeń, która jest również obiegowo komentowana w sposób daleki od prawdy. Żaden z polskich lotników z PSP nie otrzymuje z ich tytułu ani pensa. Okazjonalne gratyfikacje przyznawane odznaczonym (np. z okazji rocznic Bitwy o W. Brytanię) również zdaniem brytyjskich władz lotniczych nie dotyczą polskich pilotów z PSP. Argumentacją jest, że służyli w PSP a nie w RAF i że nie byli Brytyjczykami.

Tak wygląda pełna cena walk PSP pod obcym niebem i na obcej ziemi. Polskich pilotów zabrakło również w alianckiej defiladzie zwycięstwa. Ci co ją oglądali, byli już cywilami. (Patrz wspomnienia ppłk W. Urbanowicza). Już nie byli bohaterami spod Maratonu, Trafalgaru, Marny. Stali się „uciążliwymi cudzoziemcami".

„Never in the field of human conflict, was so much owed by so many to so few" — powiedział swego czasu Winston Churchill. („Nigdy w sferze konfliktów ludzkich tak wiele nie zawdzięczano tak niewielu"). Bardzo prędko zapomniał, że właśnie Polacy w znacznej mierze przyczynili się do zwycięstwa „tych nielicznych". Pamięć ludzka jest niestety krótka i zawodna.

EDWARD KOCENT-ZIELIŃSKI

ŚLADAMI WRZEŚNIA

Od wielu lat, w ramach moich urlopów odwiedzam bitewne pola z września 1939 roku i miejsca ważniejszych wydarzeń tego pamiętnego miesiąca. Na bitewnych wrześniowych szlakach poszczególnych naszych armii czy ugrupowań można spotkać wiele śladów tych wydarzeń, a są to cmentarze, mogiły i pomniki żołnierzy polskich poległych w wojnie obronnej 1939 r., a także istniejące jeszcze niekiedy do dziś polskie schrony bojowe czy ślady okopów z września 1939. W niektórych miejscowościach (np. Mokra) zorganizowano też izby pamięci.

M.in. przemierzyłem i zwiedziłem, i to dość dokładnie, tereny wrześniowych walk odwrotowych naszej Armii „Łódź" — od Mokrej, Praszki, Złoczewa po Modlin i Zakroczym.

W związku z kolejną rocznicą września sporządziłem w oparciu o własne obserwacje, spostrzeżenia i notatki z tych moich wędrówek oraz odpowiednią literaturę (przewodniki) „Wykaz cmentarzy, mogił i pomników żołnierzy polskich Armii „Łódź", poległych w wojnie obronnej w 1939 r.", i wykaz ten pozwalam sobie przekazać pod adresem redakcji tygodnika „Odgłosy". Być może, będzie ten wykaz w jakimś celu i w jakimś stopniu przydatny, a może potraktujecie go państwo jako pewnego rodzaju ciekawostkę.

Jeśli chodzi o zdjęcia, na każdym miejscu, które odwiedziłem, zrobiłem oczywiście po kilka ujęć, a do wykazu załączyłem po jednym. Negatywy posiadam. Podobnie też posiadam oryginał (kalkę) sporządzonej przeze mnie mapki, której odbitka „wypadła" dość słabo.

Nadmieniam, że uczestnikiem opisywanych wydarzeń nie byłem.

Łączę wyrazy szacunku z poważaniem

STANISŁAW ŚWIĄTKOWSKI
(Gliwice)

OD REDAKCJI: Obfity i ciekawy materiał dotyczący grobów poległych polskich żołnierzy otrzymaliśmy, za który serdecznie dziękujemy. Postaramy się wykorzystać zawarte tam informacje w naszej pracy redakcyjnej. Żałujemy, że w tej formie nie nadają się one do druku. Gratulujemy wyników ciekawej i żmudnej pracy.

JESZCZE RAZ O „MAŁOLETNICH"

Bardzo cenię uczciwą, rzeczową i uzasadnioną krytykę, zachowującą pewne normy etyczne i chętnie odbieram sprawdzone zarzuty, jako naukę dla unikania pomyłek w przyszłości, tym bardziej, że nie ma wśród nas ludzi nieomylnych. Natomiast nie zgadzam się z krytyką uszczypliwą, niesłuszną i nieuzasadnioną, obliczoną na ośmieszenie autora publikacji. Niestety, na ten drugi rodzaj krytyki natrafiłem w rubryce „Odgłosów", nr 38, z dnia 17 września 1983 r., „Polemiki — Listy — Opinie", której autorem jest p. Hubert Kazimierz Kujawa, a dotyczy mojej publikacji „Małoletni", drukowanej w numerze 35 „Odgłosów", z dnia 27 sierpnia br. Opinia p. Kujawy nabrzmiała od określeń: „autora poniosła fantazja", czy „...poniosła też wizja katastroficzna" albo w sensie sarkastycznym: „...z podziwu godną dokładnością" itp.

Zanim przystąpię do wyjaśnienia stawianych mi niesłusznie i bezpodstawnie zarzutów przez autora tej krytyki, oświadczam, że publikację „Małoletni" — poza wstępnym rysem historii szkoły — pisałem z autopsji, ponieważ byłem uczniem Szkoły Podoficerów Lotnictwa dla Małoletnich, najpierw w Świeciu n. Wisłą, a później w Krośnie n. Wisłokiem i osobiście przeżywałem z moimi kolegami epopeję wojenną od 1 września do 1 października 1939 r., a więc od pierwszych nalotów na lotnisko krośnieńskie do ewakuacji na wschód kraju, po zbombardowaniu lotniska w Krośnie. Tym samym odpieram pierwszy zarzut p. Kujawy, jakoby ppłk. obs. (a nie ppłk. pil inż.) Adam Julian Zaleski nie był do wybuchu wojny 1939 roku, komendantem Szkoły Podoficerów Lotnictwa dla Małoletnich. Nie wyobrażam sobie, abym jako uczeń szkoły (przez dwa lata) nie znał jej komendanta, którego zresztą podpisy mam na świadectwach szkolnych, na ostatnim z czerwca 1939 roku również. Wspominany przez p. Kujawę mjr. obs. Edmund Ostrowski był Dyrektorem Nauk w naszej szkole i nigdy nie pełnił funkcji jej komendanta, tym bardziej, że zastępcą ppłk. obs. Zaleskiego był mjr obs. Tadeusz Franciszek Dzierzgowski, który dowodził nami do ostatniego dnia września 1939 roku i wraz z nami dostał się do niewoli. Fakt, że komendantem SPLdM był ppłk. obs. Adam Zaleski potwierdzają również autorytatywne źródła, jak np.: wydana przez MON w roku 1978 praca zbiorowa „Z historii polskiego lotnictwa wojskowego 1918—1939", str. 180 oraz str. 592; opracowana i wydana w Anglii przez absolwenta SPLdM, stale tam mieszkającego Mieczysława Hasińskiego (M. M. Adama), w roku 1981 „Historia Szkoły Podoficerów Lotnictwa dla Małoletnich z Bydgoszczy, Świecia — Krosna 1930—1939", str. 9, 10, 33, 41, 51 i 57. Potwierdza to również w swoim Sprawozdaniu o sytuacji w Krośnie, w dniu 1 września 1939 roku, były mój dowódca eskadry szkolnej por. obs. Antoni Kaucz (w Anglii: kpt. obs. Antoni Kaucz — referent Lotnictwa Bombowego w Wydz. Studiów Operacyjnych Dowództwa Sił Powietrznych), datowanym w Londynie 29 stycznia 1945 roku, którego fotokopię oryginalnego rękopisu — przysłaną mi z Anglii w roku 1960 — posiadam.

P. Kujawa pisze: „Autor z podziwu godną dokładnością stwierdza, że nalot na lotnisko w Krośnie nastąpił o godzinie 6.05 „w pogodny, słoneczny piątek" (sic!). Poza tym krytyk zaprzecza, jakoby lotnisko w Krośnie było bombardowane w dniu 1 września 1939 roku. Otóż podtrzymuję stwierdzenie, że pierwszy nalot na lotnisko krośnieńskie wykonany był w dniu 1 września o godz. 6.05 rano. Pomijając fakt, że po wybuchu pierwszych bomb odruchowo spojrzeliśmy na zegarki, przytaczam relacje źródłowe, najpierw ze sprawozdania w.w. kpt. obs. Antoniego Kaucza: „W 1-szym dniu Krosno zostało zbombardowane z lotu koszącego przez około 25 Do-17.. Atak rozpoczął się o godz. 6 05 min. rano. Wykonanych było 4 naloty na hangary i budynki. Spalone zostały 2 hangary: w 1-szym około 50 samolotów RWD, Karaś i inne, w 2-gim około 25 samolotów, przeważnie RWD. Ludzi zabitych i rannych b. mało". A oto relacja Mieczysława Hasińskiego w książce „Historia Szkoły...": „W piątek 1-go września, o godzinie 5-tej rano, trębacz jak zwykle odtrąbił pobudkę... Wschodzące słońce, z cienką przerywaną warstwą kumulusów wysoko na niebie, zapowiadało ciepły, przyjemny dzień... Nagle i zupełnie niespodziewanie, około 6-tej godziny.. wstrząsające eksplozje i ryk motorów nisko przelatujących samolotów" (str. 36). „...Szybko rozpoznano, że to były bombowce typu „Dornier" D-17..." (str. 37). Ppłk dypl. obs. Adam Kurowski w swojej książce: „Lotnictwo polskie w 1939 roku", wydanej przez MON w roku 1969, tak pisze pod datą 1 września: „Od wczesnych godzin porannych bombardowano lotnisko Rakowice (Kraków), Krosno i Moderowce (Jasło), gdzie nalotu dokonały 32 samoloty" (str. 160). Zaś na str. 167, pod tą samą datą: „Lotnictwo niemieckie trzykrotnie bombardowało lotniska pokojowe w Krośnie i Moderówce, należące do Centrum Wyszkolenia Podoficerów, gdzie zniszczono dużo sprzętu szkolnego. Straty w ludziach były minimalne". Przy ostatnim cytacie jest odnośnik do źródła: PSZ, t. I, cz. 2, str. 276.

Zdaniem p. Kujawy: „Opis atakujących z lotu koszącego Dornierów Do-17 nieco jest przesadzony. Po pierwsze: Dorniery Do-17 nie były przystosowane do działań z lotu koszącego, po drugie: Do-17 nie brały udziału w bombardowaniu Krosna". Do lotu koszącego nie musi być samolot przystosowany. Dziwne, że pisze to b. lotnik! Przecież lot koszący (lot na małych wysokościach) z powodzeniem może wykonać każdy samolot, od małej maszyny sportowej czy myśliwskiej do wielosilnikowych samolotów bombowych i transportowych. Czyż nasze dwusilnikowe „Łosie" nie atakowały niemieckich kolumn transportowych z lotu koszącego? A w Anglii, dwusilnikowe „Wellingtony" i czterosilnikowe „Lancastery" z lotu koszącego minowały porty i wybrzeża oraz walczyły z łodziami podwodnymi. Zaś czterosilnikowe „Liberatory" i „Halifaxy" dokonywały zrzutów zasobników z uzbrojeniem i zaopatrzeniem dla partyzantki oraz ruchu oporu, jak również nad powstańczą Warszawę, właśnie z lotu koszącego! Mimo że w relacjach o bombardowaniu Krosna, powyżej wspomniano już o Dornierach Do-17, odsyłam p. Kujawę do w.w. książki: ppłk obs. Kurowskiego, gdzie na str. 50 wymienia skład flot powietrznych Luftwaffe i wyposażenia poszczególnych pułków w samoloty — „4 flota — 77 pułk bombowy — Dorniery Do-17", a na str. 118 rejony bombardowania przez poszczególne formacje: „77 p. bomb. — Krosno i Moderowce (Jasło)".

Niezbitym dowodem bombardowania lotniska krośnieńskiego przez Dorniery Do-17, były przywiezione z okolicy Krosna na lotnisko dwa stateczniki kierunkowe Dorn ierów, strąconych przez lotniskową opl., na których oprócz swastyk i innych napisów, był wyszczególniony typ samolotu Do-17. Stateczniki te stały do 5.IX. (ewakuacja lotniska) przed budynkiem komendy, jako dekoracja i trofeum wojenne.

Nie wiem, skąd p. Kujawa zdobył informację o porannych mgłach nad Krosnem w pierwszych dniach września? W czasie pięciodniowej bytności na tym lotnisku (od 1—5.IX.) dni były słoneczne i pogodne, a żadnych mgieł nie widzieliśmy, jak również nie widzieliśmy ani jednego samolotu Junkers Ju-87B, tzw. stukasów, do bombardowania z lotu nurkowego, a tym bardziej Heinkli He-111 i to w zastraszającej ilości 88 maszyn! Tak licznie Niemcy nad nas nie przylatywali. Grupy bombardujące nasze lotnisko ograniczały się do 25—32 Dornierów Do-17!

Większość naszych samolotów zniszczono w hangarach podczas bombardowania, inne były zdemontowane i nie przypominam sobie, aby jakiekolwiek samoloty ewakuowano z Krosna do Dęblina albo Łucka. Przecież my, uczniowie załadowywaliśmy pociągi ewakuacyjne na stacji Krosno — dwa pociągi — po 4.IX.1939, kierowane na Kresy Wschodnie, ale w żadnym z nich nie było samolotów. Ładunek wagonów stanowiły ocalałe z bombardowania warsztatów i koszar, mniejsze maszyny ślusarskie, narzędzia, kilka silników lotniczych i kilkanaście śmigieł oraz zawartość magazynów mundurowych i uzbrojenia, radiostacje, amunicja, łóżka, szafki, biurka, a w ostatnim transporcie pozostałe zapasy prowiantowe z kuchni lotniskowej oraz namioty itp.

Przyznaję szczerze, że o grupie ewakuowanej z Łucka po 10.IX. w kierunku południowo-wschodnim, m. in. do Gródka Jagiellońskiego, dowiedziałem się dopiero z książki M. Hasińskiego: „Historia Szkoły...". Nasza eskadra wymaszerowała w kierunku północnym z Łucka przez Kiwerce — Kołki — Rafałówkę — Maniewicze — Kamień Koszyrski — Ratno — Szack — Włodawę do Hańska, gdzie nas internowały 1 października 1939 roku wojska radzieckie, a do Łucka nie wracaliśmy, jak grupa, o której pisze p. Kujawa.

Pisząc o najtragiczniejszym dniu 10 września, podczas bombardowania koszar w Łucku, nie miałem na myśli naszych strat, tj. „małoletnich", lecz straty wśród żołnierzy innych broni lądowych, zgrupowanych na wyższych kondygnacjach koszar, w których kwaterowaliśmy na parterze. W chwili rozpoczęcia nalotu przez Luftwaffe zdążyliśmy zbiec do piwnic, dzięki czemu nie ponieśliśmy dużo ofiar, natomiast na wyższych piętrach ofiary były poważne.

W posiadanym wykazie personelu SPLdM nie doszukałem się podanych przez autora krytyki, poległych uczniów i instruktorów naszej szkoły, a więc nimi nie byli. W Krośnie: uczeń strz. Rodak Piotr, Machura Wilhelm, por. obs. Kowalczyk Antoni, kpr. strz. rtg. Koczuba Florian, kpr. Stasik Wilhelm, a w Moderówce: Kowalczyk, Sabik Paweł, Sewerniak Stanisław, Suchodolski Franciszek, Zwoliński Władysław, kpr. Majcherek Stanisław. Natomiast p. Kujawa nie wykazał poległych uczniów SPLdM: w Moderówce — uczeń pil. Domagała Mieczysław i uczeń pil. Piórek Jan Franciszek, a w Gródku Jagiellońskim: uczeń strz. rtg. Ekiert Roman. Jak z powyższego wynika, to i autor krytyki również się „potknął"!

Mimo, że często dostrzegam w publikacjach, nawet renomowanych autorów, mniej lub bardziej rażące „potknięcia", nigdy nie krytykuję, nie będąc pewnym swoich racji. Boję się po prostu ośmieszyć. Dlatego szczerze życzę zwolennikom krytyki, aby najpierw upewnili się o swej racji w sprawdzonych i wiarygodnych źródłach, a nie krytykowali „na żywioł", bo ośmieszyć się łatwo, a to również jest przykre!

ZBIGNIEW JAN CHOJNACKI

■

W kręgu fantastyki

Metro Möbiusa

A. J. DEUTSCH

Wiadomość o tej zaimprowizowanej konferencji, w samotnym wagonie metra, nigdy nie dostała się na łamy gazet. Podobnie, jak nie dostała się na nie informacja o wynikach całonocnego czuwania w ciemnych i pokrzyżowanych tunelach. W ciągu całego następnego tygodnia Tupelo brał udział w jeszcze czterech, tyle że już bardziej oficjalnych, konferencjach z udziałem Kelvina Whyte'a i przedstawicieli władz miejskich. Na dwóch z nich obecni byli inni topolodzy. Ornstein został sprowadzony do Bostonu z Filadelfii, Kashta z Chicago, a Michaelis z Los Angeles. Nikt z trójki uczonych nie poparł w pełni wniosków Tupelo, choć Kashta zgodził się, iż może w tym coś być. Ornstein twierdził, że skończona sieć nie może mieć nieskończonej łączności, ale nie mógł tego udowodnić, podobnie jak nie mógł obliczyć łączności systemu. Obstawał przy tym, że jeśli pociągu nie można odnaleźć w systemie, to w takim razie system musi być otwarty, a jeśli nawet nie jest otwarty w chwili obecnej, to kiedyś musiał być taki.

Im głębiej jednak Tupelo analizował problem, tym większego nabierał przekonania, że jego pierwszy wniosek był słuszny. Z punktu widzenia topologii system przedstawiał całość złożoną z wielowymiarowych sieci, z których każda posiadała nieskończoną liczbę przerw. Ostatecznej budowy tej nowej przestrzenno-nadprzestrzennej sieci nie udało mu się jednak wyjaśnić. Przez cały tydzień zajmował się wyłącznie tym. Później, inne obowiązki kazały mu odłożyć sprawę na bok. Postanowił wrócić do niej później, na wiosnę, kiedy skończą się zajęcia ze studentami.

Tymczasem system metra działał tak, jakby nic w ogóle się nie stało. Generalny dyrektor i przedstawiciel burmistrza prawie zapomnieli o nocnych poszukiwaniach, a w każdym razie nieco inaczej interpretowali to, co widzieli i to, czego nie widzieli. Ale gazety i społeczeństwo nadal snuły nieprawdopodobne przypuszczenia i wywierały nacisk na Whyte'a.

Do sądu wpłynęło kilka pozwów przeciwko dyrekcji metra ze strony osób, które straciły krewnych. W sprawę wmieszał się rząd i postanowił przeprowadzić własne, szczegółowe śledztwo. W pomieszczeniach Kongresu dały się słyszeć wzajemne oskarżenia. Do prasy przeciekła dość zniekształcona wersja wydarzeń doktora Tupelo. Ten jednak zachował milczenie i wkrótce o wszystkim zapomniano. Mijały tygodnie, później miesiące. Rządowe dochodzenie zostało ukończone. Informacje o nim przewędrowały z pierwszych stron gazet na drugie, potem na dwudzieste trzecie, by wreszcie w ogóle przestać się pojawiać. Zaginieni nie powracali i w większości wypadków już ich nie opłakiwano. Pewnego dnia, w środku kwietnia, Tupelo wsiadł do metra, by odbyć podróż na trasie Charles Street—Harvard. Siedział zdenerwowany w przodzie pierwszego wagonu i obserwował tory oraz szare ściany tunelu, rozstępujące się przed składem. Dwukrotnie pociąg stawał przed czerwonym światłem, a Tupelo odkrył, iż zastanawia się nad tym, gdzie też znajduje się ten drugi pociąg? Po prostu przed nimi, czy też w innym wymiarze? Żywił nadzieję, iż jego założenie, że drugi pociąg nie zniknie, nie sprawdzi się i że „pociąg, w którym się znajdował, przeskoczy do innego wymiaru. Przyjechał jednak na „stację Harvard punktualnie. Tylko jemu jednemu spośród pasażerów podróż ta wydała się podniecająca.

W następnym tygodniu odbył jeszcze jedną podróż metrem, potem następną. Jako eksperymenty zakończyły się one niepowodzeniem i nie były tak denerwujące jak ta pierwsza. W połowie kwietnia Tupelo zaczął wątpić w słuszność swojej teorii. Gdzieś w maju powrócił do zarzuconego zwyczaju podróżowania metrem na trasie między jego mieszkaniem przy Beacon Hill a gabinetem na Harvardzie. Podczas podróży zajmował się lekturą porannej gazety lub artykułów w „Reviews of Modern Mathematics".

Ale pewnego ranka podniósł wzrok znad gazety i uświadomił sobie, że coś jest nie tak. Stłumił strach, który ścisnął mu gardło i szybko wyjrzał przez okno. Światła wydobywały z mroku czarne i szare smugi — plamy na przemykających obok ścianach tunelu. Koła wystukiwały znajomy rytm. Pociąg minął zakręt i przeciął linię, którą pamiętał. Chaotycznie przypominał sobie, jak wsiadł do metra na stacji Charles, dziewczynę z plakatu reklamującego lody na stacji Kendall, spotkanie z kierującym się na południe pociągiem do stacji Central.

Spojrzał na siedzącego obok mężczyznę z gotowym posiłkiem w pudełku na kolanach. Inne miejsca były zajęte, koło tuzina osób stało. Blady młodzieniec, łamiąc przepisy, palił przy przednich drzwiach papierosa. Dwie dziewczyny, z tyłu za nim, dyskutowały o spotkaniu klubowym. Przed nim młoda kobieta beształa swego małego synka. Plakat nad jego głową wychwalał pomarańcze z Florydy.

Zerknął ponownie na mężczyznę siedzącego dwa siedzenia przed nim i stłumił ogarniający go strach. Przyglądał się mu Któż to taki? Brunet o siwiejących włosach, okrągława głowa, blada cera, rysy twarzy raczej przeciętne, gruby kark, szare ubranie w drobne prążki. Kiedy Tupelo przyglądał się mężczyźnie, ten odgonił muchę od lewego ucha i zakołysał się lekko wraz ze składem. Jego gazeta złożona była prostopadle. Jego gazeta! Ona była z marca!

Doktor Tupelo obrócił się w kierunku sąsiada. Pod pudełkiem z obiadem leżała gazeta. Aktualna. Spojrzał za siebie. Młody mężczyzna trzymał „Transcript" otwarty na stronach z informacjami sportowymi. Był on z 4 marca. Kilku pasażerów trzymało gazety sprzed dziesięciu tygodni. Tupelo zerwał się z miejsca. Mężczyzna stojący w przejściu między siedzeniami zaklął, gdy matematyk przeciskał się obok niego. Ten dotarł do końca wagonu i pociągnął za przewód biegnący nad oknami. Zazgrzytały hamulce i pociąg zatrzymał się. Przestraszeni pasażerowie popatrzyli na Tupelo z wrogością. Z tyłu wagonu otworzyły się drzwi i do środka wpadł wysoki, chudy mężczyzna w mundurze. Tupelo odezwał się pierwszy.

— Pan Dorkin?! — zawołał porywczo.

Konduktor znieruchomiał na moment, szukając właściwych słów.

— Poważny wypadek, Dorkin! — powiedział Tupelo głośno, by przekrzyczeć narastający szmer niezadowolenia pasażerów. — Natychmiast sprowadź tu Gallaghera!

Dorkin wyciągnął rękę i pociągnął cztery razy za przewód.

— Co się stało? — zapytał.

Tupelo zignorował to pytanie i zadał własne.

— Gdzie pan był, Dorkin?

Na twarzy konduktora odmalowało się zmieszanie.

Rys. Krzysztof Wieczorek

— W następnym wagonie, ale...

Tupelo przerwał mu. Zerknął na zegarek, po czym wrzasnął do pasażerów.

— Jest dziesięć po ósmej, 17 maja!

Jego informacja uciszyła na moment narastającą wrzawę. Pasażerowie wymieniali pełne niedowierzania spojrzenia.

— Spójrzcie na swoje gazety! — krzyknął Tupelo. — Wasze gazety!

Pasażerowie zaczęli szeptać. Kiedy porównali swoje gazety, zaczął podnosić się zgiełk. Tupelo wziął Dorkina pod ramię i poprowadził w tył wagonu.

— Która godzina? — zapytał.

— 8.21 — odpowiedział Dorkin spoglądając na zegarek.

— Otwórz drzwi — powiedział Tupelo pokazując głową na drzwi. — Wypuść mnie. Gdzie telefon?

Dorkin podporządkował się poleceniom Tupelo. Pokazał mu też niszę w ścianie tunelu, w odległości stu jardów przed składem. Tupelo zeskoczył na ziemię i pobiegł wąską szczeliną pomiędzy wagonami a ścianą.

— Zarząd ruchu! — warknął do telefonistki. Kiedy czekał kilka sekund na połączenie, ujrzał, że za jego pociągiem, na czerwonym świetle, zatrzymał się inny pociąg. Po ścianie tunelu zaczęły biegać światła reflektora. Ujrzał też nogi Gallaghera biegnącego tunelem po drugiej stronie składu numer 86.

— Z Whytem — rozkazał, gdy zgłosił się zarząd ruchu — Pilnie!

Chwila zwłoki. W pociągu za jego plecami narastał zgiełk. W głosach, jakie się nań składały, był gniew, strach, histeria.

— Hallo! — wrzasnął — Hallo! Z Whytem! Pilnie!

— Ja odbiorę — powiedział męski głos na drugim końcu linii. — Whyte jest zajęty!

— Odnalazł się numer 86! — zawołał Tupelo. — Pomiędzy stacjami Central i Harvard. Nie wiem, kiedy dokonał przeskoku. Wsiadłem do niego dziesięć minut temu, przy Charles, ale, że to on, połapałem się dopiero minutę temu.

Mężczyzna na drugim końcu kabla z trudem nabrał powietrza.

— A pasażerowie? — wychrypiał.

— Ci, którzy pozostali, są w porządku — powiedział Tupelo. — Część musiała już wysiąść przy Kendall i Central.

— Gdzie byli?

Tupelo odjął słuchawkę od ucha i zerknął na nią szeroko otwartymi ustami. Następnie rzucił ją na widełki i pobiegł w kierunku otwartych drzwi wagonu. W końcu porządek został przywrócony i po pół godzinie pociąg wjechał na stację Harvard. Na stacji policja otoczyła wszystkich pasażerów ochronnym kordonem. Whyte, oczywiście, przybył na stację przed przyjazdem pociągu. Tupelo odnalazł go na peronie.

Whyte wykonał ręką ruch w stronę pasażerów.

— Naprawdę nic im nie jest? — zapytał.

— Absolutnie nic — odpowiedział matematyk. — Nie wiedzą, gdzie byli.

— Widział pan profesora Turnbulla — zapytał generalny dyrektor.

— Nie widziałem go. Prawdopodobnie wysiadł, jak zwykle na stacji Kendall.

— Niedobrze — powiedział Whyte. — Chciałbym się z nim zobaczyć.

— Ja również — odpowiedział Tupelo. — A propos, czas zamknąć linię Boylston.

— Za późno — oznajmił Whyte. — Dwadzieścia pięć minut temu, pomiędzy Eggleston a Dorchester, zniknął skład numer 143.

Tupelo spojrzał na tory.

— Musimy znaleźć Turnbulla — powiedział Whyte.

Tupelo spojrzał na Whyte'a i uśmiechnął się słabo.

— Czy pan naprawdę sądzi, że Turnbull wysiadł z tego pociągu przy Kendall? — zapytał.

— Oczywiście! — odpowiedział Whyte. — A gdzieżby indziej?

Przekład:
MICHAŁ SIWIEC

Las na autostradzie

ITALO CALVINO

Zimno ma tysiące postaci i tysiące sposobów poruszania się po świecie. Nad morzem przebiega jak stado koni i przenika w szczeliny nie opalonych domów.

Pewnego wieczoru, kiedy skończyły się ostatnie gałęzie, cała rodzina Marcovalda, opatulona po szyję, patrzyła na żar dogasający w piecu, a z ich ust, za każdym oddechem, unosiły się obłoczki. Nie odzywali się już ani słowem: obłoczki mówiły za nich. Z ust żony Marcovalda wydostawały się najdłuższe — tak długie jak westchnienia — dzieci, zamyślone, wydmuchiwały je jak bańki mydlane, a Marcovaldo wypuszczał je miarowo w stronę sufitu, co przypominało owe pomysły, które początkowo wydają się cudowne, potem rozpierzchają się nagle przy pierwszym zetknięciu z rzeczywistością.

Wreszcie Marcovaldo postanawia:

— Idę po drzewo, kto wie, może coś znajdę.

Włożył cztery czy pięć gazet pod marynarkę i koszulę, ukrył pod płaszczem dużą, zębatą piłę i wyszedł nocą, odprowadzany długimi i pełnymi nadziei spojrzeniami swoich bliskich.

Iść po drzewo do miasta — to się tak mówi.

Marcovaldo skierował się natychmiast w stronę tej części ogrodu miejskiego, która znajdowała się pomiędzy dwiema ulicami. Wszystko tchnęło pustką.

Marcovaldo przyglądał się uważnie nagim roślinom, studiując każdą z osobna i myśląc o rodzinie, która oczekiwała go drżąc z zimna...

Mały Michelino szczękając zębami czytał zbiór bajek wypożyczony ze szkolnej biblioteki. Było tam opowiadanie o chłopcu, synu drwala, który wychodził z siekierą, by narąbać drzewa w lesie.

— Oto gdzie trzeba iść! — powiedział Michelino. — Do lasu! Tam drzewa nie zabraknie!

Urodzony i wychowany w mieście nie widział jednak nigdy lasu, nawet z daleka. Jak rzekł, tak zrobił. Umówił się z braćmi; jeden wziął siekierę, drugi — hak, trzeci — linę, pożegnali matkę i udali się na poszukiwanie lasu.

Idą przez miasto rozświetlane lampami i widzą tylko domy, ani śladu lasu. Spotykają jakiegoś zapóźnionego przechodnia, ale nie śmią go zapytać, gdzie może być las.

Tak przybyli tam, gdzie kończą się domy, a ulica przechodzi w autostradę. Po bokach autostrady dzieci ujrzały las: gęsta roślinność osobliwych drzew utrudniała widok na nizinę. Drzewa te miały pnie cienkie i delikatne, wyprostowane lub ukośne, a korony płaskie i szerokie, najdziwniejszych kształtów i barw, gdy przejeżdżające auta oświetlały je reflektorami. Gałęzie w kształcie tubek z pastą do zębów, twarzy, sera, rąk, brzytwy lub butelki, a nawet dojnej krowy czy opony, ozdobione były liśćmi liter alfabetu.

— Wiwat! — krzyknął Michelino — to jest las!

I bracia spojrzeli zaczarowani jak księżyc przebłyskuje między tymi dziwnymi cieniami. „Jak pięknie..." — ale Michelino natychmiast przypomniał o celu wyprawy — o drewnie. Obalili zatem drzewo w kształcie kwiatu żółtego pierwiosnka, porąbali je na kawałki i zanieśli do domu.

Gdy Marcovaldo wrócił zawstydzony, ponieważ niczego nie znalazł, zastał już rozpalony piec.

— Gdzieście to znaleźli? — wykrzyknął wskazując na resztki afisza reklamowego, który będąc z dykty spłonął błyskawicznie.

— W lesie — odparli chórem bracia.

— W jakim lesie?

— W tym przy autostradzie. To niedaleko!

Ponieważ znów nie było drewna, a rzecz była taka prosta, pozostawało tylko pójść za przykładem dzieci. Marcovaldo udał się na autostradę.

Policjant Astolfo, ze służby drogowej, był nieco krótkowzroczny i jadąc na motorze, podczas pełnienia obowiązków, a zwłaszcza w nocy, powinien był nosić okulary. Ale nie wspominał o tym ani słowem, obawiając się komplikacji w karierze.

Owego wieczoru doniesiono, że banda urwisów niszczy na autostradzie ogłoszenia reklamowe. Policjant Astolfo wyruszył, by dokonać kontroli.

Po bokach autostrady gęsty las dziwnych, rozgestykulowanych znaków reklamowych towarzyszy Astolfowi. Bada je po kolei i wytężając wzrok widzi nagle kogoś wspiętego na znaku reklamowym. Astolfo hamuje. — Ej, co tam robisz, ty?! Złaź szybko na dół!

Tamten nawet nie drgnie i stroi głupie miny pokazując mu język. Astolfo zbliża się i widzi, że to reklama pewnego gatunku sera z pyzatym, oblizującym się dzieckiem.

— Dobra, dobra — mruczy Astolfo i rusza szybko z miejsca.

Po jakimś czasie, w cieniu kolejnego ogłoszenia, rozbłyskuje smutna, przestraszona twarz.

— Stać tam! Nie próbujcie uciekać!

Ale nikt nie ucieka: to twarz, wykrzywiona bólem, wymalowana obok stopy pokrytej nagniotkami — reklama środka na odciski.

— O przepraszam — mówi Astolfo i jedzie dalej.

Afisz reklamowy pastylek przeciw migrenie przedstawiał olbrzymią głowę, z rękami założonymi z bólu na oczach. Astolfo nadjechał i reflektor oświetlił Marcovalda, który wdrapał się na wierzchołek i usiłował odpiłować płat reklamy. Oślepiony światłem Marcovaldo robi się mniejszy, całkiem mały i nieruchomieje uczepiony gdzieś za uchem wielkiej głowy, podczas gdy piła dobrnęła już do połowy jej czoła.

Astolfo przygląda się dobrze i mówi w końcu:

— A tak, pastylki Stappa! Skuteczne! Dobrze pomyślane! Ten człowiek z piłą tam, na górze oznacza ból głowy, który rozcina czaszkę. Od razu na to wpadłem! — I odjeżdża zadowolony.

Wszystko staje się ciszą i chłodem. Marcovaldo wydaje westchnienie ulgi, poprawia się na niewygodnym miejscu i podejmuje pracę. W rozświetlone księżycem niebo ulatuje tłumione zgrzytanie piły wdzierającej się w drewno.

Tłum.: **MAREK BATEROWICZ**

1 Coś z historii

Stąd Jagiełło wyruszył pod Grunwald

Wojnę polsko-krzyżacką, nazywaną później w tradycji historycznej „wielką", rozpoczął zakon najazdem na ziemię dobrzyńską w roku 1409. Działania wojenne zostały jednak przerwane rozejmem. Nastał okres przygotowań do nowych starć zbrojnych. Do udziału w tych przygotowaniach i udziału w przyszłej wojnie przyłączyli się książęta mazowieccy (dość późno Siemowit IV). Nie zabrakło również w szeregach polskich części rycerstwa śląskiego, które stanęło pod chorągwią ziemi wieluńskiej.

Rozpoczęto gromadzenie żywności na wyprawę krzyżacką.

Zgodnie z planem wojska małopolskie miały się zebrać w dniu 24 czerwca 1410 roku w Wolborzu — mieście odgrywającym coraz to większą rolę polityczną, gospodarczą i komunikacyjną. Był on bowiem położony na skrzyżowaniu ważnych i starych dróg o znaczeniu ponadlokalnym, które łączyły Mazowsze z południową częścią Sieradzkiego, Wieluńskiem i Śląskiem, Ruś z Wielkopolską i Pomorzem Zachodnim oraz Pomorze Gdańskie z Małopolską i Węgrami. W Wolborzu odbywały się synody i zjazdy państwowe. Toteż nie przypadkiem Jagiełło kilkakrotnie wyznaczał Wolbórz jako punkt zborny naszych sił zbrojnych, wyruszających przeciw Krzyżakom. Poza wspomnianą koncentracją w roku 1410, zbierały się tu także wojska w latach: 1409, 1414, 1419, i 1422.

W dniu 24 czerwca 1410 roku zjawia się w Wolborzu król Władysław Jagiełło, by stanąć na czele zebranego tutaj rycerstwa małopolskiego i zaciężnych oddziałów czeskich. Na zwołanej naradzie dostojników omawiano sposoby walki z nieprzyjacielem. Rano 26 czerwca do obozu polskiego w Wolborzu przybyło poselstwo z Węgier. Pośrednicy węgierscy zaproponowali naszemu monarsze przedłużenie rozejmu z Krzyżakami (który wygasł 24 czerwca „po zachodzie słońca") do dnia 4 lipca wieczorem, na co Jagiełło wyraził zgodę, gdyż ułatwiło to mu dokonanie w spokoju koncentracji oddziałów pod Czerwińskiem.

Po południu 26 czerwca nasze wojska przybyły z Wolborza na pola wsi Lubochnia, zatrzymując się tu na nocleg. Król, nakazawszy rozbić obóz, dokonał przeglądu hufców. Nazajutrz wojsko wyruszyło na północ, zatrzymując się na noc z 27 na 28 czerwca w Wysokienicach, a z 28 na 29 czerwca w Samicach (zwanych wówczas Sejmicami) nad rzeką Rawką. 29 czerwca oddziały Jagiełły dotarły do Kozłowa nad Bzurą, gdzie przybył gońiec od wielkiego księcia Witolda z wiadomością, że armia litewsko-ruska stoi przy ujściu Narwi do Buga i z prośbą o przysłanie kilku chorągwi polskich dla osłony przeprawy przez rzekę. Król spełnia prośbę i w tymże dniu wysyła Witoldowi 12 chorągwi.

Nasze wojsko, ciągnąc przez Sochaczew i Brochów, dociera 30 czerwca do Śladowa, położonego po lewej (południowej) stronie Wisły, w pobliżu Czerwińska. Tu, w miejscu największego zwężenia koryta rzeki, po przerzuconym moście pontonowym, osiąga prawy (północny) brzeg Wisły. Części mostu wykonane zostały w największej tajemnicy w okolicy Kozienic, a następnie spławione rzeką do Czerwińska. Było to poważne osiągnięcie, świadczące o wysokim poziomie polskiej techniki wojennej. Most, mający około 500 m długości, zbudowano bardzo solidnie. Nasz wielki historyk — Jan Długosz z podradomszczańskiej Brzeźnicy rodem — pisze, że „wszystko wojsko królewskie suchą nogą przeszło Wisłę i najcięższe działa po nim przeprowadzono, a most ani drgnął pod ich ciężarem".

Wojsku, podążającemu pod Czerwińsk przez tereny obecnych województw piotrkowskiego, skierniewickiego i skrawek warszawskiego, towarzyszyła bardzo długa kolumna taboru. Oddziały rycerskie wraz z tym taborem przeprawił się przez most na Wiśle w ciągu niespełna trzech dni od 30 czerwca do 2 lipca. Spod Czerwińska wojsko małopolskie — po połączeniu się z chorągwiami książąt mazowieckich, hufcami zaciężnymi, rycerzami z Wielkopolski i innych ziem polskich oraz z armią litewsko-ruską wspomaganą przez oddział Tatarów — ruszyło 3 lipca w kierunku Grunwaldu.

15 lipca 1410 roku na polach grunwaldzkich załamała się potęga krzyżacka.

W roku 1960, w 550 rocznicę wymarszu wojsk Jagiełły z Wolborza na bitwę grunwaldzką, wzniesiono przed wolborskim pałacem pomnik upamiętniający to ważne w naszych dziejach wydarzenie.

HENRYK SZUBERT

2 Lewym okiem

Zawsze po— środku...

Dzisiejszy felieton będzie trochę nietypowy. Po prostu przeczytałem właśnie wydaną orzed półwieczem, w 1933 roku, książkę p.t. „Roda Roda i czterdziestu obwiesiów" („Roda Roda und 40 Schurken") i wynotowałem z niej parę zabawnych myśli, którymi mam ochotę podzielić się z czytelnikami.

Roda Roda to pseudonim austriackiego pisarza — satyryka, który właściwie nazywał się Sandor Friedrich Rosenfeld. Urodził się w 1827 roku w Słowenii, należącej wówczas do Austro-Węgier, jako syn właściciela ziemskiego. Był dziennikarzem, oficerem cesarsko-królewskiej armii, korespondentem wojennym na Bałkanach i w Rosji. Przed przyłączeniem Austrii do Trzeciej Rzeszy wyemigrował i zmarł w sierpniu 1945 roku w Nowym Jorku. Pisał prawie wyłącznie krótkie humoreski o cienkim, ostrym dowcipie, wyśmiewając mieszczańskie gusty i przywary, wydał wiele zbiorów tych satyr wznawianych wielokrotnie i wciąż chętnie czytanych w krajach niemieckojęzycznych. Rodzajem dowcipu przypominał naszego Brunona Winawera i tak jak on szczególnie często atakował środowiska literackie i artystyczne za ich zakłamanie, snobizm i wielosłowny, a płytki patos.

„Czego najsilniej domaga się młodzież? — pisał w swych „Czterdziestu obwiesiach". — Prawa do popełniania tych samych głupstw, które myśmy popełniali".

Jak dobrze pomyśleć, to chyba tak właśnie jest. I chyba właśnie dlatego tak mało ludzkość wyciąga wniosków ze swych błędów: po prostu chce je popełniać w każdym pokoleniu na nowo...

„Powinno się raz żyć na próbę. A dopiero potem — naprawdę" — pisze Roda Roda. Ba!

A oto parę dalszych „złotych myśli":

„Z dwóch polityków należy wybrać mniejszego".

„Są dwie piękne rzeczy na świecie: pamiętać, i zapomnieć. Są też dwie bardzo brzydkie: pamiętać i zapomnieć..."

Albo taki znakomity pomysł na nową grę salonową: gdy towarzystwo zaczyna się nudzić, inteligentna pani domu rozdaje gościom jawajskie sztylety. Każdy gość otrzymuje polecenie zaciukania dwóch najnudniejszych typów. Kto się pomyli — daje fant...

No i typowe dla Rody Rody żarty o literaturze: „Humor — to trawienie sytych. Satyra: krzyk głodnych."

„Satyra to wiedza, która się zdenerwowała."

„Literatura: koncert ślepych dla głuchych."

„Młodzienic z rozwianą czupryną planuje pisanie wielkich tragedii.

Po latach — w milczeniu gładzi łysinę starszy pan jako redaktor działu miejskiego w gazecie."

„Odpisać z jednej książki — to plagiat. Z dwóch książek — esej. Z trzech — rozprawa doktorska. Odpisać z czterech książek, to piąta uczona książka..."

„Mężczyzna sam — liryka. Dwóch mężczyzn — ballada. Mężczyzna i kobieta — nowela. Dwie kobiety i mężczyzna — powieść. Dwóch mężczyzn i kobieta — dramat. Dwóch mężczyzn i dwie kobiety — komedia".

Ta ostatnia maksyma zdolna jest w moim przekonaniu zastąpić niejedną rozprawę naukową o rodzajach literackich. Czy to nieprawda? Gdyby na wyspie Robinsona pojawiła się kobieta, byłby niewątpliwy dramat. A tak, z samym Piątaszkiem mamy coś pośredniego między liryką a balladą...

Zresztą o prawdzie też miał Roda Roda specyficzne zdanie: „Prawda jest jak psie łajno. Zawsze leży pośrodku."!

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3 Nagłe zastępstwo

Kto został w śród— mieściu

W latach sześćdziesiątych, kiedy Wrocław był w takiej fazie odbudowy, iż mógł swym kształtem urbanistycznym przypominać (w sensie rozmieszczenia tzw. substancji, niekoniecznie w sensie architektonicznym) miasto przedwojenne, grupa socjologów z Uniwersytetu Wrocławskiego dokonała oryginalnego eksperymentu — opierając się na pracach socjologów niemieckich okresu międzywojennego stworzyła coś, co nazywać można by socjologicznym planem miasta w okresie lat trzydziestych, następnie na ten swoisty plan nałożyła plan współczesny, z lat sześćdziesiątych. Wynik był rewelacyjny: Miasto przeorane bombami jak rzadko które, przeorane także pługiem historii jak rzadko które. Miasto, leżące w granicach innego państwa, zasiedlone przez inny naród o odmiennej kulturze, zachowało, czy raczej odtworzyło swoje oblicze społeczne — tam, gdzie przed wojną były dzielnice proletariackie po wojnie mieszkali robotnicy, tam gdzie grupowała się inteligencja niemiecka zamieszkali inteligenci polscy, tam gdzie gnieździł się niemiecki lumpenproletariat zamieszkał po wojnie polski, swojski „margines społeczny"!

Nie wiem, czy na przedwojennym planie miasta zaznaczono dzielnice burżuazji. Ciekawe, kto dziś tam mieszka?

Otóż dokonanie takiego urbanistycznego i socjologicznego eksperymentu jest w Łodzi raczej trudne do zrobienia. Choćby dlatego, że w międzywojennej Łodzi nikt na własne oczy nie widział żywego socjologa...

Gdyby jednak udało się takiej pracy dokonać, jej wynik można przewidzieć z góry. Będzie akurat odmienny od efektów pracy socjologów wrocławskich.

Znam z opowiadań starszych łodzian, że śródmieście (co w Łodzi znaczy: Piotrkowska od Placu Wolności do Głównej, dziś Aleja Mickiewicza oraz kilka przecznic Piotrkowskiej, gdzieś do wysokości najbliższych ulic równoległych do Piotrkowskiej to była dzielnica — przed pierwszą światową — elegancka co się zowie. Wprawdzie źle oświetlona i kiepsko brukowana, ale za to w niej były eleganckie sklepy, restauracje i kawiarnie, to tu przechadzali się wyelegantowani Lodzermensche. W godzinach popołudniowych i wieczornych robotnica w chuście nie na głowie przewijała się rzadko i nieśmiale, robotnik w swojej zniszczonej bluzie czuł się tu nieswojo, a przedmiejski lump swoją elegancją typu „kaszkiet w kratkę" budził śmiech...

Śródmieście było dla elity. Dla robotników były Bałuty, Widzew, Chojny...

Dziś pojęcie „śródmieście" ma w Łodzi inny sens. Oznacza praktycznie całą starą Łódź, która jeszcze pozostała. To śródmieście otoczone jest wianuszkiem nowych dzielnic. Nie przypominam sobie statystyki, ale tak na oko co najmniej sześćdziesiąt procent łodzian mieszka w tych nowych, osiedlach.

Kto zatem mieszka w śródmieściu?

Nie chciałbym nikogo obrażać (sam zresztą mieszkam w centrum), ale gołym okiem widać, że śródmieście jak żadna dzielnica w Łodzi zasiedlone jest właśnie przez tzw. margines. Tu mieszkają ludzie, którzy nie dołożyli wysiłku, aby uzyskać nowe, z wygodami, mieszkanie na Teofilowie czy Widzewie-Wschodzie, tu mieszkają w znacznym procencie wyeksmitowani...

Na przedmieściach mieszkają porządni ludzie, w śródmieściu — powtarzam: nie wyłącznie! — mieszkają męty. Tu roi się od pijackich melin, tu działają złodziejaszki i prostytutki, tu chyba rozgrywa się większość mordobić, awantur, napadów itp.

W studenckich moich czasach (wcale nie tak dawnych) zdarzało mi się przesiedzieć noc z dziewczyną na parkowej ławce i słuchać słowików. Było to nierozsądne (czerwcowa sesja egzaminacyjna), ale nie było niebezpieczne. Dziś, pomijając brak słowików, wejście do parku Sienkiewicza czy Staszica po zapadnięciu zmroku jest aktem heroizmu. Przejście sympatycznym skadinąd Pasażem ZMP w godzinach wieczornych jest zadaniem tylko dla licencjonowanych karateków i bokserów, ba, promenowanie Piotrkowską już po godzinie dziewiątej wieczór w okolicach Hotelu „Grand" jest czynnością ryzykowną i nie pozbawioną wielu emocji.

Pisał w latach pięćdziesiątych Poeta: „Lud wejdzie do śródmieścia". Wszedł. Następnie wyszedł, bo się przeprowadził na nowe osiedla. Została Sodoma i Gomora.

Wyrazy współczucia kierownictwu Dzielnicowego Urzędu Spraw Wewnętrznych Łódź-Śródmieście składa

ANDRZEJ KAROL

4 Sport

Miało być zupełnie inaczej

Miało być tak. Szansę dawano tylko drużynie RTS Widzew. Poznański Lech miał przepaść, uznano bowiem, że Athletic Bilbao to znakomity zespół i Lech musi w starciu z nim odpaść już w pierwszej rundzie. Piłkarze Lechii marzyli o tym, aby Juventus ich zlekceważył, bo to może dać im szansę na niską przegraną, a może nawet na remis. Tak marzyli kibice, tak wypowiadali się specjaliści, takie układano scenariusze. A życie lubi płatać figle. I spłatało.

Przede wszystkim zawiedli piłkarze Widzewa. Coś mi się zdaje, że po prostu zlekceważyli przeciwnika. Zdarzało się im to już parę razy i zawsze z takim samym rezultatem — remisowym. Za dobra to bowiem drużyna, żeby pozwoliła sobie w takim wypadku strzelić gola i przegrać, ale też nie na tyle jeszcze dobra, aby mogła pozbierać się na boisku i dać radę zlekceważonemu przeciwnikowi. Ten bowiem, czując, że Widzew nie jest taki groźny jak go malowano, zaczyna sobie wcale nieźle poczynać.

Teraz, w następnym meczu z Elfsborg Boras, trzeba będzie wystąpić na boisku obcym, z całym szacunkiem dla przeciwnika i pokonać go, co — nie oszukujmy się — nie będzie wcale takie łatwe. Przeciwnik będzie miał dodatkowy atut — własne boisko, własną publiczność i szansę na awans. Jak sobie piłkarze Widzewa z tym poradzą? Nie mam złudzeń, że drużynie przyda się szczera męska rozmowa i solidny rachunek sumienia!

Poznańscy kolejarze mieli najwyżej zremisować z baskijskimi piłkarzami, a wygrali. Było to zaskoczeniem zarówno dla kibiców Lecha, jak i dla kibiców Athletic Bilbao. Mogę podejrzewać, że piłkarze z kraju Basków postąpili podobnie jak piłkarze z miasta Lodzi — zlekceważyli przeciwnika. Oni — znani przecież szeroko na europejskich stadionach — mogliby się bać przede wszystkim piłkarzy Widzewa. Wiadomo, widzewiacy dawali już sobie radę z różnymi renomowanymi zespołami, ale żeby bać się jakiegoś tam, mało znanego Lecha z Poznania. No, i przekonali się, że najgorzej jest nie docenić przeciwnika. Lech natomiast pokazał, że mistrzowski tytuł traktuje zupełnie poważnie, że to nie był przypadek i chce jeszcze powalczyć na międzynarodowych boiskach. W lidze zresztą też przewodzi i piłkarze Widzewa, jeśli myślą o odzyskaniu mistrzowskiego tytułu, to muszą solidnie popracować. Sama dobra sława i sympatia kibiców nie wystarczy! Zresztą na kibiców nie ma co tak znów liczyć, ale do tego jeszcze wrócę. Lechowi życzę sukcesu w Hiszpanii i awansu do następnej kolejki!

— Lechia nie jest temu winna — powiedział Zbigniew Boniek po turyńskim meczu. — Jeżeli w kraju lekceważy się pucharowe rozgrywki, muszą być tego konsekwencje.

I są. Siedem bramek Lechii w turyńskim meczu z Juventusem. W Gdańsku turyńczycy mogą już sobie pofolgować i nawet nie strzelić ani jednej bramki, bo i tak awans mają już w kieszeni. Tylko, że Lechii nic z tego nie przyjdzie. Wcale nie przekonuje mnie opinia trenera Lechii Jerzego Jastrzębowskiego, który powiedział, że piłkarze jego drużyny „w ciągu 90 minut nauczyli się więcej niż przez dwa lata treningów". Dla mnie jest to tylko dorabianie teorii do faktów, szukanie usprawiedliwienia dla tego, co się stało. A stało się niedobrze. I rzeczywiście nie jest to wcale wina Lechii. Jest to wina PZPN, który nie potrafi nadać walkom o Puchar Polski właściwej rangi i właściwego wymiaru. Nie powinno być tak, że drużyna, która akurat awansuje z III ligi do II zdobywa jednocześnie Puchar Polski. Fakt ten wcale nie wynika z tego, że to taka dobra drużyna, tylko z tego, że wszystkim innym zupełnie nie zależy na zdobyciu Pucharu Polski. To, albo zrezygnować z pucharowych rozgrywek, albo nie kompromitować się wzajemnie. Dla mnie kompromitacją nie jest wysoka przegrana Lechii, ale fakt zdobycia przez nią Pucharu Polski. W przyszłym roku coś takiego nie powinno się więcej powtórzyć!

Z kibicami też miało być zupełnie inaczej. Po incydencie z butelką na stadionie ŁKS w Łodzi, można było mniemać, że kibice coś zrozumieją, że pojmą, iż takie ekscesy przynoszą tylko szkodę klubowi, któremu ponoć sprzyjają. Incydent na Dworcu Centralnym w Warszawie z powracającymi z Białegostoku kibicami RTS Widzew pokazuje, że nic nie zrozumieli i niczego się nie nauczyli. Zastanawiam się, czy zgraja wyrostków w ogóle zasługuje na miano kibica. Ale wracali z meczu Widzewa i podawali się za kibiców tej drużyny. Bili zresztą wszystkich, kogo popadło tylko dlatego, że byli akurat w Warszawie, a wiadomo, że tu jest Legia, której „kibice" Widzewa ponoć muszą nienawidzić. Szczyt to głupoty. Szkoda tylko, że za tę głupotę płaci swoją reputacją druga drużyna Polski.

Nie wiem, co w tej sprawie zrobi RTS Widzew, ale sądzę, że coś musi uczynić, że musi jakoś odciąć się od wszystkich, którzy swoje chuligańskie wybryki przykrywają klubowymi barwami.

BOGDA MADEJ

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji), Jerzy Kwiecliński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz (z-ca sekretarza redakcji), Tomasz Sas (z-ca redaktora naczelnego), Igor Sikirycki (kier. działu literackiego), Karol J. Stryjski, Janusz Szymański, Liane (grafik), Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler (fotoreporter).

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Pauasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy", al. A. Mickiewicza 11, kod 90—438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680 89. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. WARUNKI PRENUMERATY: 1. dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" zamawiają prenumeratę w tych Oddziałach; — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: — osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa—Książka—Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00—958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykła jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny, — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa Książka—Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90—103 Łódź. Druk Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762.

Zam. 2476 L-2

BRONISŁAWA CZERNIOGRADZKA

Czarna wdowa

3

Suka, który całe życie mieszkał z rodziną, nawiasem mówiąc: w kiepskich warunkach, nie miał nawet własnego pokoju, tylko dzielił go z młodszym bratem, studentem historii, któremu wydawało się, że niebawem rzuci potęgą swojego umysłu cały świat na kolana, przeprowadził się do mnie na Pragę i żyliśmy jak prawdziwe małżeństwo. Opierałam go, gotowałam mu obiady i byłam nieprzytomnie szczęśliwa. Nic nas nie dzieliło, a wszystko łączyło, bowiem nic tak nie łączy, jak wspólny interes.

Suka wytłumaczył mi spokojnie i bez emocji, że moje życie kurtyzany (od czasu do czasu bywałam również zwykłą prostytutką) niewiele się różni w gruncie rzeczy od życia większości tak zwanych porządnych kobiet. To znaczy, owszem: różni się w sensie obyczajowym i pod względem rozkładu dnia w sferze moralnej natomiast kurwa bardzo często bywa uczciwsza od statystycznie wiernej żony, która tylko czeka, żeby za mężem trzasnęły drzwi i już biegnie do sąsiada, a jeśli nawet oddaje się tylko mężowi, też po kilku latach szczęśliwego pożycia robi to w sposób wyrachowany i bez przyjemności. Nikt nie potrafi kochać tak bezinteresownie i gorąco jak prostytutka.

Suka wypowiadał się również wielokrotnie na temat męskiej uczciwości. Jego zdaniem, zaginął wprawdzie w Polsce zawód sutenera, ale z całej przebogatej, wiekowej tradycji tego procederu na każdym kroku korzystają czcigodni panowie. No, bo weźmy dla przykładu pierwsze z brzegu przyjęcie na które panu kierownikowi udało się zaprosić pana dyrektora. Pan dyrektor jest brzydki i brzuchaty, ale pan kierownik zachęca usilnie swoją młodą i piękną żonę, aby była dla pana dyrektora miła i łaskawa. Ta łapie w lot intencje męża, dwoi się i troi, a kiedy mąż wychodzi na chwilę do kuchni po nowe pół litra, umawia się z panem dyrektorem na kawę w jego własnym mieszkaniu. Kierownik czuje wprawdzie przez skórę, że łaskawość żony wobec dostojnego gościa posunęła się zbyt daleko, zaczyna robić ukradkowe miny, cierpi katusze zazdrości i w ogóle z przyjemnością kopnąłby połowicę w kostkę pod osłoną stołu, z drugiej strony przecież przesyła panu dyrektorowi uśmiechy słodkie i wdzięczne. Nie ulega wątpliwości, że mieszkanie samochód czy też wyjazd za granicę zawdzięcza pan kierownik w większej mierze swojej pięknej żonie, niż swoim zawodowym osiągnięciom.

Przytoczony incydent jest tylko niewinną i powszechnie stosowaną namiastką prostytucji. Wystarczy jednak puścić porządną żonę za granicę, aby sprawa przybrała wymiar uliczny.

Rozmawiałam kiedyś z pewnym marynarzem o Hamburgu. Opowiadał o tych wszystkich garażach, zajezdniach i uliczkach za blachą w okolicach Sankt Pauli, gdzie paradują z cyckami na wierzchu kurwy ze wszystkich stron świata. Dziewczyny pracują pod alfonsem, biorą pięćdziesiąt marek za półgodzinny seans, trzy czwarte oddają alfonsowi. Ich los jest podobno godny pożałowania, aczkolwiek niektóre są naprawdę bardzo piękne i każdy mężczyzna może zafundować sobie rozkosz według gustu.

Ale nie o to chodzi. Ten marynarz, skądinąd wyższy rangą, spotkał tam kiedyś znajomego Niemca i był między nimi taki dialog.

— Chcesz sobie bzyknąć?

Marynarz odpowiedział:

— Nie.

— Ale coś ekstra?

— Co znaczy: ekstra?

— No, jakąś urodziwą rodaczkę?

— Urodziwych rodaczek to ja mogę mieć potąd — powiedział marynarz i pokazał pokąd może ich mieć. — I to za darmo.

— Takich jak ja ci pokażę, nie możesz mieć ani potąd, ani za darmo — powiedział Niemiec.

— Co ty mi możesz pokazać?

— Prawdziwe polskie damy i prawdziwe polskie uczone od pani magister wzwyż.

Marynarz był gorącym patriotą, więc zaprotestował serdecznie:

— Bredzisz!

— Możemy się przeciąć.

— Proszę bardzo. O co?

— O flachę.

— Dobra. Stoi flacha.

— To chodź. Co wybierasz? Z tych najlepszych jest aktualnie w obrotach pewna pani doktor z P., pewna pani adiunkt z W., żona dyrektora pewnej szeroko w Polsce znanej firmy handlowej oraz małżonka pracownika pewnej polskiej placówki. W leciech. Ale daj Boże zdrowie.

— I gdzie stoją? — zainteresował się marynarz. — Razem z kurwami?

— Zwariowałeś?! Kurwy z miejsca wydrapałyby im oczy. Przecież kurwy muszą się opłacać, a one, że tak powiem, ktusują w bocznych uliczkach.

— Jak mam z nimi gadać?

— Po angielsku, albo po niemiecku zacznij, bo je spłoszysz. O! Jest pani doktor.

Wysiedli z samochodu, podeszli i marynarz zapytał:

— Jaki jest zakres twoich umiejętności?

Dama odpowiedziała:

— Sucking, fucking, kissing...

— What else could you give me for my cash?

— Co ja ci więcej wymyślę, miodku? Mogłabym ewentualnie...

— Ile chcesz?

— Trzydzieści.

— Ty, czy ty nie jesteś przypadkiem chora? Przecież kurwy biorą pięćdziesiąt.

— No, wiesz... Ja w zasadzie nie jestem kurwą. Ja tylko dorabiam.

Wtedy marynarz zdenerwował się i zaczął ostro:

— Do czego dorabiasz, szantrapo? Do Wołgi? Do Mercedesa?

Zaczęła się śmiać, ale zaraz przestała, bo powiedział jej, że wie, kim jest w kraju. Była podobno blada jak ściana, rozbeczała się i wstawiła bajer, te wszystkie buzery:

— Z tobą mogę za darmo, podobasz mi się, ale błagam, nie sypnij mnie, bo mnie wypierdolą z uczelni. Zapalisz?

Marynarz mówi:

— Zapalę. Ale jak mi powiesz na jaki temat pisałaś pracę doktorską.

Wtedy ona zasunęła coś w tym stylu:

— Wpływ drgań rytmicznych na strukturę wysokoprężnych silników spalinowych w warunkach rozrzedzonego powietrza.

Ten marynarz naprawdę uwierzył, że ma do czynienia z kobietą o szerokich horyzontach technicznych.

— Myślałem — powiedział — że jesteś lekarką, i że pisałaś pracę naukową na temat struktury kostnej prawej połowy dużego palca lewej nogi ze szczególnym uwzględnieniem nagniotka. Tak czy owak, wąska specjalność.

— Dość wąska.

— Ale w kurewstwie specjalność masz raczej szeroką. Suko! Przegrałem przez ciebie flachę.

Pewien pisarz powiedział, że każdą kobietę można zdeprawować w pięć minut na tylnym siedzeniu samochodu osobowego. Nie sądzę, aby miał rację. Kobieta może pozostać czysta może również deprawować się powoli, niedostrzegalnie. Rozstrzygającą sprawą jest tu przezwyciężenie wyrzutów sumienia. Z reguły jednak,, a mogę to stwierdzić na podstawie licznych przykładów i bogatej obserwacji, mężczyzna jest moralnie bardziej wrażliwy niż kobieta — częściej wprawdzie zdradza, ale cierpi, podczas gdy z kobiety zdrady po pewnym czasie zaczynają spływać jak deszcz. Trzeba tu jednak dodać na plus kobiet, że jeśli która z nich jest naprawdę zakochana, zdrada nawet nie przemknie jej przez myśl, chyba że mąż czy narzeczony da jej ku temu powody — zdradzi wówczas z wyrachowania, przez zemstę. Tymczasem większość najbardziej nawet zakochanych mężczyzn gotowych jest wejść do łóżka z pierwszą lepszą dziewczyną, jeśli tylko zdarzy się okazja.

Prostytutki bardzo często wykonują swój fach niezależnie od swoich prawdziwych uczuć. Potrafią po prostu oddzielić te dwie, pozornie tylko związane ze sobą sprawy. Dla pieniędzy pracują mechanicznie, rutynowo, traktując to jak najnormalniejszą rzecz na świecie, swojemu ukochanemu mężczyźnie natomiast oddają całe serce, wszystkie swoje siły i są gotowe do wielkich poświęceń. Zostaje pytanie, czy prostytutka zdolna jest przeżywać z ukochanym mężczyzną prawdziwą rozkosz zmysłową. Otóż — tak, chociaż trzeba uczciwie powiedzieć, że nie jest to łatwe. Rzadko się zdarza, aby trzydziestoparoletnia, udręczona na wszelkie możliwe sposoby dziewczynka, zdobyła się po pracowitym dniu na euforię seksualną w ramionach kochanka. Napięcia seksualne są u nas stępione, umiemy je za to doskonale udawać. Kochamy niezależnie od nich. To bardzo dziwne. Widocznie Pan Bóg stworzył kobietę, aby kochała mężczyznę bez względu na sprawy łóżkowe, aby dbała o niego i opiekowała się nim jak dzieckiem.

Prostytutki, w przeciwieństwie do tak zwanych uczciwych kobiet, mają również w większości przypadków głęboki wstyd do perwersji i różnych seksualnych odchyleń, pewnie dlatego, że zbyt często są do nich zmuszane. Suka, poszukując mi bogatych klientów, ostrzegał mnie zawsze: — Ten gość jest dziwny. Ten lubi tak a tak. Ten będzie cię prosił, abyś się na niego wysikała albo przyłożyła mu paskiem. Bywało, że wcale o tym nie wiedząc, sama trafiałam na sadystów i wracałam do domu z posiniaczoną twarzą.

Były to czarne strony zawodu. Ale bywały i jasne, takie, które budziły przyjemny dreszcz emocji. W czasach, kiedy milicja zaczęła tępić nas w lokalach orbisowskich Warszawy, Suka ułożył dla mnie podniecający i precyzyjny scenariusz pod tytułem Tour de Pologne. Snuliśmy się po kraju małym fiatem udając szczęśliwą parę małżeńską, przeżywającą właśnie swój miodowy miesiąc. Marszruta obejmowała przedmieścia dużych i małych skupisk ludzkich ze szczególnym uwzględnieniem domków jednorodzinnych i will.

Kiedy oglądałam film Chęcińskiego „Wielki Szu" miałam chwilami wrażenie, że scenarzysta wykorzystał w nim wątki mojego życia, tyle że mój poker obywał się bez kart.

Przyjeżdżaliśmy na przykład do szkolnego kolegi Suki, który zrezygnował z zaszczytów w Warszawie i zaczął zbijać pieniądze na wypalaniu i sprzedaży cegieł. Aż dziw bierze, ile można na tym zarobić i jak ładnie można to ukryć przed wścibskimi i zachłannymi oczami sąsiadów. Dom z zewnątrz wygląda jak po pożarze, żadnych ganków, tarasów, działka też była zachwaszczona i ogrodzona byle jak drucianą siatką. Wystarczyło jednak przestąpić próg, aby znaleźć się w bajce z tysiąca i jednej nocy. Najbardziej poszukiwane antyki, dużo oryginalnych płócien znanych malarzy polskich i zagranicznych, broń, marmury, srebra, dywany, w które noga wpadała po kolana, sufity wybite dębiną i modrzewiem, nie dość chyba strojne dla gospodarza, bo zaczął je akurat zrywać w sypialni, która przypominała alkowę królewską ze względu na ogromne łoże z baldachimem. Pomyśleć, że spasiony, łysy milioner, pakował się do tego łoża ze swoją niestarą jeszcze, ale ważącą grubo ponad sto dwadzieścia kilogramów żoneczką.

Schodząc na dół, tam gdzie z zasady mieści się garaż i pomieszczenia gospodarcze, zobaczyłam saunę, okrągłą wannę z hiszpańskich kafelków, w której mogło kąpać się jednocześnie sześć osób oraz basen wyłożony takimi samymi kafelkami. Było to wspaniałe, gdyż kafelki tworzyły mozaikę przedstawiającą różne sceny z życia madryckich hidalgów.

Suka był zawsze dokładnie zorientowany w obyczajach i upodobaniach ludzi, do których jeździliśmy w gościnę. Wybierał tylko takich, którzy mieli gaz do życia i wyli dosłownie do każdej atrakcyjnej kobiety.

Wedle scenariusza miałam rżnąć nie tylko młodą i zakochaną mężatkę, ale na dodatek kobietę ciężarną. Początkowo bardzo to deprymowało bogatych zalotników, z drugiej jednak strony, kiedy ni stąd ni zowąd chwyciłam któregoś pod stołem za udo albo rozporek, mdlał po prostu z wrażenia.

Zadaniem Suki było uwodzenie pani domu. Ciągnął to grubym ściegiem, zniżając się do poziomu lokaja, opowiadał trywialne kawały, świństuszył i pompował niestrudzenie w prowincjonalną damę niebywałe ilości alkoholu, mieszając przy tym gatunki. Jeśli któraś z tych idiotek zdołała tylko uwierzyć, że należy do dobrego tonu przerwać czasami picie koniaku, whisky czy likieru i podciągnąć się trochę szklaneczką czerwonego, wytrawnego wina, wiadomo było, że zapadnie niebawem w długi i pokrzepiający sen. Suka walił się w ubraniu obok niej i również zasypiał, a ja przystępowałam wówczas do realizacji zasadniczej części planu, to znaczy: brałam się ostro za gospodarza.

W przypadku tego wypalacza cegieł sprawa miała przebieg komiczny. Otóż wzięłam go za rękę i wyprowadziłam do sypialni. Usiedliśmy pod królewskim baldachimem i zaczęłam mu wstawiać wykuty na pamięć bajer.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

c.d.n.

„Prawo podszczypywania"

Na każde sto młodych kobiet w Europie sześć pada ofiarą szantażu seksualnego w miejscu zatrudnienia — czy to w momencie przyjmowania do pracy, czy też już później. Taki wniosek wypływa z sondażu przeprowadzonego przez EWG. Prawo „podszczypywania" przetrwało wieki — mówią Yvette Fuillet, deputowana z ramienia francuskiej partii socjalistycznej i komunistka włoska — Maria-Lisa Cinciari-Rodano.

Yvette Fuillet, która jest radną miejską w Marsylii, złożyła w Parlamencie Europejskim projekt rezolucji domagającej się podjęcia odpowiednich kroków w sprawie tego, co urzędnicy francuskich poczt i telegramów nazywają „awansem przez kanapę".

Zobaczmy, jak to wygląda we Francji. Można powiedzieć, że zajmuje ona pierwsze miejsce w dziedzinie tych feudalnych praktyk. 8 procent kobiet pracujących skarży się, że są „napastowane" w fabryce czy w biurze. Na drugim miejscu figurują: Wielka Brytania i Dania (po 7 proc.), a tuż za nimi Włochy (6 proc.).

Czytając te statystyki można sobie wyobrazić mroczne zaplecza sklepików, gdzie szefowie-tyrani szepczą do ucha nowo przyjętych pracownic pieprzne propozycje, obiecując „awans" i różne inne „świadczenia". Otóż wcale tak nie jest! Prawo „podszczypywania" upowszechniło się, zarówno w sektorze prywatnym, jak i państwowym, a w tym ostatnim przodują pod tym względem urzędy telekomunikacyjne.

Właśnie punktem wyjścia do przeprowadzenia wyżej wspomnianego sondażu stał się przypadek pewnej młodej kobiety, która opowiedziała swą historię deputowanej Yvette Fuillet. „Gdy tylko zaczęła pracować w jednym z przedsiębiorstw w Genewie, od razu stała się obiektem natrętnych zalotów ze strony dyrektora". Odprawiła go grzecznie, ale w dwa miesiące później została zwolniona. Okazało się, że była to już dwunasta pracownica, którą szef zwolnił z tego samego powodu.

Szantaż seksualny uprawiany jest głównie w stosunku do pracownic niskiej kondycji. Tam, gdzie kobiety są bardziej wyemancypowane (jak np. w przedsiębiorstwach reklamowych, w wydawnictwach czy w prasie) „podszczypywanie" nie zdarza się tak często. A jednak w kwietniu 1981 roku około stu ubranych na czarno pracownicy ONZ zgłosiło się do ówczesnego sekretarza generalnego, Kurta Waldheima, aby poskarżyć się na zachowanie przełożonych.

Ktoś może powiedzieć, że sześć procent „napastowanych" to niedużo. „A przecież — ripostuje Yvette Fuillet — to w sumie 5 do 6 milionów Francuzek, Włoszek i Niemek". Co prawda ankieta bierze pod uwagę nie tylko natarczywe „dobieranie się", ale także różne nieprzyzwoite wypowiedzi, a także — być może — to co Hiszpanie nazywają „piropo", czyli odezwanie się wyrażające dość śmiały podziw dla „wdzięków" pracownicy, co niekiedy może być przez nią poczytane za obrazę. Tak więc w tych sprawach należy być ostrożnym: od „piropo" daleko jeszcze do szantażu seksualnego.

Warto podkreślić, że Francuzki, które najbardziej skarżą się na natręctwo szefów, mają pod tym względem najlepszą ochronę prawną. Broni ich artykuł 416 kodeksu karnego z 1975 roku, który przewiduje za tego rodzaju nadużycia kary od dwóch miesięcy do roku więzienia oraz grzywnę w wysokości 10 tysięcy franków.

A jednak trzeba było czekać aż do 1981 roku, aby sprawa „podszczypywania" została rozpatrzona przez trybunał. Sabine Fettu, 25-letnia fertyczna brunetka z Dijon, uzyskała 20 tys. franków odszkodowania za bezprawne zwolnienie. Ta znająca dwa języki sekretarka firmy konfekcyjnej nie chciała ulec szefowi i została wyrzucona z pracy.

W marcu tegoż roku w Val-de-Marne postawiono przed sądem dyrektora i wicedyrektora domu towarowego, którzy zwabili 18-letnią sprzedawczynię do pakamery magazynu i tam próbowali ją zmusić do czynów nierządnych. Na apel CFDT 478 pracowników okupowało dom towarowy przez kilka tygodni.

Jeden z dyrektorów twierdzi jednak, że ankieta pomija te kobiety, dla których związek z szefem jest szczeblem do awansu społecznego. „To uproszczenie — replikuje Yvette Fuillet — Trzeba zmienić mentalność". To zaś nie będzie łatwe, zwłaszcza, że nawet związki zawodowe nie bardzo chętnie wypowiadały się w ankiecie.

Co robić, gdy nieco zbyt pobudliwy szef „przypiera pracownicę do ściany", np. w czasie inwentaryzacji? „Trzeba napisać pismo, szczegółowo relacjonując wszystkie fakty i wysłać je listem poleconym do głównego dyrektora przedsiębiorstwa lub złożyć u notariusza — mówi jeden z działaczy CFDT, który był przez 10 lat doradcą w sprawach obyczajowych. Taki list może posłużyć jako dowód w przypadku zwolnienia".

W Stanach Zjednoczonych nie 6, ale 42 procent kobiet pracujących jest nagabywanych przez zwierzchników, ale te niewiasty buntują się coraz energiczniej. Feministki amerykańskie, których boi się nawet rząd, spowodowały, że karalna jest już sama propozycja stosunków seksualnych wysuwana w momencie przyjmowania do pracy lub jako warunek awansu. Dwa tysiące szefów przedsiębiorstw jest z tego powodu nieco zaniepokojonych. „To może stać się precedensem dla nieuzasadnionych skarg i histerycznych reakcji" — mówią niektórzy dyrektorzy. Może mają trochę racji...

A czy panowie też mogą się bronić przed zbyt przedsiębiorczą szefową? Chyba tak. 33-letni David Huebschen, pracownik wydziału zdrowia w stanie Wisconsin, wygrał niedawno proces przeciwko swej przełożonej, Jacqueline Rader, która przeniosła go na niższe stanowisko, ponieważ z nią zerwał. Sąd przyznał mu odszkodowanie stanowiące równowartość 1.375.000 franków. Przy takiej „taryfie" uciśnionych będzie na pewno coraz więcej.